

**Deborah Hale**

# **Urodzony zwycięzca**

*Tłumaczyła Małgorzata Hesko-Kołodzińska*

## Rozdział 1

*Norfolk, Anglia, 1143*

Armand Flambard żyje.

Na tę myśl Dominie zadrżała. W oddali, wśród pól, nieopodal lasu, majaczyły mury opactwa Breckland.

Armand nie zginął? Czy to możliwe? Dominie de Montford zadawała sobie to pytanie setki razy, odkąd trzy dni wcześniej wyruszyła w tę ryzykowną, okreśną podróż z Harwood. A może ojciec Clement zwyczajnie się pomylił? Może mu się przywidziało, że kiedy towarzyszył jej matce w pielgrzymce do świętej studni w Breckland, dostrzegł w klasztorze Armanda? Dominie nie mogła sobie pozwolić na tak długą nieobecność w majątku rodzinnym i pogoń za mrzonką.

A jednak...

Jeśli była to prawda, jeśli rzeczywiście odnalazłaby Armanda Flambarda tutaj, w Breckland, mogłoby to oznaczać, że zimą jej rodzina i wasale nie będą skazani na głodówkę. Teraz tylko ona odpowiadała za tych ludzi, niegdyś jednak odpowiedzialność ta spoczywała na Armandzie. Zanim jeszcze porzucił ich... i ją również.

Szelest w wysokiej trawie sprawił, że Dominie zapomniała o goryczy wywołanej tymi myślami i błyskawicznie skryła się w niewielkim zagajniku leszczyny i brzeziny. Serce waliło jej jak młotem, zaczęła się obawiać, że braciszkanie w Breckland usłyszą ten łomot podczas modlitw.

Kiedy niewielka pardwa oderwała się od ziemi, Dominie odetchnęła z ulgą. Po trzech dniach ukradkowej podróży przez wiejskie tereny miała nerwy napięte do granic możliwości. Do tego była bardzo, ale to bardzo głodna.

Lekki wietrzyk od strony opactwa przyniósł aromat pieczonego mięsiwa. Ślinka napłynęła Dominie do ust, zaburczało jej w brzuchu. Poszperała w sakwie przy pasie i wyciągnęła z niej czerstwą piętękę chleba. Żując ją powoli, starała się nie myśleć o głodzie, który zapewne czekał zimą wszystkich w Harwood i Wakeland, jeśli nie zdołają odpedzić Wilka od swych drzwi.

Eudo St. Maur. Wilk z Fenlands.

Panie, niech Armand tu będzie, błagała w duchu Dominie, choć wiedziała, że Bóg zapewne nie wysłucha jej rozpaczliwych prośb. Może, jak oświadczył pewien bezbożny wieśniak, Bóg i jego aniołowie zasnęli. Gdyby czuwali, z pewnością nie

dopuszcziliby do tego, żeby światem wstrząsały takie niegodziwości.

Rozległ się dzwon na wieży w kaplicy opactwa, wzywający mnichów do pracy. Wkrótce brama klasztorna się otworzyła i wyległa z niej gromadka braciszków zakonnych w ciemnych habitach. Każdy z nich niósł motykę, łopatę albo jakieś inne narzędzie.

Choć Dominie nadal była głodna jak wilk, schowała resztki chleba do sakwy. Krok po kroku, powoli, zbliżała się wśród drzew do grupy mnichów. Uważnie patrzyła na każdego mężczyznę, aż w końcu jej wzrok zatrzymał się na ostatnim z nich.

Miał on mocną sylwetkę Armanda Flambarda, szedł żwawym krokiem. Dominie zauważyła, że brak mu tonsury, co oznaczało, że najwyraźniej jeszcze nie złożył ślubów wieczystych.

Może jednak Bóg przebudził się na moment ze swego snu i wysłuchał jej błagań.

Mężczyźni bez słowa rozproszyli się po poletkach i zagonach ogrodu, by tam zabrać się do pracy. Wysoki mnich zmierzał w kierunku Dominie. Kiedy dotarł na skraj ogrodu, wyciągnął sierpak i zabrał się do przycinania żywopłotu. Wciąż znajdował się bardzo daleko, pochylał głowę i Dominie nie miała pojęcia, czy to rzeczywiście Armand.

Do dzieła, na co czekasz, skarciła się w duchu. Nie wolno ci tracić czasu. A jednak z jakiegoś powodu zwlekała. Zapewne przyczyną była obawa, że jej ostatnia nadzieja okaże się płonna, jak tyle razy poprzednio.

W końcu Dominie zebrała się na odwagę, wyszła z kryjówki wśród drzew i ruszyła ku żywopłotowi. Braciszek zakonny nawet nie podniósł głowy. W końcu stanęła tuż przy nim.

– Armand Flambard? – zapytała skrzekliwym głosem. Nie otwierała ust od trzech dni, a ostatni raz piła wodę kilka godzin wcześniej.

Teraz mężczyzna gwałtownie uniósł głowę.

– Nie znajdziesz tu nikogo o tym nazwisku, młodzieńcze.

Młodzieńcze? To słowo zdumiało Dominie jeszcze bardziej niż kłamstwo Armanda. Teraz, kiedy popatrzył na nią i przemówił, nie miała najmniejszych wątpliwości, że to on.

Naturalnie nieco się zmienił od ich ostatniego spotkania. Miał bardziej smagłą twarz, zniknęła gdzieś młodzieńcza pulchność, zastąpiona dojrzałą męskością.

Jego ramiona były szerokie jak zawsze, ciało szczupłe i twarde niczym skała. Dłonie Armanda wydawały się większe i silniejsze, niż zapamiętała Dominie, a

jednak palce poruszały się z tą samą gracją, z którą niegdyś wydobywały muzykę z lutni i... głębokie westchnienia z piersi pewnej młodziutkiej niewiasty.

Dominie odpędziła do siebie te wspomnienia i pomyślała o tym, jak w tej chwili wygląda. Nic dziwnego, że Armand nazwał ją młodzieńcem.

Ściągnęła frygijską czapkę z głowy, a ciasno spleciony kasztanowy warkocz opadł jej na ramiona.

– Spójrz na mnie ponownie i zobacz, czy to nie przywoła wspomnień... bracie – zażądała stanowczym głosem.

Gdy byli młodszy, też czasem nazywała go bratem, jednak wyłącznie w żartach. Chociaż Armand został wychowany w Wakeland, razem z de Montfordami, nigdy nie żywiła siostrzanych uczuć wobec młodego Flambarda. Teraz również nie.

Kiedy ponownie na nią popatrzył, zmusiła się do uśmiechu. Nie mogła mu przebaczyć tego, co zrobił, ale mieszkańcy Harwood i Wakeland bardzo go potrzebowali. Postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, by wrócił.

– Dominie? – Sierpak wysliznął się z jego dłoni i upadł na ziemię. – Jak mnie znalazłaś? Dlaczego się tutaj zjawiłaś?

A zatem ją rozpoznał. Dominie na próżno usiłowała ukryć radość z tego powodu.

– Nie tak dawno temu ojciec Clement przybył do opactwa z pielgrzymką. Twierdził stanowczo, że cię rozpoznał, postanowiłam zatem przekonać się, czy to prawda. Słyszeliśmy pogłoski o twojej śmierci, Armandzie. – W głosie Dominie mimowolnie zabrzmiała karcąca nuta. – Powiedziano nam, że zginąłeś podczas bitwy o Lincoln, jak mój ojciec i Denys.

Tak bardzo go opłakiwała! Przez to czuła się nielojalna wobec ojca i brata, którzy również ponieśli śmierć w tej straszliwej bitwie.

Przystojną twarz Armanda przeszył grymas, taki sam, jaki zawsze pojawiał się na jego obliczu, gdy podczas ćwiczebnej walki na miecze ten urodzony wojownik otrzymywał szczególnie silny markowany cios.

Dominie natychmiast się domyśliła, co oznacza ta mina.

– Nie słyszałeś, że zginęli? – zapytała z niedowierzaniem.

– Słyszałem. – Armand obejrzał się przez ramię na resztę braci. Byli zbyt daleko, pochłonięci pracą, by zwrócić uwagę na niego i Dominie. – Ja także zginąłem pod Lincoln. – Pochylił się i podniósł sierpak. – Przynajmniej częściowo.

Co miał na myśli? Czyżby odniósł jaką poważną ranę, która nie była widoczna, ale przez którą stracił możliwość walki?

Dominie przeszył dreszcz. Potem przypomniała sobie, że przecież nie oczekuje,

by Armand stanął do samotnej walki z siłami St. Maura. Potrzebne jej były jego umiejętności taktyczne i przywódcze, chociaż nie pogardziłaby dodatkową parą rąk do walki.

– Moim zdaniem, wyglądasz całkiem zdrowo. – Przynajmniej jak na jej potrzeby.

Armand wzruszył ramionami i powrócił do przycinania krzewów.

Może nadeszła pora na wyniszczenie prośby.

– Szukałam cię, gdyż potrzebuje twojej pomocy, Armandzie.

Zesztywniał.

– Proszę, nie nazywaj mnie już tym imieniem. Teraz jestem bratem Peterem...  
A właściwie wkrótce nim zostanę.

Z całą pewnością nie, jeśli ona miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie!

– Nazywaj się, jak chcesz, tylko mi pomóż. – W jej głosie zabrzmiało błaganie, ale jednocześnie i rozkaz. – Król robi, co może, ale jest już za późno, poza tym czyni zbyt mało. Nasze poważne zmartwienie to Eudo St. Maur. Słyszałeś może, co ten parszywiec wyczynia, odkąd król Stefan nierozsądnie puścił go wolno?

– Przebywam w klasztorze, nie w krypcie – odparł z przekąsem Armand. – Naturalnie, że o nim słyszałem. Niektórzy z naszych braci to uchodźcy ze świętych opactw na wchodzie, z klasztorów splądrowanych przez St. Maura.

Gniew w jego głosie pokrzepił Dominie. Święci braciszczowie nie przemawiali takim tonem. W przeciwieństwie do wojowników.

– A zatem wiesz bez wątplenia, że ogołocił wiele kilometrów ziemi wokół swojego obozowiska w Fenlands.

Armand znieruchomiał.

– Harwood?

Dominie pokiwała głową.

– Pod koniec zimy ludzie St. Maura zaatakowali jedną z naszych, leżących na uboczu, posiadłości. Dzierżawca i jego rodzina ledwie uszli z życiem.

– Niech piekło pochłonie tego szubrawca! – wymamrotał Armand przez zaciśnięte zęby.

– Może i tak się stanie. Pewnego dnia – zauważyła Dominie. St. Maur został ekskomunikowany za brutalne traktowanie duchowieństwa. – Do tego czasu jednak to my musimy bronić niewinnych przed jego siepaczami.

Z pewnością zrozumiał jej prośbę, jednak nic nie mówił. Zajął się przycinaniem gałązek. Dominie spróbowała ponownie.

– Kiedy dzierżawca uciekał z rodziną, St. Maur zapowiedział, że wróci, gdy w

Harwood i Wakeland zgromadzimy zbiory. Nie możemy na to pozwolić, nasi ludzie będą głodowali.

Armand wyprostował się i popatrzył na nią niebieskimi oczami.

Modląc się w duchu, Dominie zamrużyła powiekami, by powstrzymać łzy. Być może odbyła tę niebezpieczną podróż nie na darmo. Może jednak Armand Flambard pomoże im się bronić w walce z Wilkiem z Fenlands. Wierzyła, że w takim wypadku z pewnością zwyciężą.

W końcu Armand przemówił.

– Będę się modlił o ocalenie Wakeland i Harwood. – Pokręcił głową, z żalem, lecz stanowczo. – Nic poza tym nie mogę dla was uczynić.

– Modlił?! – zawołała Dominie, nie zważając na to, że zapewne lada chwila zwróci na siebie uwagę pozostałych benedyktynów. Najchętniej wyrwałaby sierpak z rąk Armanda – i stuknęła go nim w głowę. – Nie potrzeba mi twoich modłów, Armandzie Flambardzie, tylko twojego miecza!

Wściekłość nie wygląda ładnie na niewieścim obliczu.

W ostatnich pięciu latach Armand wielokrotnie wyobrażał sobie Dominie de Montford. W jego marzeniach na jej twarzy zawsze malowała się anielska niewinność. Gdy Dominie przemawiała, z jej ust wydobywał się słodki, łagodny szept.

Teraz stała przed nim ubrana w męskie szaty, z furią w oczach i nienawiścią w głosie. A on pożałował jej tak bardzo, że aż odebrało mu mowę.

Pięć lat temu, gdy musiał iść za głosem honoru, niechętnie zostawił młodą dziewczynę. Obecnie stała przed nim kobieta.

I to jaka!

Jej włosy miały barwę żywej ziemi. W oczach migotały złociste ogniki. Gdyby oceniać rysy jej twarzy z osobna, nie uznano by je za piękne – Dominie miała wysokie kości policzkowe, mocną szczękę, szerokie brwi i pełne usta. Razem jednak tworzyły zapierającą dech całość.

– Czyżby jakieś kłopoty? – W pobliżu rozległ się głęboki głos brata Ranulfa, szafarza klasztorowego. Armand znowu mimowolnie pomyślał o tym, że z tego braciszka byłby znakomity porządkowy.

– Ależ skąd. – Armand rzucił Dominie ostrzegawcze spojrzenie.

Poprzedni opat konsekwentnie nie pozwalał Armandowi na złożenie ślubów, twierdząc, że młody wojownik nie porzucił do końca dawnego życia. Nowy opat wydawał się bardziej przychylny, zapewne wkrótce dałby się przekonać... Jeśli

tylko Dominie tego nie zepsuje.

Armand odwrócił się i spojrzał na szafarza.

– Bracie Ranulfie, to lady Dominie de Montford, moja przybrana siostra z Wakeland. Przybyła do Breckland...

Zawahał się, niepewny, co powiedzieć. Oszukiwanie brata zakonnego nie tylko było ujmą na honorze, ale i grzechem. Wyznanie prawdy jednak mogłoby wywołać wiele pytań, na które Armand nie był w stanie odpowiedzieć.

– Przybyłam do Breckland z pielgrzymką, bracie Ranulfie oświadczyła Dominie niewinnym tonem. – By odwiedzić waszą świętą studnię. – Uśmiechnęła się do szafarza właśnie tak, jak uśmiechała się w marzeniach Armanda.

Brat Ranulf nie był wyjątkiem i szybko uległ urokowi Dominie.

– Całą drogę z Wakeland przebyłaś samotnie, pani? Dziecko, toż to niebezpieczna podróż! Cóż ci dolega, pani?

Ton jego głosu wskazywał na to, że Dominie nie wygląda na cierpiącą. Armand zgodził się w duchu z Ranulfem. Jak na jego gust, młoda dama prezentowała się aż za dobrze – Ostre bóle, bracie, w tej okolicy. – Dominie położyła dłonie na brzuchu. Jej twarz wykrzywił grymas. Armand doszedł do wniosku, że powiedziała prawdę. – Trapią mnie już od dłuższego czasu. Mam nadzieję, że Najświętsza Panienska zechce mi pomóc. W przeciwnym wypadku...

Czyżby Dominie umierała? Armand poczuł przeszywający ból w sercu. To prawda, że nie miał z nią kontaktu w ostatnich pięciu latach, ale nie znaczyło to, że o niej zapomniał. Jednakże modlił się żarliwie o to, by nigdy się już nie spotkali. Dlaczego zatem tak zasmuciła go perspektywa jej odejścia z tego świata?

Uderzyła go jeszcze jedna myśl. Jaka szlachetną osobą okazała się Dominie, skoro przybyła tu błagać go o pomoc w imieniu swoich wasali, i ani razu nie wspomniała o osobistych powodach, które mogły ją przywieść do opactwa. Armand nienawidził się w tej chwili za pożądanie, które go ogarnęło. Może jednak stary opat miał rację, odmawiając mu możliwości złożenia ślubów wieczystych.

Brat Ranulf pokręcił głową.

– Będę się modlił, byś ozdrowiała, dziecko. Obejdz żywopłot, a ja zaprowadzę cię do brata Alwyna, on znajdzie ci odpowiednią kwaterę.

– Dziękuję. – Dominie zakaszlała lekko. – Czy wielką śmiałością byłoby prosić Armanda... eee, brata Petera, o wskazanie drogi? W dzieciństwie był mi równie drogi jak prawdziwy brat. Znalezienie go tutaj, całkiem niespodziewane, to niemal akt łaski.

Słodycz na jej twarzy poruszyłaby nawet kamień. Armand odczuł olbrzymią

ulgę, gdy uświadomił sobie, że Dominie nie zamierza robić mu problemów u przełożonych. Jej słowa jednak go zasmuciły, gdyż nieco mijała się z prawdą. Przecież nie natrafiła na niego w Breckland przypadkiem, zaledwie przed chwilą oświadczyła, że przybyła tu celowo, by go odszukać.

Brat Ranulf jednak ani trochę nie powątpiewał w szczerść dziewczyny.

– Niech Bóg cię błogosławi, moje dziecko. Jak sobie życzysz. – Jego tubalny głos nigdy chyba nie brzmiał tak łagodnie. – Skinął głową na Armanda. – Bracie Peterze, odprowadź tę młodą damę do brata Alwyna. On dopilnuje, by zamieszkała w przyzwoitych warunkach.

Armand skinął głową. Widząc Dominie po tylu latach, nie miał ochoty tak szybko się z nią rozstawać – nawet jeśli poruszyła od dawna uspione w nim uczucia.

Odsunął gałęzie, żeby mogła przejść. Gdy żwawo ruszyła przed siebie, Armand z trudem oderwał wzrok od jej smukłych, pięknych nóg, obciśniętych pończochami z zielonej wełny. W tej samej chwili zorientował się, że i tak wpatruje się w jej sylwetkę, której nie zdołało zamaskować workowate ubranie.

Kiedy ta niewinna dziewczyna zdołała się przeistoczyć w tak bardzo kobiecą kusicielkę?

To nie jej wina, pomyślał. Nie musiała nic robić, to on miał grzeszne myśli, i to w stosunku do chorej!

Zastanawiał się nawet, czy nie zadać sobie cierpienia za te pomysły, ale przypomniało mu się, że nowy opat nie pochwała takich praktyk.

Wyprostował się i ruszył żwawo ku opactwu. Dominie usiłowała dotrzymać mu kroku. Zmusił się, by zwolnić. Nie odwracając się, zapytał:

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że coś ci dolega?

– Bo to bez znaczenia.

Armand otworzył bramę, prowadzącą na teren opactwa.

– Dla mnie to ma znaczenie.

– Czyżby? – Zerknęła na niego i natychmiast odwróciła wzrok.

Przeszła tak blisko, że Armand poczuł zapach lasu, którym przesiąknął jej strój. Zakręciło mu się w głowie. Zamknął bramę gwałtowniej, niż zamierzał.

Bez ostrzeżenia Dominie obróciła się na piecie i spojrzała Armandowi w twarz. Zatrzymał się w ostatniej chwili, mało brakowało, a by na nią wpadł.

– Czy jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać bez świadków, zanim zaprowadzisz mnie do brata Alwyna? – zapytała. Choć Armand wiedział, że powinien odmówić, rozejrzał się ukradkowo po podwórzu. Nie widział



żadnego z zakonników ani nowicjuszy. O tej porze ci, którzy nie pracowali na polach, tkwili w skrytorium, w szpitalu albo tam, gdzie akurat tego dnia mieli zajęcia.

Armand zerknął na Dominie. Stała tak blisko, że mógłby przysiąc, iż czuje ciepło jej ciała. Żadna niewiasta nie powinna znajdować się tak blisko mężczyzny, chyba że miał on do niej prawo... albo ona do niego.

Uniósł rękę i wskazał na budynek klasztorny.

– Tam możemy porozmawiać – powiedział – ale tylko przez krótką chwilę.

– Nie potrzeba mi dłużej. – Dominie z aprobatą pokiwała głową. – Nie mamy czasu do stracenia.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie wąskim przejściem, prowadzącym do sypialni braci zakonnych.

– Co ty robisz w opactwie, Flambard? – spytała. – Kiedy byliśmy młodszy, nigdy nawet nie wspomniałeś o tym, że nosisz się z zamiarem wstąpienia do klasztoru.

Naturalnie, że o tym nie wspomniał. Wtedy nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Odkąd pamiętał, wolał władać mieczem, niż tonąć w modlitwach.

– Byłem jedynym synem. – Miał cichą nadzieję, że Dominie zrozumie to wyjaśnienie. – Miałem inne obowiązki: ziemie Flambardów, troska o naszych ludzi.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to tak obcesowo, jednak niespodziewana wizyta Dominie zakłóciła jego kruchą równowagę.

– Nadal jesteś coś winien tej ziemi i tym ludziom – przypomniała mu karcącym tonem.

– Nie. – Armand wyciągnął przed siebie rękę. – Teraz wszystko należy do twojej rodziny. W końcu moje ziemie przeszły na jej własność, niejako w podzięce za to, że twój ojciec złamał przysięgę.

Mimo tylu lat w klasztorze znów zadrżał na myśl o tej niesprawiedliwości. Nigdy by nie przypuszczał, że najbliżsi mu ludzie są zdolni do kradzieży.

– Jak śmiesz tu przybywać, kiedy twoi ludzie są w niebezpieczeństwie, i żądać mojej pomocy, powoływać się na moje poczucie obowiązku? – wysyczał.

– Złamanie przysięgi? – Dominie zacisnęła pięści, a w jej oczach pojawił się niebezpieczny błysk. – Ty arogancie! Mój ojciec, Panie świeć nad jego duszą, bardziej dbał o swoich wasali niż o jakąś głupią przysięgę, do której zmusił go stary król. Wiedział, że ci prości pracownicy ludzie potrzebują zdolnego pana, który się o nich zatroszczy. Cesarzowa Maud mogła się obyć bez niego na tej wojnie.

Armand poczuł się tak, jakby znowu musiał spierać się ze starym Baldwinem

de Montfordem.

Przybrany ojciec Armanda, choć godny podziwu pod wieloma względami, twardo stapał po ziemi. Najbardziej interesowały go własne sprawy, szczytne ideały pozostawiał innym.

Armand doskonale pamiętał kłótnie, jakie toczyli, gdy przyszło opowiedzieć się za jednym z pretendentów do angielskiej korony.

– Jeśli twój ojciec nie zamierzał dotrzymać danego słowa, nie powinien był go składać! – zagrział teraz. – Przysięga lojalności to nie coś, co wiąże danego człowieka na tak długo, jak długo mu to odpowiada. Gdyby szlachta dotrzymywała przysięg, Anglia nie byłaby teraz pokonanym krajem, w którym króluje bezprawie.

Przez chwilę wydawało się, że Dominie rzuci się na niego z pięściami. Jednak zamknęła tylko oczy i odetchnęła głęboko. Jej smukłe ciało zadrżało, jak gdyby walczyła z własną złością. A może drżała z innego powodu?

Przecież była chora, cierpiała! Jak mógł o tym zapomnieć i wylewać dawne żale, o których w ogóle nie powinien pamiętać?

– Dominie! – Wyciągnął rękę. Ku jego zdumieniu, wcale się nie odsunęła. Przytulił ją niezręcznie. – Wybacz mi. Powinienem trzymać język za zębami i nie złościć cię, skoro niedomagasz.

– Niedomagam? – Szeroko otworzyła oczy.

Tak dobrze się czuł, ponownie trzymając ją w ramionach. Doskonale wiedział, że było to niewłaściwe. Usiłował przekonać samego siebie, że to całkowicie niewinny gest, wynikający jedynie ze współczucia.

– Te bóle... Twój brzuch....

– Ach, o to ci chodzi. – Pociągnęła nosem. – Nie ma się czym przejmować. Porządny posiłek powinien zdziałać cuda.

– Co takiego? – Ręce Armanda opadły.

– Dominie uniosła dłoń i radośnie klepnęła go w ramię.

– Jestem głodna, ciołku! – oznajmiła radośnie.

Armand zrobił krok do tyłu.

– Powiedziałaś bratu Ranulfowi, że cierpisz na bóle – zauważył.

– Bo cierpię. Wcale nie skłamałam. Sam spróbuj podróżować przez trzy dni z małym bochnem chleba i zobaczymy, czy pod koniec nie rozboli cię brzuch.

– Twierdziłaś też, że szukasz uzdrowienia przy świętej studni. – Ta zdradliwa istota nie mogła być jego słodką, cnotliwą Dominie, nawet jeśli wyglądała tak samo. – Brat Ranulf uwierzył, że jesteś śmiertelnie chora. Ja też uwierzyłem, skoro już o tym mowa. Jak możesz tak kłamać zakonnikom?

Dominie pokręciła głową i posłała mu pełne pogardy spojrzenie.

– Prawda byłaby jeszcze gorsza, Flambard. Muszę z tobą porozmawiać na osobności, chciałam to zrobić jak najszybciej. Co zaś się tyczy Euda St. Maura...

W tej samej chwili Armand usłyszał głosy w wirydarzu.

– Chodź. – W pośpiechu chwycił Dominie za ramię. – Jeśli nie przybyłaś do Breckland w poszukiwaniu ozdrowienia, lecz po to, by mnie gnębić, musisz natychmiast odejść, gdyż ja nie mogę ci pomóc.

Z braku praktyki nie był już tak szybki jak niegdyś. Dominie zdołała wsunąć łydkę między jego nogi, a następnie oprzeć się na nim całym ciężarem. Zanim Armand zdążył zareagować, uświadomił sobie, że przyszpiliła go do jednej z kolumn i mocno przycisnęła dłoń do jego ust, żeby go uciszyć.

W mig zdołałby się pozbyć męskiego przeciwnika, ale w walce z Dominie poczuł się pokonany przez własne ciało. Z dawna tłumione żądze trzymały go przy tej kolumnie z większą siłą niż ta smukła dziewczyna.

– Posłuchaj mnie! – wysyczała. – Jeśli o mnie chodzi, najchętniej opuściłabym to opactwo i uważała cię za trupa, jak jeszcze kilka dni temu.

Poczuł się tak, jakby brzuch rozorało mu żelazne ostrze.

– Jednak ludzie z Harwood i Wakeland potrzebują obrońcy, jeśli mają przetrwać. Zasady moralne nie zaspokoją ich głodu zimą ani nie uchronią przed torturami St. Maura. Zrobię dla nich, co należy, choćby budziło to mój najgłębszy niesmak. Jeśli pojedziesz ze mną i pomożesz mi pozbyć się St. Maura, dopilnuję, by ziemie Flambardów powróciły do ciebie.

Zakonnikowi powinna wystarczyć szata na grzbiecie, inne doczesne dobra nie były mu potrzebne. Propozycja Dominie sprawiła jednak, że Armand poczuł od dawna ukryte pragnienie. Od dzieciństwa wpajano mu, że kiedyś odziedziczy te ziemie. Wbrew temu, co sądziła Dominie, nie oddał ich bez walki.

Strząsnął jej dłoń z ust.

– Jak zamierzasz to zrobić? – spytał.

W jaki sposób mogła mu zwrócić coś, co przywłaszczył sobie król?

Dłoń, którą oderwał od ust, dotykała teraz łagodnie jego policzka. W głosie Dominie pojawiła się pieszczota.

– Wyjdę za ciebie, oczywiście. Ta ziemia to teraz mój posag.

Kroki i głosy były coraz bliżej. Armand odniósł wrażenie, że rozpoznaje piskliwy tenor ojca Gerarda, swojego spowiednika.

Usiłował się wyrwać. Jak jednak miał tego dokonać, skoro każdy ruch sprawiał mu nieznośnie słodki ból? Kiedy chciał odepchnąć Dominie, niechcący dotknął

jednej z )e) pełnych piersi. Przerazony, uświadomił sobie, że nie ma najmniejszych szans w starciu z jej kobiecością.

– A to co takiego?! – zakrzyknął ojciec Gerard.

Armand z całych sił po raz ostatni spróbował się uwolnić, jednak drobna dłoń objęła go za szyję, a usta Dominie rozchyliły się kusząco do pocałunku, który ostatecznie przypieczętował jego klęskę.

– Bracie, cóż to ma znaczyć? – Tym razem nie był to głos ojca Gerarda.

Armand zdołał wreszcie oderwać dłoń od piersi Dominie i odepchnąć ją od siebie. Gdy zerknął na nią przelotnie, ujrzał w jej oczach szydrczy triumf.

– Wszystko wyjaśnię, ojczy przelożony! – Skłonił się mężczyźnie, który stał obok brata Gerarda.

– Doprawdy? – Wzrok opata Abbota Wilfrida wędrował od Armanda do Dominie. – Wobec tego najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od zaraz, mój synu.

## Rozdział 2

Dominie oparła się o kolumnę i słuchała, jak Armand usiłuje wytłumaczyć, dlaczego całował młodą kobietę i dotykał jej piersi. Do tego owa młoda kobieta przebrana była za chłopca.

– Ojczy przelozony, bracie przeorze, to lady Dominie de Montford. – Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. – Rodzina de Montfordów mnie wychowała, ja i lady Dominie byliśmy zaręczeni od dzieciństwa.

Niższy i starszy z zakonników pokiwał głową, jakby fakty te były mu dobrze znane. Zmierzył Dominie spojrzeniem, które wydawało się jednocześnie chytre i pełne współczucia.

Choć przypominała sobie raz za razem, że nie miała wyjścia i musiała za wszelką cenę przekonać Armanda do powrotu, nie mogła wyzbyć się wstydu.

Opat nie zwracał na dziewczynę najmniejszej uwagi. – I co z tymi zaręczynami? – zażądał wyjaśnień.

– To samo, co w wielu innych wypadkach, ojczy, przyszła wojna o tron. Ojciec lady Dominie stanął po stronie króla Stefana, ja po stronie cesarzowej. Moje mienie skonfiskowano. Nie mógłbym utrzymać żony, nawet gdyby ojciec zezwolił jej na ślub z wrogiem rodziny.

– Coś podobnego! – Dominie z pogardą wydeła wargi. Armand Flambard odwrócił się do niej plecami, podobnie jak do jej rodziny i swoich ludzi. Jak śmiał udawać, że w ogóle brał pod uwagę jej uczucia?

Nawet gdyby miało to ocalić jej ludzi przed Eudem St. Maurem, czy zdołałaby poślubić takiego człowieka? Człowieka, któremu w ogóle na niej nie zależało? Rodzić mu dzieci, dzielić z nim łóżę?

A jednak jego dotyk ją rozpałił, choć powtarzała sobie, że to nic nie znaczy.

Opat popatrzył surowo na Armanda.

– Doskonale, ale nie wyjaśnia to, jak ta dama tutaj trafiła ani co razem robiliście.

Kiedy Armand usiłował mu to wytłumaczyć, opat uniósł rękę, by go uciszyć. Rozejrzał się wokół siebie, po czym wyjrzał na dziedziniec.

Najwyraźniej usatysfakcjonowany tym, że nie ma świadków, przemówił złowieszczym szeptem:

– Nie pozwolę, by opactwo Breckland okryło się hańbą po tym incydencie, niezależnie od jego przyczyny. Świątobliwi bracia z Cîteaux i tak sprawiają nam

sporo kłopotów, oskarżając nasz zakon o rozprężenie moralne i zepsucie. – Popatrzyl na Armanda i Dominie. – Chodźmy do mnie, tam porozmawiamy o tym na osobności.

Przeor się cofnął, by przepuścić Dominie. Gdy obejrzała się przez ramię, dostrzegła, że starszy mnich idzie tuż za nią i przed Armandem.

Drepcząc za opatem, Dominie rozmyślała o jego słowach. Obudziły w niej współczucie, a także iskierkę nadziei. Podobnie jak ona, opat wiedział, co znaczy bronić czegoś, co zostało mu powierzone. Gdyby odpowiednio go poprowadziła, mógłby zostać jej sprzymierzeńcem. Postanowiła nie mieć żadnych skrupułów, jeśli tylko mogło to pomóc jej sprawie.

Komnata opata nie była zbyt wystawna jak na tak duże i świetnie prosperujące opactwo. Znajdowało się tu niewielkie palenisko i okno wychodzące na wirydarz. Pomieszczenie umeblowano jedynie niskim stoliczkiem i trzema krzesłami, z których jedno było znacznie większe i bardziej ozdobne od reszty.

Jedynym przejawem ekstrawagancji były dwa pięknie wyszywane gobeliny, wiszące na ścianie naprzeciwko okna. Najwyraźniej przedstawiały one sceny z życia angielskich świętych.

Opat ruszył ku najbardziej okazałemu z krzesel i usadowił się na nim. Przeor wystawił głowę za drzwi, by sprawdzić, czy któryś z braciszków lub klasztornych sług nie znajduje się w zasięgu wzroku ani słuchu. Najwyraźniej usatysfakcjonowany, starannie zamknął drzwi i usiadł u boku opata.

Obaj przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w Armanda i Dominie.

Nagle świadoma, jak się prezentuje w oczach duchownych, Dominie szczerzej otuliła się peleryną.

W końcu opat skinął głową do Armanda.

– Podejdz, bracie. Opowiedz nam całą historię.

– Co jeszcze pragniesz wiedzieć, ojcze?

Lepiej, pomyślała dziewczyna. Wcześniej obawiała się, że Armand wyjawia każdy szczegół, by ulżyć swojemu sumieniu. Zachwiała się lekko.

Opat i przeor wymienili wymowne spojrzenia.

– Kiedy ostatnio jadłaś, moje dziecko? – spytał opat.

Powiedz mu, że wczoraj, nalegał jej żołądek. Że przedwczoraj! Że padasz z głodu!

Mogła to zrobić bez żadnych wyrzutów sumienia, gdyż to, co jadła później, trudno było nazwać posiłkiem.

– Zjadłam nieco chleba, ojcze, czekając, aż wyjdą zakonnicy i rozpoczną prace

polowe – wyjaśniła.

Zanim mogła przemyśleć, cóż takiego powstrzymuje ją od powiedzenia prawdy, przemówił Armand.

– Lady Dominie przewędrowała niemal pięćdziesiąt kilometrów z Harwood, ojciec – wyjaśnił opatowi. – Nie miała z sobą nic poza odrobiną chleba i sera. Jeśli niedawno jadła chleb, musiała to być jego resztką.

Armand przemawiał w jej imieniu? Po tym wszystkim, w co go wpakowała? Dominie nie mogła się zdecydować, czy czuje do niego wdzięczność, czy pogardę.

Czy ona zrobiłaby dla niego to samo?

– Dziękuję, bracie – oświadczył opat surowym tonem, który miał sugerować, by Armand odpowiadał wyłącznie na zadawane mu pytania. Spojrzał na Dominie. – Czy to prawda, moje dziecko? Ile chleba jadłaś?

– Tyle, ojciec. – Wyciągnęła skórkę z sakiewki i pokazała ją zakonnikom. – Słowa o mojej podróży z Harwood również są prawdziwe.

Mnisi spojrzeli po sobie. Przeor podniósł się z krzesła.

– Idź za ojcem przeorem, moje dziecko – nakazał opat. Poda ci przyzwoity posiłek.

Dominie ruszyła za przeorem, lecz zatrzymała się w pół kroku. Co takiego powie Armand pod jej nieobecność? Może wybłaga wybaczenie za swoje zachowanie?

– Bardzo dziękuję, ojciec przełożony, ale chyba wolę pozostać tutaj. – Znowu zaburczało jej brzuchu, jakby w proteście.

– Prosiłeś o fakty. Lord Flambard może opowiedzieć ci jedynie historię ze swojego punktu widzenia. Opat pokiwał głową.

– A ty opowiesz mi swoją historię, kiedy już się posilisz, córko. Nie chcę, byś zemdląła z głodu.

– Nie jestem wcale taka głodna. Bardzo chętnie zostanę.

– Wspaniałomyślna propozycja, niemniej niepotrzebna. – Opat ręką wskazał jej drzwi. – Od dawna wiem, że jeśli chce się poznać prawdę w jakiejś sprawie, najlepiej jest wysłuchać stron osobno, a następnie skonfrontować ich wersje z sobą.

– A zatem, ojciec, nie podejmiesz żadnej decyzji, póki nie będę miała okazji przedstawić ci swojej wersji? – Wyobraziła sobie, że Armand oddali się do jakiegoś odległego benedyktyńskiego klasztoru, gdzie już nigdy go nie odnajdzie, i nie zdoła powstrzymać Euda St. Maura przed ograbianiem ziemi.

– Masz moje słowo – odparł opat.

Gdy Dominie mijała Armanda w drodze do drzwi, ich spojrzenia się

skrzyżowały. Patrzył na nią wyzywająco, jakby chciał zapytać, co by się stało z tym światem, gdyby wszyscy dowolnie dawali i łamali obietnice.

Ledwie zamknęły się drzwi za Dominie i bratem Gerardem, opat przeszył Armanda spojrzeniem, które zdawało się przenikać na wskroś umęczoną duszę młodego zakonnika. Opat złożył dłonie i oparł na nich brodę. Wymownie uniósł krzaczaste brwi.

– A zatem to jest dama, którą pozostawiłeś w szerokim świecie? Niezwykła istota. Chyba można wybaczyć mężczyźnie, jeśli ma problemy z zapamiętaniem o kimś jej pokroju.

Niewykluczone. Czy jednak można było wybaczyć zachowanie, którego świadkami przed chwilą byli zarówno opat, jak i przeor?

– Tak, ojcie przełożony – wymamrotał Armand.

Ulżyło mu, że nowy opat ma tyle zrozumienia dla słabości ludzkiego serca.

– Nie zamierzałem nękać tej młodej damy – dodał pośpiesznie. – Odprowadzałem ją do bramy, kiedy potknąłem się i oparłem o kolumnę.

Opat nigdy by nie dał wiary, że Dominie przyszpiliła Armanda do kolumny, wbrew jego woli. On sam ledwie mógł w to uwierzyć.

– Doprawdy? – Nie ulegało wątpliwości, że opat mocno w to wątpi. – Może wytłumaczyłbyś mi, jak doszło do tego, że ta młoda dama znalazła się sam na sam z tobą na terenie klasztoru.

Armand pokiwał głową.

– Zajmowałem się żywopłotem nieopodal zachodniego pola, kiedy nagle wyłoniła się zza niego lady Dominie. Najpierw sądziłem, że to młody chłopak, gdyż ukryła włosy pod czapką, a jej głos zdawał się chrypliwy.

Już niczego nie ukrywając, opowiedział opatowi, jak zaprowadził Dominie do Breckland, jak oszukała i jego, i brata Ranulfa opowieścią o chorobie. Chociaż bardzo się starał, nie mógł ukryć oburzenia.

– Kiedy usłyszała kroki, zarzuciła mi ręce na szyję i... Resztę widziałeś, ojcie – dokończył. – Chyba chciała, by wyglądało to bezwstydnie i żebyś wyrzucił mnie z opactwa. Wtedy nie miałbym wyjścia, musiałbym postąpić wedle jej życzenia.

– Niezwykłe. – Opat wstał i powoli podszedł do okna. Przez chwilę stał w milczeniu i spoglądał na wirydarz. – Ta lady Dominie zdaje się bardzo przedsiębiorczą damą.

– I pozbawioną skrupułów – dodał Armand cicho.

Jeśli nawet opat to słyszał, powstrzymał się od komentarza. Odwrócił się i



uważnie popatrzył Armandowi w twarz.

– Powiedz, bracie, dlaczego tak bardzo nie chcesz przychylić się do jej żądań?

Ze wszystkich możliwych pytań tego akurat Armand się nie spodziewał. Nie bardzo wiedział, co ma odrzec.

– Ja... Przysięgałem wyzbyć się przemocy, ojcze. Chcę poświęcić resztę życia Bogu.

– Tak, wiem. Ale dlaczego? Czy ma to coś wspólnego z rozłamem między tobą a de Montfordami?

– Owszem – przyznał Armand po chwili zastanowienia. – Nim trafiłem do Harwood, ojciec wpajał mi, że zawsze powinienem pozostawać wierny ideałom honoru, sprawiedliwości i cnoty.

Opat ukrył dłonie w habicie i westchnął głęboko.

– Ziarno zasiane w dzieciństwie trafiło na podatny grunt.

– Mam taką nadzieję, ojcze. – Armand skłonił głowę. Choć bardzo chciał wierzyć, że postąpił słusznie, rozwój wypadków wcale go nie cieszył. – Przez wiele lat ideały te wiernie mi – służyły, póki nie pojawiła się sprawa sukcesji. Znalazłem się po drugiej stronie barykady, naprzeciwko tych, którzy przez wiele lat byli mi drodzy.

Więcej nie mógł powiedzieć. Wyznał wszystko spowiednikowi i otrzymał rozgrzeszenie. Jednak wcale nie czuł się niewinny.

Z piersi opata wyrwał się dziwny dźwięk: westchnienie podobne do chichotu.

– O ileż łatwiejsze byłoby życie, gdybyśmy mogli wybierać jedynie między dobrem a złem. Zbyt często jednak dane jest nam wejść na ścieżkę między dwoma zupełnie różnymi rodzajami dobra. Albo popełnić jakiś niewielki grzech, by uniknąć wielkiego.

Armand nie odrywał spojrzenia od podłogi.

– Właśnie dlatego przybyłem do Breckland, ojcze. Tu nie muszę przejmować się takimi wyborami. Odrzuciłem ziemskie przywileje i więzi, które wiodą do pokus. Słucham przełożonych, ufam, że ich mądrość poprowadzi mnie właściwą drogą.

Ubóstwo, cnota, posłuszeństwo. To była jedyna droga dla człowieka takiego jak on. Nawet jeśli wymagała wielu wyrzeczeń.

Utrata ziem i wasali zabolęła go tak jak utrata podkomendnych w bitwie, a i tak ubóstwo było najłatwiejsze do zniesienia. Posłuszeństwo z trudem przychodziło wojownikowi i szlachcicowi, od najmłodszych lat nawykłemu do rozkazywania.

Co do czystości... Na wspomnienie jędrnych piersi Dominie na jego czole

pojawiły się krople potu.

– Ufasz, że słusznie tobą pokieruję? – Opat wydawał się szczerze poruszony słowami Armanda.

– Jak najbardziej, ojczcie.

– Nawet jeśli ścieżka, którą ci wybiorę, będzie zupełnie inna niż to, czego sam byś sobie życzył?

– Tym bardziej, ojczcie.

Opat Wilfrid usiadł z powrotem na krześle.

– A zatem nie lękaj się, synu. Wszystko będzie dobrze.

Armand oderwał wzrok od posadzki i spojrzał na starszego mężczyznę. Zadowolony, ojcowski uśmiech, który go powitał, sprawił, że młody człowiek przestał się bać.

Gorący, pożywny posiłek powinien przywrócić Dominie odwagę i optymizm.

Dlaczego jednak tak się nie stało? Mimo że była naprawdę najedzona, kiedy przeor Gerard zaprowadził ją z powrotem do komnaty opata, nie mogła się pozbyć wątpliwości i właściwie zrobiło się jej niedobrze.

Armand Flambard usiłował prezentować pokorną minę, ale otaczała go aura pewności siebie, która zaniepokoiła Dominie. Co zaszło między nim a opatem, kiedy ona się posilała? Obawiała się, że nic, co mogłoby jej przypaść do gustu.

Bardzo żałowała, że nie potrafi czytać w myślach opata.

Nie było w nim nic wyniosłego, patrycjuszowskiego. Mimo siwych włosów wokół tonsury wydawał się młodszy od przeora, miał grube rysy twarzy, bardziej chłopskie niż szlacheckie.

Jeśli się nie myliła, opat należał do tych, którzy nie zawahają się bronić swojej własności i ludzi, nawet tych, którzy zblądzili. To i błogie zadowolenie na twarzy Armanda nie wróżyło misji Dominie nic dobrego.

– Podejź tutaj, dziecko. – Opat skinął na nią ręką. – Ufam, że zdołałaś zaspokoić głód.

– Tak, ojczcie. Bardzo dziękuję, od dawna nie spożyłam równie sycącego posiłku. – Nie mogła przegapić takiej okazji. – Dopóki sytuacja w Wakeland i Harwood się nie zmieni, kto wie, kiedy ponownie zdołam się tak najeść?

Opat pokiwał głową.

– Armand opowiedział mi o twojej prośbie, dziecko.

Dominie rzuciła Armandowi spojrzenie pełne nienawiści.

– Proszę wybaczyć, ojczcie, ale on nie ma pojęcia o naszych problemach, gdyż

nie zdołałam mu o nich opowiedzieć – wycedziła.

– Mimo to czuję, że wiem dość, by wydać decyzję w tej sprawie.

Tego się właśnie obawiała.

– Ależ dałeś mi słowo, ojczy! – Dominie osunęła się na kolana i błagalnie złożyła ręce. – Proszę, zechciej mnie wysłuchać, nim podejmiesz jakąkolwiek decyzję!

– Dlaczego, dziecko? Czyżbyś sądziła, że ten człowiek nie powiedział mi prawdy?

Wiedziała, że musi przekonać do siebie opata. Jak jednak mogłaby oskarżyć Armanda o kłamstwo, skoro był najbardziej prawdomównym człowiekiem, z jakim miała do czynienia?

– Nie, ojczy – odparła. – Sądzę, że gdyby Armand Flambard usiłował skłamać, jego język zamieniłby się w kamień.

Szerokie usta opata drgnęły, ale szybko się opanował.

– Podobno pragniesz, by towarzyszył ci w drodze do twych włości i pomógł je chronić przed earlem Anglii... To znaczy, przed byłym earlem Anglii.

Dominie nie mogła nie pomyśleć o tym, że kłopoty jej; ludzi biorą się właśnie z tych słów – były earl.

W odpowiedzi na zdradę król Stefan pozbawił Euda St. Maura tytułów i ziem. Niestety, zbyt łagodny władca go nie uwięził. St. Maur zemścił się w ten sposób, że zaczął gnębić tych samych ludzi, którzy niegdyś złożyli mu hołd i liczyli na jego opiekę.

– Tak, ojczy. – Dominie wstała z podłogi. Klęczenie najwyraźniej nie wywarło żadnego wrażenia na opacie. – Bez pomocy lorda Flambarda więcej ludzi zginie i jeszcze więcej będzie głodowało po atakach St. Maura.

– Nie możecie sami się bronić? Widzę, że jesteś bardzo zaradną młodą damą.

Czyżby sobie dworował? Jednak błysk podziwu w szarych oczach opata świadczył o czymś innym.

– Jestem tylko kobietą, ojczy – oświadczyła Dominie. – Nawet gdybym potrafiła walczyć, a nie potrafię, wielu mężczyzn z Harwood i Wakeland nie chciałoby słuchać moich rozkazów. Podobnie jak wielu baronów odmówiło służby pod wodzą Maud Andegaweńskiej, bo to kobieta.

Opat wzruszył ramionami.

– Nie da się jednak zaprzeczyć, że inni poszliby za tą kobietą w ogień. Nie zapominaj też o królowej, drogie dziecko. Niejeden raz wyciągała króla z tarapatów.

A zatem mnich zamierzał ją odesłać z pustymi rękami. Dominie z trudem powstrzymała się od szlochów i przekleństw – ani jedno, ani drugie nie zaskarbiłoby jej sympatii opata.

Ojciec Wilfrid postukał palcem o brodę, jakby nagle przyszła mu do głowy całkiem nowa myśl.

– Zapewne nasz władca dawno straciłby już tron, gdyby nie pomoc jego małżonki – rzekł. – A gdzie byłaby cesarzowa bez zdolności taktycznych earla Gloucester?

– Nie mam pojęcia! – wykrzyknęła Dominie. – Wszystko mi jedno, które z nich zwycięży, zawsze było mi to obojętne. Chcę tylko, żeby przestali namawiać dobrych ludzi po obu stronach do walki przeciwko sobie. Niech żyją i rozprawią się z niegodziwcami pokroju Euda St. Maura!

A jednak. Nie zdołała się powstrzymać. Teraz opat uzna ją za zdrajczynię króla Stefana i dojdzie do wniosku, że wszystkie występki St. Maura w Harwood i Wakeland to słuszna kara.

– Dobrze powiedziane, moje dziecko. Najwyraźniej się przesłyszała.

– Słucham, ojcze?

– Dobrze powiedziane – powtórzył opat. – Gdybym ja miał cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, zamknąłbym Jej Wysokość i króla w jednym pokoiku razem z tobą. Myślę, że niesnaski między nimi prędko odeszłyby w zapomnienie.

Te słowa sprawiły, że Dominie zrobiło się cieplej na sercu. Nie potrzebowała jednak pochwał, lecz Armanda Flambarda.

– Chyba mnie przeceniasz, ojcze – szepnęła.

Opat uśmiechnął się dobrotliwie.

– A ty chyba siebie nie doceniasz, Dominie de Montford.

Jak zamierzałem powiedzieć, zanim mi przerwałaś, obie strony konfliktu to doskonały przykład na to, ile może zdziałać dobra współpraca między kobietą a mężczyzną.

Między kobietą a mężczyzną. Czyżby sugerował?

– Bracie – opat popatrzył na Armanda – nakazuję ci udać się z tą damą i wspomóc ją w walce z nieprzyjacielem Kościoła. Jeśli zechcesz powrócić do Breckland po wykonaniu zadania, nasze drzwi stoją przed tobą otworem. Jeśli jednak zmienisz decyzję w sprawie swojego powołania, zrozumiemy to.

Dominie poczuła taką ulgę, że ponownie osunęła się na kolana, częściowo w podzięce dla opata, a częściowo dlatego, że nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Ale ojcze! – wykrzyknął Armand. – Powiedziałeś przecież...

– Powiedziałem, że nie ma się czego obawiać i że wszystko będzie dobrze. Modłę się, by okazało się to prawdą. – Opat wstał z krzesła i podszedł do Armanda.  
– Nie zapominaj, co ty mówiłeś, synu, podobno ufasz, że słusznie tobą pokieruję.

Dominie zrobiło się żal Armanda. Najwyraźniej opat go podszedł i wpuścił w pułapkę.

– Naturalnie, ojcze, ale... – Armand wydawał się teraz tak zrozpaczony jak ona sama jeszcze przed chwilą.

– Nawet jeśli ścieżka, którą ci wybiorę, będzie zupełnie inna niż to, czego sam byś sobie życzył?

Armand westchnął ciężko.

– Tak, ojcze – odparł zrezygnowanym głosem.

– Znakomicie! – Najwyraźniej opat lubił stawiać na swoim. – Żaden dom boży nie powinien stanowić schronienia przed pokusami ani zawilościami tego świata, synu. Inaczej dusze pod naszą opieką by osłabły i stały się łatwą ofiarą zła.

Ze swego stanowiska przy drzwiach przeor w milczeniu obserwował rozwój wydarzeń. Pokiwał głową, jakby na potwierdzenie słów opata.

– I choć żądamy od naszych braci posłuszeństwa – ciągnął opat – robimy to, by pomóc im pokonać własną dumę i zapewnić dobre funkcjonowanie zakonu. Nie chcemy pozbawiać ich wyboru między złem a dobrem, a wybór taki dostali od Boga.

– Tak, ojcze. – Armand chyba nie byłby bardziej przygnębiony, gdyby opat skazał go na karę śmierci.

Dominie się obruszyła. Czy rzeczywiście powrót do życia wojownika to takie wielkie poświęcenie? A co z odzyskaniem ziem, które należały do Flambardów od czasu najazdu Normanów? I poślubieniem kobiety, którą podobno się kiedyś kochało?

Teraz patrzył na nią tak, że zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie kiedykolwiek mu na niej zależało. Choć powtarzała sobie, że nie ma to najmniejszego znaczenia, ta wątpliwość zepsuła jej słodki smak zwycięstwa.

### Rozdział 3

I pomyśleć, że przez wszystkie te lata sądził, że wciąż kocha Dominie de Montford. Na dodatek wyobrażał sobie, że jest ona słodką, skromną dziewczyną. Znał słodszych i skromniejszych najemników!

I na pewno mniej upartych.

– Nie rozumiem, czemu musieliśmy tak rychło wyruszyć – narzekał, gdy dreptali po pagórkowatych ziemiach hrabstwa Norfolk. – Za kilka godzin zapadnie zmierzch. Czy stałoby się coś strasznego, gdybyśmy spędzili jedną noc w Breckland, w porządnym łóżku? Wyruszylibyśmy o świcie, z pełnymi żołądkami.

Minęły zaledwie dwie godziny od ich rozmowy z opatem. W klasztorze bracia zasiadali teraz do kolacji. Bez wątpienia zauważyli jego nieobecność, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, może nawet szeptali między sobą, gdyż zasada milczenia w Breckland nie była ściśle przestrzegana podczas posiłków.

Ci, którzy pracowali na polach, być może opowiedzą, jak Armand eskortował chłopca do klasztoru. Czy brat Ranulf podzielił się z nimi intrygującą informacją, że w rzeczywistości chłopiec był młodą kobietą, do tego niezwykle urodziwą?

Tak, bez wątpienia urody jej nie brakowało. Jaka szkoda, że usposobienie zupełnie nie pasowało do uroczych rysów twarzy i zgrabnej sylwetki.

– Mówiłam ci, że musimy się śpieszyć – rzuciła przez ramię. – Chcę dotrzeć do lasu Thetford przed zapadnięciem zmroku.

Armand zastanawiał się, jak to możliwe, że ona wciąż prowadzi. Szedł szybko i czuł się wypoczęty. Dominie przez ostatnie dni niemal w ogóle nie odpoczywała, do tego była niższa od niego, miała krótsze nogi, a jednak z trudem dotrzymywał jej kroku.

Nie bardzo mu się to podobało. Czas spędzony w zakonie nie stępił jego dumy.

– Jeśli tak ci zależy na pośpiechu, czemu odrzuciłaś propozycję opata, gdy oferował ci konia? – spytał. – Wtedy moglibyśmy poczekać do ranka, a zarazem dotrzeć na miejsce znacznie szybciej.

No tak – to tyle w kwestii opisywanej przez opata współpracy między kobietą a mężczyzną. Ojciec Wilfrid spędził w klasztorze co najmniej dwadzieścia lat. Jedyne kobiety, jakie znał, były postaciami z Ewangelii.

– Chciałeś podróżować traktem? Czy jesteś aż tak tępy? odparła tonem, którego, jak pomyślał Armand, nie używała żadna biblijna niewiasta. Chyba że Dalila albo Jezabel. – Trakt biegnie skrajem terytoriów splądrowanych przez St.

Maura.

Gdyby jeden z tych jego łachmytów obserwował drogę, natychmiast zabraliby nam konia, a może i na tym by się nie skończyło. Wolę iść okrężną drogą, którą tu przyszedłam. Dzięki temu mamy szansę dotrzeć na miejsce w jednym kawałku.

Myśl o trzydniowej podróży w jej towarzystwie była mocno niepokojąca. Właściwie nie chodziło o dni, podczas których mieli wędrować, robiąc sobie tylko krótkie przerwy na posiłek. Noce... to całkiem inna sprawa.

Wiele razy w opactwie przewracał się z boku na bok na wąskim łóżku, usiłując odpędzić myśli o Dominie de Montford. Jak miał sobie poradzić, gdy znajdzie się metr, a być może centymetry, od niej? Gdy będzie go kusił jej słodki oddech?

– Wątpisz, że zdołałbym cię obronić, gdyby nas zaatakowano? – spytał Armand zaczepnie, zapominając, że poprzysiągł wyrzec się przemocy. Z trudem przyśpieszył, żeby nie wpatrywać się w jej plecy. – A jednak twierdzisz, że tylko ja mogę ocalić całe Wakeland i Harwood przed Wilkiem z Fenlands. Przecież jedno przeczy drugiemu.

– To co innego. – Dominie znowu wyrwała do przodu. – Wtedy będziemy w stanie się bronić. Znajdziesz się w jednym z zamków, choćby w szopie, i będziesz miał pod sobą ludzi. Jakie mamy szansę, skoro oboje jesteśmy nieuzbrojeni, na otwartej przestrzeni, napadnięci przez trójkę bądź czwórkę bandytów?

– Nieuzbrojeni? – obruszył się. – Gdyby moja laska miała rozum, z pewnością poczułaby się urażona twoimi słowami.

Wyciągnął laskę z twardego jesionu i strącił nią czapkę z głowy Dominie. Długi warkocz opadł jej na plecy.

Nie spodziewał się, że jej reakcja będzie błyskawiczna.

Nim zdołał zabrać kij, Dominie złapała za jego koniec i mocno szarpnęła. Armand potknął się i omal nie runął jak długi na ziemię.

Dominie oparła ręce na biodrach, rozstawiła szeroko nogi i zaśmiała się donośnie.

– Twoja laska ma więcej rozumu niż ty, Flambard. Uważaj, nim ponownie mnie zaatakujesz. Pomszczę każdą napaść na siebie lub swą własność.

Napaść? Zemsta? Nawet gdyby wraziła mu ten jesionowy kij w brzuch, zaboląoby go to mniej niż te okrutne słowa. Minęło zaledwie parę godzin od opuszczenia klasztoru, a Armand już zapominał o ślubach i z powrotem wcielał się w wojownika.

Czy zdoła oprzeć się pokusie powrotu do dawnego życia?

Armand wyglądał tak, jakby otrzymał śmiertelny cios.

– Czy coś się stało? Niedomagasz?

A może dlatego szukał schronienia w Breckland? To by wyjaśniało, co urodzony wojownik robił na terenie opactwa. I jeszcze ta dziwna uwaga o tym, że i on częściowo zginął w Lincoln.

Dominie poczuła ssanie w żołądku, całkiem jakby nie zjadła w klasztorze pożywnego posiłku. Powtarzała sobie, że złe samopoczucie Armanda Flambarda nie powinno jej obchodzić. Chodzi jedynie o to, że cierpiący wojownik jest mniej użyteczny.

– Niedomagam? Skąd. – Mówił pewnym głosem, ale wydawało się, że oddycha z jakimś trudem. – Podczas godzin pracy w klasztorze nie oszczędzałem się, ale też wiele godzin spędziłem na modlitwach, a to nie wzmacnia ciała. Odwykłem od długich wędrówek.

Pamiętała, że zawsze miał wobec siebie bardzo wysokie wymagania. Przyznanie się do słabości musiało go sporo kosztować.

– To już niedaleko. – Wyciągnęła rękę. – Za tym wzniesieniem płynie strumyk. Kiedy go pokonamy, zobaczymy granicę lasu. Będziemy musieli poruszać się wolniej, ale dzięki temu opóźnieniu przez cały czas pozostaniemy niewidoczni.

– Bardzo proszę, pani dowódco. – Armand wyprostował ramiona i głęboko odetchnął. – Prowadź.

Dominie wspięła się na czubki palców. Zasłoniła oczy przed słońcem i rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła niczego groźnego. Tylko jakiś człowiek daleko po wschodniej stronie chyba przekopywał ziemię.

Ruszyła ponownie przed siebie, ale tym razem wolniej, dostosowując się do tempa Armanda.

– Nie rozumiem, czemu postanowiłeś nam pomóc dopiero po tym, jak opat ci nakazał. – Coś podpowiadało jej, że nie powinna drażnić tego tematu, jednak nie mogła się opanować.

– Czy jesteś taki zgorzkniały, bo król podarował twoje ziemie mojemu ojcu? Gdy dokonywałeś wyboru między królem a cesarzową, musiałeś wiedzieć, że tak będzie. Wolałbyś, by Harwood trafiło w obce ręce?

Przygotowała się na ciętą odpowiedź, Armand jednak milczał. Po chwili ciężko westchnął i powiedział:

– Gdyby tylko sprawy ułożyły się inaczej, z całą pewnością to właśnie de Montfordom powierzyłbym Harwood. Nasze rodziny były sojusznikami, odkąd przybyliśmy do tego kraju, i jeszcze wcześniej, w Normandii. Zawsze strześliśmy



się nawzajem, braliśmy dzieci na wychowanie, staliśmy ramię w ramię w obliczu jakichkolwiek kłopotów.

Czyżby zapomniał wspomnieć o więzach małżeńskich we wcześniejszych pokoleniach? A może celowo o tym nie mówił?

Z trudem stłumiła gniew, który nieodmiennie ją ogarniał, gdy myślała o zdradzie Armanda. Opat Wilfrid oświadczył przecież, że muszą z sobą współpracować dla dobra innych.

– Znowu jest okazja, by Flambardowie i de Montfordowie stanęli ramię w ramię. Bóg jeden wie, że nasi ludzie nie mieli nigdy gorszego problemu niż Wilk z Fenlands.

– To nie będzie proste. – Armand pokręcił głową i zapatrzył się w przestrzeń. – Nawet jeśli zdołamy odeprzeć atak St. Maura przed zbiorami, dlaczego jego ludzie nie mieliby powrócić w następnym roku, i w kolejnych latach, jeszcze bardziej rozwścieczeni naszym oporem?

Czyżby zapomniał?

– No i co z tego? – Wzruszyła ramionami. – Będiesz tam, by z nimi walczyć, jeszcze silniejszy, bo zostanie ci cały rok na przygotowania. Poza tym król usiłuje wziąć w karby tego demona, którego na nas wypuścił. Buduje zamki, by otoczyć St.

Maura. W tym roku jednak to się zapewne nie uda.

Zerknęła na Armanda. Na jego twarzy malowało się zwątpienie. Postanowiła je zignorować, dla własnego dobra.

– St. Maur nie różni się od innego tyra. – Nie była to do końca prawda: był mocarny i okrutny. – Kiedy upuścimy mu trochę krwi, pójdzie poszukać sobie słabszej ofiary i zostawi nas w spokoju.

– Mam nadzieję. – Armand nie wydawał się przekonany. – – Dla naszego wspólnego dobra postaram się jak najlepiej wyćwiczyć kogoś, kto zajmie moje miejsce, ale pamiętaj, że rozkaz opata obowiązuje tylko do czasu, gdy wasze zbiory będą bezpieczne. Potem muszę wrócić do Breckland.

– Co? Do Breck... – Dominie urwała nagle. – Myślałam, że zawarliśmy umowę!

– Złożyłaś mi propozycję, gdy przyszpiliłaś mnie do tej kolumny. Nie przyjąłem twojej oferty. Jestem tu z tobą, bo tak nakazał mi opat, to nie moja decyzja. Odejdę, gdy minie pora zbiorów.

Dlaczego jego słowa tak ją zdenerwowały? Nie mogła przestać zadawać sobie tego pytania. Małżeństwo z Armandem Flambardem i zwrot jego ziem nie były jej marzeniem, lecz niezbędną ofiarą, którą była gotowa ponieść, by pozyskać pomoc

dawnego narzeczonego w walce z St. Maurem. Powinna czuć się zachwycona, że otrzyma jego wsparcie bez poświęcania ziemi ani ręki.

Jednak dziwne ssanie, które wciąż czuła w żołądku, z pewnością nie było spowodowane zachwytem. Może zwyczajnie martwiła się tym, co stanie się z jej rodziną i dobrami po tym, jak Armand znowu ich opuści.

– Dlaczego chcesz mnie za męża? – zapytał nieoczekiwanie.

– Po tym jak ułożyło się między nami w przeszłości?

W szorstkim tonie wyczuwała tłumiony żal. Odkąd po raz pierwszy rozmawiali z sobą w klasztorze – a może nawet jeszcze wcześniej, kiedy powiedziano jej, że Armand, być może, nadal żyje, postanowiła chwilowo zapomnieć o tym, co zrobił pięć lat wcześniej. Musiała – dla dobra swoich ludzi i ich przyszłości.

Teraz wybuch złości nie mógł go zwolnić z rozkazu opata Wilfrida. Udawana radość nie mogła go skłonić, by został z nią dłużej niż jeden sezon.

Dominie obróciła się na pięcie i wbiła w Armanda nieustępliwe spojrzenie. Nie chciała, aby pomyślał, że zdołał ją zastraszyć.

– Nie pochlebiaj sobie, że jestem zakochaną gąską, wciąż marzącą o mężczyźnie, który mnie porzucił, Flambard! – wycedziła.

Dźgnęła go palcem w pierś, tam, gdzie byłoby jego serce, gdyby je miał, naturalnie.

– Mogłabym wyjść za ciebie jedynie ze względów praktycznych – dodała. – Gdybyś nie był dobrym wojownikiem i przywódcą, w ogóle nie chciałabym mieć z tobą nic wspólnego.

– Tak też przypuszczałem. – Popatrzył na nią uważnie. Jego oczy były błękitne niczym wiosenne niebo. To spojrzenie mogłoby ją wzruszyć, gdyby Dominie była na tyle głupia, by do tego dopuścić.

– Czy miłość to również jeden z tych twoich szczytnych ideałów? – zapytała z pogardą. – Czy uważasz, że mężczyzna i kobieta koniecznie muszą się kochać, by wziąć ślub?

Rozchylił usta, by odpowiedzieć. Dominie przeszył dreszcz strachu, że Armand zaraz powie coś, co przekona ją do kłamstw, w które nie była w stanie uwierzyć.

– Bzdura! – wykrzyknęła w odpowiedzi na własne pytanie.

– Małżeństwo to sprawa praktyczna, zbyt istotna, by przy jej zawieraniu oddawać się jakimś mrzonkom.

Powoli uniósł dłoń do jej twarzy. Dominie drgnęła, jakby w obawie, że Armand zaraz ją uderzy. Tak naprawdę nie tego się jednak obawiała. Ten człowiek mógł jej wyrządzić większą krzywdę czułością niż gniewem.

– Nie, Dominie. – Jej imię zabrzmiało w jego ustach niczym pieszczota, choć jej nie dotknął, nie opuścił ręki. – Małżeństwo to zbyt istotna sprawa, by zawierać je z niskich pobudek Nagle zatęskniła za swoją dawną wiarą i niewinnością, już nie do odzyskania. A tak bardzo chciała wierzyć, że znajdzie odpowiedzi na dręczące ją pytania i ukojenie w jego ramionach.

Płonna nadzieja.

Usiłowała się roześmiać, ale miała ochotę zaszlochać.

– I to mówi człowiek, który kryje się przed światem w klasztorze!

Odwróciła się gwałtownie i szybko przebiegła kilka ostatnich metrów na szczyt niewysokiego pagórka. Nie chciała, by się domyślił, jak ogromnie zraniło ją jego odejście. Sama przed sobą nie przyznałaby się do tego, że wciąż miał nad nią władzę i mógł ją zranić... bardziej niż kiedykolwiek.

Czy właśnie to robił w Breckland? Krył się przed ludźmi? Nie miał odwagi zadać sobie tego pytania, o uczciwej odpowiedzi nie wspominając.

Szukał schronienia przed światem, który, jak się okazało, funkcjonował całkiem inaczej niż uczono Armanda. Światem, gdzie honor był zaledwie kaprysem i nikomu nie można było ufać. Światem, w którym człowiek, który starał się czynić dobro, nagle odkrywał, że czynił olbrzymie zło.

Bolało go odkrycie, że kobieta, której cnoty tak długo podziwiał, teraz stała się częścią tego świata.

– Czy nie liczą się dla ciebie żadne ideały?! – wykrzyknął.

– Żadne! – odparła krnąbrnie. – Zrobię co w mojej mocy i odrzucę wszelkie skrupuły, żeby utrzymać siebie i swoich ludzi. Niby czemu miałyby służyć poza tym, że ciało czułoby się winne, robiąc to, co należy?

Armand w pewnym stopniu zazdrościł Dominie takiej postawy. Przynajmniej spała w nocy snem sprawiedliwego, nie to co on. Armand zmusił oporne stopy, by pokonały ostatnie metry na wzniesieniu. Po drugiej stronie płynął strumień, o którym wspominała Dominie.

Armand oszacował, że w najwęższym miejscu strumyk ma niespełna pięć metrów. Woda nie wydawała się specjalnie głęboka, że strumienia wystawały czubki trzech dużych kamieni. Za nim, na południu, Armand dostrzegł skraj lasu Thetford na tle ciemniejącego nieba. Las obiecywał odpoczynek i schronienie.

Dominie dotarła do brzegu strumienia. Tam rzuciła się na ziemię i zaczęła ściągać skórzane buty. Potem, ku niesłychanemu zdumieniu Armanda, zdjęła wełnianą pończochę.

– Co ty wyprawiasz? – Usiłował nie patrzeć na jej smukłą łydkę.

Kiedy spojrzała na niego, ujrzał błysk w jej oczach. Znała jego słabość i nie zawahałaby się jej wykorzystać przeciwko niemu, choćby tylko dla własnej satysfakcji.

Z prowokacyjnym uśmiechem zaczęła ściągać drugą pończochę.

– Robię dokładnie to, co zrobiłam, gdy pokonywałam ten strumień w drodze do Breckland. Zdejmuję ubranie, żeby nie zamokło.

Podczas gdy Armand otwierał i zamykał usta niczym świeżo wyłowiona ryba, Dominie obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Proponuję, żebyś zrobił to samo – powiedziała.

– W żadnym wypadku! – Miał ochotę nią potrząsnąć, ale wolał nie ryzykować.  
– Nie wypada.

– Ty cnotliwa, zakuta pało! – Dominie cisnęła w niego pończochą. – Zastanawiam się, jak zdołałeś przez tyle lat przetrwać.

Zielona pończocha trafiła Armanda prosto w nos. Dominie zerwała się na równe nogi. Tunika sięgała jej zaledwie do połowy uda.

– To najwęższe miejsce w promieniu wielu kilometrów, tylko tu możemy pokonać wodę. Rankiem była lodowata, wątpię, żeby od tamtego czasu się rozgrzała.

Rzeczywiście, o tej porze roku było to bardzo mało prawdopodobne.

– Jeśli zdejmemy ubranie i będziemy nieśli je nad głową, zmarzniemy, nim zdołamy dojść na drugi brzeg – ciągnęła. – Za to suche ubranie i szybki marsz wkrótce nas rozgrzeją.

– W rzeczy samej, lecz...

– Jeśli pozostaniemy w ubraniach, dotrzemy na drugi brzeg zmarznięci i przemoczeni. Nie zdołamy wysuszyć ubrań przed zapadnięciem nocy.

Ta młódka przegadałaby nawet świętego Augustyna!

– Nie. – Armand zamierzał trzymać się swoich zasad. – To byłoby niewłaściwe. Dominie podniosła pończochę z ziemi.

– Wiem, jak zbudowany jest mężczyzna, jeśli to cię trapi oznajmiła. – Daję ci uroczyste słowo, że będę tak zajęta przedostawaniem się na drugi brzeg, nim zamrznę, że nie obdarzę twego wspaniałego ciała nawet jednym spojrzeniem.

Armand się zawahał. Nieraz słyszał, że zimna woda tłumi namiętności. Wątpił jednak, by lód zdołał ugasić jego żądze.

– Prosisz, bym uwierzył w słowo kogoś z rodziny de Montford?

Nie powinien być tego mówić. Uświadomił to sobie w chwili, gdy te słowa

padły, nie mógł jednak ich cofnąć. Dominie popatrzyła na niego z nienawiścią.

– Gdybyś nie był tak bardzo potrzebny ludności w Wakeland i Harwood, natychmiast wepchnęłabym cię do strumienia, i to w ubraniu.

Nie chodziło tylko o to, że Dominie zobaczy go nago i natychmiast domyśli się, że wciąż wzbudza w nim pożądanie.

– Przejdę po kamieniach. – Z trudem ukrywał desperację, pobrzmiwającą w jego głosie.

– Tu nie ma żadnych nadających się do tego kamieni – zauważyła Dominie. – Jest tylko kilka skałek. Na pierwszą wskoczysz z łatwością, tak jak i z łatwością zeskoczysz z trzeciej na drugi brzeg. Jednak środkowy kamień znajduje się za daleko nawet na twoje długie nogi.

– Dосkoczę.

– Wpadniesz do wody – Jestem zręczny.

– Jesteś osłem.

Po tych słowach Armand Flambard za nic by się nie wycofał.

– Usłyszysz mój triumfalny ryk, gdy tylko dotrę do drugiego brzegu.

Dominie milczała. Pokręciła głową i westchnęła ciężko, by wyrazić pogardę dla jego postawy.

Armand ukląkł i rozwiązał sandały. Wstał i przerzucił je na drugi brzeg. Uznał, że bosa stopy lepiej będą przylegały do kamieni. Potem cisnął laską przez strumień, by mieć obie ręce wolne. W końcu podwinął dół habitu i zatknął go za sznur w pasie, dzięki czemu miał nogi nagie do kolan. Nie chciał nastąpić na skraj szaty i stracić równowagi.

Nie odważył się przerzucić peleryny, obawiał się, że wpadnie do wody. Duma nie pozwoliła mu również poprosić Dominie o to, by ją przeniosła.

Dominie demonstracyjnie go ignorowała, zajęta ściąganiem tuniki. Kiedy zdjęła też płócienną halkę, zwinęła ubiór w małą paczuszkę.

Armand z wielkim trudem odwrócił wzrok i skoncentrował się na przejściu na drugi brzeg.

Jak przewidziała Dominie, jednym susem zdołał się przedostać na pierwszy kamień. Okazało się, że jest on bardzo śliski, Armand stracił równowagę i musiał podeprzeć się ręką.

Usłyszał za sobą cichy okrzyk Dominie, gdy weszła do lodowatej wody.

Armand wybił się i skoczył na drugi kamień. Zdołał się na nim utrzymać, choć na chwilę jego prawa noga osunęła się pod wodę. Przeszył go dreszcz.

Trzeci kamień znajdował się całkiem niedaleko, lecz jego powierzchnia

wydawała się jeszcze bardziej niestabilna. Było jednak zbyt późno na odwrót. Armand zacisnął zęby i skoczył. Wylądował pod dziwnym kątem, poczuł w nodze przenikliwy ból.

No i co z tego? Udało się. Drugi brzeg był zaledwie krok dalej.

Gdy Armand robił ostatni krok, Dominie wyłoniła się z wody, tuż obok niego. Jej skóra miała niebieskawy odcień i była pokryta gęsią skórką. Trzymała nad głową tobołek z ubraniem, niczym pogańska kapłanka niosąca ofiarę.

Nie zdołał dotrzeć do brzegu, stracił równowagę i upadł do tyłu. Zanim trafił do lodowatej wody, Dominie rzuciła się ku Armandowi.

Było już jednak za późno.

## Rozdział 4

Przez chwile, nie dłuższą niż ułamek sekundy, patrzyli na siebie. Zanim jednak Dominie zdołała chwycić Armanda, wpadł do wody, wymachując rękami.

W tym miejscu strumień nie był zbyt głęboki, jednak szamotanina Armanda i jego przemoczone ubranie mogły doprowadzić do tego, że porwałby go prąd.

Dominie tłumaczyła wcześniej Armandowi, że powinien przejść strumień w bród. Niech diabli wezmą jego i jego cnotliwość! Należałoby mu się, żeby zatonął albo zamarzł.

Nie mogła jednak do tego dopuścić. Jej ludzie za bardzo go potrzebowali. Jednak zanurzając się z powrotem w lodowatą toń, myślała o czymś jeszcze.

Armand Flambard już raz odwrócił się do niej plecami. *Być może*, był teraz całkiem innym człowiekiem niż ten, na którym niegdyś je zależało. Może nigdy nie był taki, jak sądziła? Nie mogła jednak zapomnieć o olbrzymim żalu, który ją gnębił, gdy uwierzyła, że utraciła go na zawsze. Nie mogła pozwolić sobie na to raz jeszcze. Nie, skoro była w stanie temu zapobiec.

Poza tym jej ciało i tak było zdrętwiałe z zimna, więc co za różnica.

Szybko się przekonała. Gdy szła przez strumień, jej ramiona, szyja i głowa były suche, teraz zanurzyły się pod wodę. Dreszcz wstrząsnął nagim ciałem Dominie. Jak te biedne ryby to znosiły? Na ich miejscu natychmiast wyskoczyłaby na brzeg, nawet ryzykując, że zostanie złapana i usmażona.

Armand natychmiast ją schwycił. Jego duża dłoń otoczyła jej pierś, a następnie złapała za ramię. To jej nie rozgrzało. Pewnie tylko ognie piekielne byłyby w stanie tego dokonać.

Trzymając jego rękę obiema rękami, zaparła się i zaczęła ciągnąć Armanda do brzegu, z większą siłą, niż się po sobie spodziewała. Nagle wylądował na niej, zanurzając jej głowę pod wodę. Zaczęła szamotać się jak oszalała, aby go z siebie zepchnąć. Musiała stoczyć z nim walkę, aby wynurzyć się na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Gdyby oboje utopili się w wodzie, której głębokość tylko nieznacznie przekroczyła metr, Dominie przez całą wieczność prześladowałaby w piekle duszę Armanda.

Tymczasem Armand ani przez moment nie puścił jej ręki. Teraz chwycił jej drugie ramię, choć usiłowała się oswobodzić. Uderzyła kolanami, aby znaleźć jakikolwiek punkt podparcia na jego ciele. Ogarnęła ją panika, z każdą chwilą coraz silniejsza.

Kiedy każda cząstka jej ciała domagała się powietrza, Armand przetoczył się na plecy i wypchnął Dominie nad wodę.

Krztusiła się i kaszłała, walcząc o każdy oddech. Słyszała, że Armand robi to samo. Czowała, jak jego szeroki tors drży pod nią. Gdy zdołała wreszcie zaczerpnąć powietrza, zaczęła jaśniej myśleć. Jakimś cudem udało im się wyjść na brzeg. Teraz Armand leżał z rozrzuconymi ramionami, a ona na nim, całkiem naga.

– Wstawaj – wychrypiała, wdrapując się wyżej na brzeg. Zamarzniemy, jeśli się nie podniesiemy.

Pociągnęła go za ramię. Wiedziała, że nie zdoła go ruszyć, jeśli Armand nie będzie współpracował.

– Wstawaj!

Nadal kaszłał i walczył o oddech, ale najwyraźniej dotarł do niego jej rozkazujący ton. Armand z wysiłkiem przekręcił się na bok, a potem opadł na brzuch. Powoli całkiem wypełzł z lodowatej wody.

Dominie złapała go pod pachami i pociągnęła. Za każdym razem, gdy robił ruch do przodu, ciągnęła z całych sił. Kiedy w końcu znaleźli się na suchej ziemi, czuła się tak, jakby jej ręce i nogi zrobiono z mokrego drewna.

Dysząc ciężko, rzuciła się na trawę obok Armanda. Gdyby było cieplej, chętnie poleżałaby tak sobie, czekając, aż powrócą jej siły. Jednak szczekanie zębami i gęsia skórka sygnalizowały, że powinna jak najszybciej ruszyć przed siebie.

Tobołek z ubraniem był tam, gdzie go cisnęła – Bogu dzięki, na suchej ziemi. Włożyła na siebie płócienną halkę, dziękując w duchu niebiosom za jej ciepło. Naciągając pończochy, nagle przypomniała sobie o Armandzie.

Leżał na trawie, kaszłał i drżał. W tej przemoczonej szacie nie miał szans. Dominie zmeła w ustach przekleństwo, wściekła, że jej nie posłuchał.

Może to była kara dla niej za to, że mu rozkazywała. Nie mogła się pozbyć tej myśli. Gdyby przekonała go rozsądnymi argumentami, być może niebezpieczeństwo by ich ominęło.

Armand nie do końca zdawał sobie sprawę z ryzyka, ona jednak i owszem. Właśnie dlatego powinna była użyć wszystkich dostępnych środków, żeby go przekonać, nawet kosztem swojej dumy. Może jednak nie była tak rozsądna, jak wszyscy sądzili.

Dręczyło ją sumienie, gdy podeszła do Armanda i pociągnęła za skraj jego habitu.

Z wysiłkiem usiłował odepchnąć jej dłoń.

– Co ty znowu wyprawiasz?



Dominie przełknęła ciętą odpowiedź, która cisnęła się jej na usta. Zamiast obsztorcować towarzysza, przemówiła miękkim, łagodnym tonem, jakiego czasem używała w stosunku do matki albo młodszego brata, przekonując ich, by zrobili coś nie po swojej myśli.

– Dajże spokój. Nie możesz zostać w tych mokrych szatach.

Pomóż mi je ściągnąć, bądź rozsądny.

Zdumiało ją, kiedy pokiwał głową i z trudem uklęknął.

– To kara za mój błąd. Powinienem być cię posłuchać.

O dziwo, jej satysfakcja była mniejsza, niż Dominie mogłaby się spodziewać.

– Powinieneś – przytaknęła. – Co się jednak stało, to się nie odstanie, jak mówią.

Armand zaczął rozwiązywać sznur, który służył mu za pasek.

– Przynajmniej mogłem cię poprosić, żebyś zaniósła mój habit. Teraz byłby suchy.

– Pewnie byś poprosił, gdybym cię nie prowokowała. Daj, pomogę.

Gdy ściągnęła z Armanda przemoczoną szatę, popatrzył na nią z mieszaniną wdzięczności i zdumienia. Ścisnęło się jej serce.

– Ocaliłaś mi życie – powiedział.

Czyżby ta bystra woda zmyła niechęć między nimi? – zastanawiał się Armand, słuchając łagodnego głosu Dominie. A może zimno zamroziło jego przekłętą dumę?

Postąpił jak głupiec. Zasłużył na to, co go spotkało. Jednak Dominie na to nie zasłużyła.

Wydawała się zdumiona jego słowami.

– Przecież nie mogłam pozwolić ci utonąć, prawda? – Pokręciła głową, patrząc na jego przemoczone ubranie. – Nie po tym, co przeszłam do tej pory. Trup to kiepski obrońca.

Naturalnie ocaliła go wyłącznie przez wzgląd na Harwood i Wakeland. Dla nich również odbyła tę wyczerpującą podróż do opactwa i oferowała mu swoją rękę wraz z jego dawnymi ziemiami, chociaż z pewnością wołałaby, żeby nie żył. Jak ostatni głupiec uwierzył, że działała z innych pobudek.

Z pomocą Dominie ściągnął spodnie szaty. Dziwnie się czuł, całkiem jakby pozbywał się wraz z nimi benedyktyńskiej tożsamości. Gdy w końcu usiadł na trawie, skromnie zasłaniając przyrodzenie kolanami, Dominie sięgnęła po pończochę i szorstką wełną zaczęła rozcierać plecy i ramiona Armanda.

– To cię powinno rozgrzać – zauważyła. – Mam nadzieję, że jakoś zmieścisz się

w moją tunikę. Nie zakryje zbyt wiele, ale przynajmniej jest sucha.

– Nie włożę twojej tuniki! – Nie mógł zaciągać u niej aż takiego długu wdzięczności. – Tylko ja odpowiadam za to, że mam mokre ubranie. Nie będziesz cierpiała z powodu moich błędów, ostrzegałaś mnie przecież.

– Lekko uderzyła go w głowę wełnianą pończochą.

– Nie gadaj bzdur! Mam jeszcze halkę i te pończochy, a do tego buty i pelerynę. Mogę pozbyć się tuniki, żebyś nie zamarznął. Mówiłam przecież, że martwy na nic mi się nie zdasz.

– Pewnie nie. – Skrzywił się wymownie.

Właściwie pewność, że Dominie traktuje go wyłącznie w kategoriach użytkowych, sprawiła, że łatwiej mu było zgodzić się na włożenie tuniki. Niemniej jednak ta konstatacja nieco go bolała, sam nie wiedział dlaczego.

Kiedy już Dominie roztarta mu plecy, ramiona i barki, aż zaczęły go szczypać, rzuciła mu pończochę na kolana.

– Resztą sam się zajmij – poleciała.

Odwróciła się i zaczęła wyzymać jego mokre ubranie. Promienie zachodzącego słońca padały na wypłowiałe płótno halki, podkreślając kontury kobiecego ciała. Armand wiedział, że powinien patrzeć w inną stronę.

Niechętnie zmusił się do odwrócenia wzroku.

Kiedy wyżeła porządnie mokre szaty, Dominie rzuciła Armandowi swoją tunikę i czapkę, a także jego własne sandały. Usiadła na trawie i zaczęła wciągać pończochę.

– Kiedy już się ubierzemy, musimy pośpieszyć do lasu. Obawiam się, że noc będzie jasna, jak wczoraj, i zimna.

Armand nie zamierzał z nią polemizować. Zadrzał na myśl o chłodzie nocy. Tunika, która luźno zwisała na smukłej dziewczynie, opasała go niczym skóra węża, ledwie zakrywając pośladki.

Włożył na nogi sandały i przykrył mokre włosy czapką.

– Ruszajmy zatem. – Rzucił drugą pończochę w kierunku Dominie. – Marsz nieco nas rozgrzeje.

Spojrzała na niego i rozchyliła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego się roześmiała.

Policzki Armanda pokryły się rumieńcem.

– Dajże spokój, dziewczyno! To ty kazałaś mi to włożyć, pamiętasz jeszcze? Czyżby po to, by ze mnie drwić?

Pokręciła głową i usiłowała odpowiedzieć, ale nie mogła przestać się śmiać.

Armand nie był w nastroju do żartów, zwłaszcza własnym kosztem, ale śmiech okazał się zaraźliwy. Kąciki ust niedoszedłego zakonnika wygięły się do góry, wbrew jego woli. Im zacieklej walczył z wesołością, tym bardziej chciało mu się śmiać, i w końcu nie wytrzymał.

Po pewnym czasie Dominie zdołała zapanować nad sobą.

– Wystarczy! – zawołała w końcu. – Jeśli w pobliżu jest ktoś, kto źle nam życzy, z pewnością bez trudu nas odnajdzie.

Ta uwaga otrzeźwiła Armanda. Nie mógł jednak do końca nad sobą zapanować.

– Niczego się nie obawiaj. – Zachichotał po raz ostatni. Jedno spojrzenie i wróg upadnie, zdjęty wesołością. Wtedy bez trudu go rozbroimy.

Kiedy Dominie wciągnęła pończochy i buty, podszedł do niej i wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać. Armand był pewien, że odmówi. Zanim jednak cofnął rękę, Dominie ją chwyciła i podniosła się z ziemi.

– Pożycz mi swoją laskę, dobrze? – spytała.

– Oczywiście. – Armand podał jej laskę. – Na cóż ci ona?

– Obserwuj mnie.

Wzięła kij i rozwiesiła na nim mokrą szatę Armanda. Podniosła laskę z jednej strony, a jemu kazała złapać ją z drugiej.

– Dzięki temu żadne z nas nie będzie musiało nieść mokrego tobołka, a twoje szaty będą schły podczas marszu.

– Dobry pomysł. – Armand z aprobatą pokiwał głową. – Zawsze byłaś taka pomysłowa?

Inną ją zapamiętał.

Czy ten niewinny, cnotliwy ideał, który przez tyle lat piastował w swoim sercu, w ogóle istniał? Armand wcale nie był tego pewien. A może zrodził się wyłącznie z jego marzeń i pragnień?

Dominie ruszyła ku lasowi.

– Odkąd pamiętam, byłam bardzo praktyczna. Poza tym potrzeba jest matką wynalazku.

Armand przyspieszył, by dotrzymać jej kroku i trzymać kij na tyle wysoko, by szata nie ciągnęła się po ziemi.

– Pewnie było ci ciężko, prawda? – Zwalczył pokusę, by dodać: Od czasów Lincoln? Zamiast tego spytał: – Jeszcze przed zagrożeniem, które niesie za sobą St. Maur?

W ciszy, która nastąpiła, słyszał szelest jej kroków po trawie i łagodny szum strumienia za nimi.

– A jak myślisz? – Usiłowała mówić obojętnym tonem, ale wyczuwał pełne gorczy napięcie w jej głosie. – Kobieta w moim wieku, która ma pod sobą dwie wielkie posiadłości.

Od samego początku matka zdała się na mnie.

Armand pokiwał głową, chociaż zdumiało go, że Blanche fleur de Montford wciąż żyje. Zapamiętał ją jako pobożną, strachliwą damę ze śladami dawnej urody. Właśnie taką osobą mogłaby stać się Dominie z jego wyobrażeń.

– Czasem trudno mi uwierzyć, że to moja matka. Jesteśmy zupełnie inne – dodała Dominie z westchnieniem.

– Jesteś nieodrodną córką swojego ojca. – Armand pokiwał głową. – To nie ulega wątpliwości.

Od najwcześniejszych lat gęste rude włosy i chrapliwy głos przybranego ojca kojarzyły się Armandowi z żagwią. Lord Baldwin miał też odpowiedni do takiego wyglądu temperament – rozgrzewał i rozjaśniał życie wszystkich, którzy go otaczali.

Jednak w wirze bitwy jednym bezsensownym ciosem miecza Armand Flambard zgasił ten jasny płomień i pograżył własną duszę w ciemności, z której nie było ucieczki.

A może jednak?

Może, nawet o tym nie wiedząc, Dominie dała mu szansę na odkupienie, której nie miał od czasów bitwy o Lincoln.

Chłodny wiatr owiewał nagie łydki Armanda.

Szansa na rozgrzeszenie? Zadrzał. Być może, jeśli ani on, ani Dominie nie zamarną przed nastaniem poranka.

Wydłużone cienie drzew wyciągały się niczym lodowate palce, gdy Dominie i Armand dotarli na skraj lasu Thetford. Poprzedniej nocy był przymrozek, zapowiadało się, że i dziś ich nie ominie. Dominie jakoś to zniosła, ale wczoraj czuła się rozgrzana po szybkim całodziennym marszu, a nie przemarznięta do szpiku kości po przymusowej kąpieli w strumieniu. Poza tym była ciepło odziana, a dziś jej ubrania musiały wystarczyć dla dwóch osób.

Zbierała w niej złość na Armanda, ale Dominie jakoś ją opanowała. Musiała myśleć rozsądnie. Awantura może nieco poprawiłaby jej humor, ale na pewno nie rozgrzałaby ich do ranka.

Jeśli faktycznie miało być im ciepło, w grę wchodził tylko jeden plan. Do jego przeprowadzenia potrzebowała pomocy Armanda. Biorąc pod uwagę jego zasady,

zapewne będzie się zastanawiał, czy lepiej zamarznąć na ziemi, czy też smażyć się w ogniu piekielnym.

Zerknęła na drzewa, usiłując ustalić, gdzie się obecnie znajdują.

– Mam nadzieję, że znajdę norę, którą tu sobie wczoraj wykopałam. Módlmy się, żeby nie zniszczyły jej zwierzęta.

– Norę? – Armand wydawał się nieco znużony po szybkim marszu.

Dominie wcale mu się nie dziwiła. Ramiona bolały ją od dźwigania przemoczonych ubrań, ale zapomniała o bólu, gdy zauważyła dwa pochylone dęby.

– Tędy. – Wskazała na nie i ruszyła w tamtym kierunku.

– Wykopałam trochę więcej ziemi, żeby pogłębić dziurę obok pnia jednego z tych dębów. Potem przykryłam ją mchem i suchymi liśćmi i tam przygotowałam sobie wygodne miejsce do spania.

– Nic dziwnego, że pachniesz jak las – mruknął, bardziej do siebie niż do niej.

– Jak co? – Obejrzała się przez ramię.

– Chodzi o twoje ubranie – wyjaśnił. – Pachnie jak las. Jak ziemia, kora i cedr.

– Jeśli ci się nie podoba, możesz mi zwrócić tunikę. – Domyślała się, że zaraz czeka ją przeprawa, gdy powie Armandowi, że oboje będą nocowali w jamie.

– Czy powiedziałem, że mi się nie podoba?

Ta odpowiedź zawstydziła Dominie. Postanowiła udawać, że nic nie słyszała.

– Klnę się na Boga, ten kij z każdym krokiem jest coraz cięższy. Odłóżmy go i znajdziemy jakieś porządne drzewo, żeby rozwiesić na nim twoje rzeczy.

– Nie zamierzam się sprzeciwiać. – Armand wydawał się wręcz radosny, gdy kładł kij na ziemi.

Jego zachowanie i ton zbiły Dominie z tropu. Zachwiała się pod ciężarem kija i pewnie by upadła, gdyby Armand nie chwycił jej w ostatniej chwili.

– Przepraszam! – krzyknął.

Za co przepraszal? Za to, że przez niego straciła równowagę, czy za to, że jej dotknął, by nie upadła?

Wiedziała, że musi być ostrożna, by znów przez niego nie cierpieć.

– Nie wolno nam tracić czasu. – Wyśliznęła się z jego ramion i wyprostowała.

Zauważyła niską, potężną gałąź brzozy nieopodal i pobiegła do niej, by tam zawiesić ubiór towarzysza. Wszędzie rosły drobne, delikatne listki. Wkrótce las Thetford miał się pokryć świeżą zielenią.

Gdzieś na wysokiej gałęzi duża wrona popatrzyła na Dominie i zakrakała z niechęcią. Nie wolno się ociągać, uświadomiła sobie Dominie. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej.

Odetchnęła głęboko, odwróciła się i spojrzała na Armanda.

– Bierzmy się do roboty, dobrze? Popatrzyl na nią i uniósł brwi.

– Myślałem, że to właśnie czynimy.

Odwróciła wzrok, by nie widzieć jego półuśmiechu. Zaraz zniknie z twarzy Armanda, gdy niedoszły zakonnik odkryje, jakie ma wobec niego plany.

– Wciąż zostało nam sporo. – Machnęła głową w kierunku dwóch dębów. – Trzeba powiększyć dziurę. Zebrać więcej mchu i gałązek cedru.

– Proszę bardzo. Pokaż mi, gdzie dokładnie jest to miejsce. Wykopię ziemię, podczas gdy ty zbierzesz mech i gałęzie.

– Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? – Dominie przygotowała się na utarczkę.

– Jeśli mamy nie zamarznąć dziś w nocy, musimy wspólnie spędzić noc w tej dziurze. Przykryję nas moją peleryną i gałęziami cedru.

Armand bez słowa wzruszył ramionami.

– Czy uderzyłeś się w głowę, kiedy wpadłeś do strumienia?

– chciała wiedzieć. – A może tyle wody nalało ci się do uszu, że źle słyszysz?

– Nie. – Ściągnął czapkę, którą mu pożyczyła, i przejechał dłońmi przez włosy.

– Dobrze cię usłyszałem i w pełni rozumiem twoje słowa. Zabierzmy się do pracy, póki mamy światło.

Tak bez słowa sprzeciwu? O co mu chodziło?

– Nie uważasz, że to niestosowne? Nieskromne? Grzeszne?

Armand zaśmiał się, po czym westchnął.

– Gdybym nie pokłócił się z tobą nad strumieniem, być może teraz pozwoliłbym sobie na sprzeciw. W naszym spaniu razem nie będzie nic grzesznego, jeśli nie spróbuję cię wykorzystać. A masz moje słowo, że do tego nie dojdzie.

– Nie będziemy ryzykowali, rozpalając ogień. Różne osoby mogłyby zwrócić na nas uwagę. – Najwyraźniej zignorowała jego ostatnie słowa.

Ruszył w kierunku drzew.

– A może tobie zatkały się uszy w wodzie? – spytał. – Czy nie przedstawiłem sprawy jasno? Zgadzam się! Wołałbym jakieś inne wyjście, ale skoro go nie ma, nie będę protestował. Zanim zdołała odpowiedzieć coś zgryźliwego, odwrócił się i popatrzyl na Dominie.

– Wyglądasz tak, jakbyś chciała się pokłócić. Przykro mi, że cię rozczaruję, ale mam sporo do roboty przed zapadnięciem nocy.

– Wcale nie potrzebuję kłótni. – Dominie odeszła, żeby zebrać trochę mchu. – Byłam zdumiona, że wykazujesz się zdrowym rozsądkiem, i tyle.

I to wszystko? – zapytała się w duchu, niepewna, czy spodoba się jej odpowiedź. A może chciała wzmocnić się tą kłótnią przed nocą w niebezpiecznej bliskości ramion Armanda?

## Rozdział 5

Poprzysiągł, że nie będzie próbował wykorzystać Dominie, i zamierzał dotrzymać słowa. Niech święci mają go w swojej opiece, gdyż przez cały czas będzie musiał walczyć z pokusą!

Kropla wody spłynęła po szyi Armanda, kiedy kopał ziemię obok pochylonego dębu, powiększając norę, w której wkrótce mieli położyć się, on i Dominie. Nie był pewien, czy to woda z mokrych włosów, czy też kropla potu, który wystąpił mu na szyję z wysiłku... i pod wpływem grzesznych myśli.

– Uważaj. – Dominie minęła go i podeszła do świeżo wykopanego dołu, by wrzucić tam mech.

Czy naprawdę tak musiało być? Armand w milczeniu obserwował zręczne ruchy dziewczyny i podziwiał jej kasztanowe loki z miedzianym połyskiem. A może zgodził się dlatego, by mieć pretekst do trzymania jej w ramionach, jak tego pragnął od chwili, w której zobaczył ją w klasztorze. ?

„Uważaj”. Słowa Dominie dźwięczały mu w uszach. Będzie musiał bardzo uważać, by przez tę wymuszoną bliskość nadchodzącej nocy nie zapomnieć, kim jest, co zrobił i co musiał zrobić.

– Poszerzyć ją bardziej? – zapytał. – Niewiele zostało miejsca, zaraz natrafię na te wielkie korzenie.

Dominie wzruszyła ramionami i się wyprostowała.

– I tak będziemy musieli leżeć przytuleni, żeby nie zamarznąć. Ale możesz ją trochę wydłużyć. Wypróbujemy ją teraz, kiedy jeszcze nie jest całkiem ciemno?

– Zgoda – odparł z trudem.

– No dobrze. – Dominie otrzepała rękę z ziemi. – Ty pierwszy, na plecach. Ja dopasuję się do ciebie.

– Naprawdę uważasz, że ktoś zauważy, jeśli rozpalimy ogień?

– Nagle poczuł, że nie jest w stanie spełnić jej polecenia.

– Może i nie – odparła – ale nie chcę ryzykować, bo po co?

Poza tym nie wzięłam z sobą pudełka na hubkę.

Otwartą dłonią wskazała na wyłożoną mchem jamę. Takim gestem służa mógłby zachęcać gościa do wejścia do sieni swego pana.

– Nawet jeśli nie będziesz musiał dalej kopać, to i tak trzeba zerwać trochę gałęzi cedru przed zapadnięciem nocy.

– No dobrze. – Armand postanowił zapomnieć o wątpliwościach.



Złapał za rąbek tuniki, żeby się nie podwinęła, i położył się w jamie. Poduszka z mchu była chłodna, ale miękka. W nocy z pewnością okaże się cenną zaporą między ich ciałami a lodowatą ziemią. Sam nigdy by na to nie wpadł.

Dominie wysunęła dolną wargę i obrzuciła Armanda uważnym spojrzeniem. Po chwili pokiwała głową.

– Wygląda na to, że wystarczy – oznajmiła.

Gdy już ułożyła się obok niego, wyczuł napięcie w jej ciele. Czuł też jednak przyjemne ciepło. Gdy po krótkiej chwili Dominie wygramoliła się z jamy, z trudem powstrzymał się od tego, żeby nie chwycić jej i do siebie nie przytulić.

– W ostateczności wystarczy – oznajmiła. – Chodź, cedr rośnie tam.

Armand zmusił się do tego, by wstać i pójść za nią. Uczynił to równie niechętnie, jak zimą podnosił się z ciepłego łóżka na pasterkę. Czy to w ogóle możliwe, że jeszcze wczoraj kładł się spać w przytulnej celi w Breckland, pewien, że nigdy nie ujrzy Dominie de Montford?

Był rozdarty: oddałby wszystko, by cofnąć czas i wrócić do rutyny i spokoju w opactwie, a jednocześnie z radością podjął rękawicę rzuconą przez Dominie.

Kiedy dotarł do cedrów, zdążyła już odłamać kilka konarów o miękkich igłach i ostrym, przyprawowym aromacie. Armand również zabrał się do pracy, uważając szczególnie na to, by jego wzrok nie błędził zbyt często w kierunku Dominie.

– To powinno wystarczyć – oznajmiła w pewnej chwili. Chcemy przecież tylko się rozgrzać, a nie pogrzebać pod tymi gałęziami.

Zebrała garść konarów z ziemi, resztą miał zająć się Armand.

– Chcesz coś zjeść, nim udamy się na spoczynek? – zapytała. – Przeor Gerard dał mi chleb, ser i suszone mięso.

– Wolę poczekać do rana. – Ruszył za nią do dębów. Ostry zapach cedru drażnił mu nozdrza. – Dobrze, że to właśnie tobie przeor Gerard powierzył nasze zapasy. Gdybym to ja niósł żywność, zamieniłaby się w lodowatą zupę.

Skrzywił się na samą myśl o tym. Nawet jeśli Dominie kusiło, by mu dokuczać, taktownie powstrzymała się od uwag.

– Od bardzo dawna nie jadłam tak dobrze jak w Breckland. Właściwie do jutra też nie muszę się posilać.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko...

– Owszem, jest coś – przerwała mu. – Chyba że zamierzasz wstrzymać się przez całą noc.

– Praktyczna jak zawsze – mruknął pod nosem, rozdarty między irytacją a podziwem.

Położył gałęzie tuż bok jamy, następnie udał się nieco dalej, w kępę wysokich krzewów, gdzie opróżnił pęcherz.

Kiedy wracał, panowały już całkowite ciemności. Przez chwilę obawiał się, że zabłądził.

– Dominie? – zawołał.

– Tutaj!

Ruszył w kierunku jej głosu. Na jego szczęście nie przestawała mówić.

– Nie skończyliśmy trochę za wcześnie? – Oddychała świszczące – No chodź. Jeśli mnie przeszkadza ten ziąb, ty pewnie już prawie zamarłeś.

Armand nieco zwolnił, żeby na nią nie wpaść. Było to niemądre, rzecz jasna, przecież wkrótce miał spędzić noc przytulony do niej, kiedy niemal nic nie będzie ich dzieliło.

Nic prócz bariery z goryczy i żalu po obu stronach, potężnej niczym kamienne mury. Bolało go, że będzie fizycznie tak blisko Dominie, a jednak tak daleko od jej serca.

Na co czekał ten człowiek? Dominie słyszała, że jest już blisko. Dlaczego po prostu nie położył się przy niej? Najwyraźniej odwlekał tę chwilę w nieskończoność. Ona z kolei chciała mieć to już za sobą.

Zawsze w taki właśnie sposób podchodziła do nieprzyjemnych obowiązków, a miała ich sporo jako pani na Harwood i Wakeland. Im szybciej się z nimi rozprawiała, tym prędzej było po wszystkim. Po pierwszej niezręcznej chwili w ramionach Armanda na pewno wszystko się ułoży.

Jeśli nie przestanie o tym myśleć, być może nigdy się nie dowie.

Wyciągnęła rękę przed siebie, tam, skąd dochodził oddech Armanda. Natrafiła na tunikę.

– Kładź się wreszcie. Zapierasz się jak osioł, a jest coraz zimniej.

Armand wyrwał jej materiał z dłoni.

– Wcale się nie zapieram – mruknął.

Pod osłoną nocy pozwoliła sobie na uśmiech. Bawiła ją jego irytacja. Kiedy Armand mościł się w jamie, hałasując i się ciskając, rozwiązała pelerynę.

– Jesteś na mnie gotowy? – Pragnęła, by pytanie to zabrzmiało całkiem niewinnie.

– Tak – odparł. – Lisica – dodał pod nosem.

Z jakiegoś powodu zły humor Armanda bardziej ją śmieszył, niż irytował. Mimo to postanowiła nie ryzykować i nie przypominać mu, z czyjej winy muszą

spędzać tę noc przytuleni do siebie, by się rozgrzać.

– Uwaga, kładę się – oznajmiła.

Zrobiło się jej bardzo zimno, gdy ściągnęła z siebie pelerynę. Zastanawiała się, czy Armand wyczuje jej zeszywniałe piersi przez wełnę tuniki? A jeśli tak, czy zrozumie, że to wyłącznie wina chłodu? Czy też będzie sobie pochlebiał, sądząc, że to właśnie on tak na nią działa? Ta myśl szczególnie dręczyła Dominie, gdyż mogła być to prawda, niestety.

Leżała obok niego i bardzo ją kusiło, by wyciągnąć rękę, dotknąć pewnego fragmentu ciała Armanda i osobiście się przekonać, czy ona na niego działa. Przynajmniej pod tym względem pasowałoby do siebie.

Coś ją jednak powstrzymało.

Może był to strach, że Armand podniósłby się bez słowa i ją zostawił. Albo niepokój, że okazałby się całkowicie odporny na jej bliskość.

Nakryła ich oboje peleryną, a na nią narzuciła jeszcze stos konarów cedru. Potem, po długim moszczeniu się w jak najmniej niekomfortowej pozycji, zapadła w półsen, czujny i na wpół przytomny, niewiele mający wspólnego z prawdziwym odpoczynkiem.

Gdyby w tej niezręcznej sytuacji nie było im cieplej, Dominie wołałaby spać na mrozie. Jednak bliskość Armanda dawała ciepło, którego tak pragnęła.

Zastanawiała się, czy Armand Flambard stał się człowiekiem zimnym jak kamień. Ona odczuwała pragnienie, by się przekonać, czy człowiek, którego niegdyś kochała, naprawdę żyje.

– Dominie? – wyszeptał nagle. Jego ciepły oddech owionął jej włosy. – Nie śpisz?

– Nie. – Naprawdę sądził, że mogłaby spać? – Czego chcesz?

– Jakiś czas temu zapytałaś, dlaczego odmówiłem mieszkańcom Harwood i Wakeland pomocy w walce z Eudem St. Maurem. Nie podałem ci powodu.

– Może i nie. – Zeszywniała. – Ale zgañiłeś mnie za to, że proszę cię o pomoc. Oświadczyłeś, że nie mam prawa, bo mój ojciec zagarnął twoje włości, łamiąc przysięgę.

– Tak, ale...

– Potem zadeklarowałeś, że nikomu chętniej nie powierzyłbyś Harwood. Nic nie rozumiem. To jak właściwie jest, Armandzie?

– I tak, i tak... Ani tak, ani tak. – Zabrzmiało to, jakby i on niczego nie rozumiał. – Jest coś jeszcze, coś więcej.

– A co takiego, pozwolę sobie zapytać?

– Złożyłem przysięgę... po Lincoln... do końca życia nie używać przemocy wobec żadnego człowieka.

– Co przysięgłeś? – Dominie zwinęła dłoń w pięść i uderzyła Armanda w pierś. Nic to nie dało.

– Dlaczego czekałeś aż do tej chwili z tym wyznaniem? Po co mi wojownik, który poprzysiągł już nigdy nie walczyć?

– Usiłowałem ci to powiedzieć – przypomniał. – Nie chciałaś mnie słuchać. Byłaś zbyt zajęta spiskowaniem, jak by tu pozbawić mnie łaski opata.

Dominie chciała zaprzeczyć tym oskarżeniom, ale nie mogła. Niestety, to, co mówił ten człowiek, było prawdą. A niech go diabli!

Nie słuchała. Była zbyt skoncentrowana na tym, by dopiąć swego, wszystko jedno jakimi środkami. Zbyt usilnie pragnęła dać upust tłumionym przez pięć lat żalom. Za bardzo chciała zignorować dawne uczucia, które jej wciąż zagrażały.

– Pokładałam w tobie wszelkie nadzieje, do licha! – Bardziej klęła własne szaleństwo niż Armanda. – Od chwili gdy usłyszałam, że, być może, żyjesz, myślałam, że to cud, że Bóg wysłuchał moich modlitw. A potem zobaczyłam cię na własne oczy...

Powinna była przewidzieć, że to nie mogło okazać się prawdą. Te pięć lat nauczyło ją przecież nie wierzyć w cuda i szczęśliwe przypadki.

Poczuła piekące łzy pod powiekami, ale nie mogła pozwolić sobie na płacz. Na pewno nie na ciepłym, szerokim ramieniu Armanda Flambarda. Bez zmrużenia oka dopuściła do tego, że widział ją nagą. Nawet jeśli odczuwała wstyd, ogromne zakłopotanie tego mężczyzny go łagodziło. Z całą pewnością jednak nie zamierzała wyjawiać mu tajemnic swego serca.

Nie przetrwałyby ostatnich pięciu lat, zarządzając Wakeland i Harwood, gdyby nie potrafiła ukrywać uczuć i bezbronności. Mocno zacisnęła powieki i powiedziała:

– Wiem, że przez to, co zrobiłam dziś w klasztorze, z pewnością źle o mnie myślisz. Nie jestem z siebie dumna. Byłam w rozpacz. Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy kobieta usiłuje poradzić sobie sama, bez mężczyzn, których powołano do walki. Kiedy zbory, i tak kiepskie, trafiają do wojska. Gdy usiłujesz utrzymać pokój między wasalami i robisz wszystko, by namiestnicy królewscy nie obrabowali nas w biały dzień.

A przecież nawet nie wspomniałam o St. Maurze.

Właściwie nie chciała mówić Armandowi tego wszystkiego. Nawet gdyby ulitował się nad nią i tak nie złamałby tej głupiej przysięgi. Jednak ciepło jego

ramienia wręcz zachęcało ją do zwierzeń. W tym momencie była zbyt zmęczona i załamana, by się temu przeciwstawić.

– Bywało, że chętnie oddałabym własne życie za to, by ojciec albo Denys wjechali przez bramy Wakeland i oznajmili, że wieści o ich zgonie były pomyłką. Tak jak to się okazało w twoim wypadku.

Być może jej skarga naprawdę wzruszyła Armanda. Ostrożnie, żeby nie zrzucić peleryny, która okrywała ich oboje, uniósł dłoń i delikatnie pogłaskał Dominie po głowie.

– Chociaż poprzysiągłem, że nigdy nie zaatakuję drugiego człowieka, nauczę twoich wasali walczyć i zorganizuję system obronny dla Harwood i Wakeland – szepnął.

– Naprawdę? – Uniosła nieco głowę, chociaż w świetle księżyca widziała tylko ostry profil Armanda. W pewnej chwili odwrócił się lekko ku niej, poczuła jego ciepły oddech na policzku.

– Nie będę walczył osobiście, lecz uczynię wszystko, by twoi poddani byli bezpieczni i aby ani wam, ani waszym zbiorom nie zagrażał St. Maur.

W niewielkiej przestrzeni, która oddzielała ich usta, zawisło słodkie oczekiwanie.

Armand Flambard cię nie pocałuje, głupia dziewczyno, skarciła się w duchu Dominie. Mimo że niegdyś byli sobie przyrzeczeni. Minęło jednak zbyt wiele czasu, całe pięć lat, i nazbyt wiele się wydarzyło.

Teraz byli całkiem innymi ludźmi. Zapalczywy młodzieniec i skromna młoda dama odeszli w przeszłość, podobnie jak ojciec i starszy brat Dominie. Armand poświęcił serce i duszę życiu w celibacie. Ona miała obowiązek wobec swoich wasali – powinna poślubić wojownika, który zdoła ich strzec.

Nawet jeśli kiedyś czuła coś do Armanda, musiała o tym zapomnieć. Nowe obowiązki całkiem ją przytłoczyły. Wiedziała dobrze, że żaden pocałunek nie zawiódłby ich w miejsce, w którym niegdyś byli, a jednak...

Mimo wszystko Dominie uświadomiła sobie, że nadal pragnie wierzyć w magię i cuda. Przez jedną skradzioną chwilę w ciemnościach i chłodzie chciała udawać, że pięć lat nie istniało, i raz jeszcze dzielić z Armandem pocałunek, jak za dawnych, szczęśliwszych czasów.

Przez szparę w gałęziach pulchne, blade oblicze księżyca w pełni zerkało na Armanda i Dominie zagrzebanych w jamie. Czy obserwując ich ze swojej grzędę, księżyc wyśmiewał się z ludzkiej głupoty?

Armand nie mógł sobie wyobrazić wielu gorszych tortur niż ta, którą właśnie znosił. Jak człowiek o porządnym charakterze miał spędzić całą noc z ponętą kobietą w ramionach i nawet jej nie tknąć?

Ponętą kobietą, która nie kryła swojej niechęci do niego. Jego ciało jednak w ogóle nie było zainteresowane takimi niuansami. Po prostu jej pragnęło. Armand zaś płacił wysoką cenę za to, że odmawiał swojemu ciału spełnienia pragnień.

Leżał na plecach, głowa Dominie spoczywała na jego ramieniu. Przytuliła się, lewą nogę przerzuciła przez jego biodro. Dzięki temu peleryna zakrywała ich oboje niemal w całości. Pewne części ciała Armanda były jednak wciąż zmarznięte, podczas gdy inne rozgrzały się do niemożliwości.

Zastanawiał się, czy Dominie uświadamia sobie, jakie wrażenie na nim wywiera. Czy zdawała sobie sprawę z jego dyskomfortu i z tego, jak wielką stanowi dla niego pokusę?

Oddech Dominie się ocieplił. Kiedy Armand odwrócił głowę, zbłąkany kosmyk prowokacyjnie połaskotał go w policzek. Jej zapach, zapach lasu, kusił go przy każdym oddechu.

Tak bardzo pragnął ją pocałować! I nie tylko pocałować. Żałował, że nie odbyli tej rozmowy rankiem, kiedy mógłby się trzymać na bezpieczną odległość. Zanim przemówiła, także jej pragnął, nie mógł zaprzeczyć. Wtedy jednak pożył tylko jej ciepłego, kobiecego ciała, jej nagość przypomniawszy mu dawne czasy.

Jednak po tej rozmowie Dominie stała mu się bliższa. To nie była pierwsza lepsza kobieta. To była Dominie. Jedyna taka na świecie.

Nie była płochliwą, cnotliwą dziewicą z jego wspomnień, mimo to bardzo ponętą młodą kobietą.

Co musiała przejść przez te wszystkie lata, i to z jego winy? Znowu dopadły go wyrzuty sumienia, dołączyły do tych, z którymi już nauczył się żyć. Po raz pierwszy musiał zadać sobie pytanie, czy przysięga na wierność cesarzowej powinna być ważniejsza niż zaręczyny z Dominie albo niewypowiedziany pakt lojalności wobec jej ojca.

Od czasu bitwy o Lincoln jego jedyną bronią przeciwko rozpaczom było niezachwiane przekonanie, że postąpił słusznie, że nie miał wyjścia. Musiał stąpać ścieżką, którą wybrał, niezależnie od poniesionych kosztów. Dominie wstrząsnęła tą pewnością; nagle uświadomił sobie, że nie on jeden zapłacił wysoką cenę za swoje uczynki.

Był jej winien znacznie więcej, niż dotychczas przypuszczał. Jeśli jakimś cudem zdołałby ocalić Harwood i Wakeland przed Eudem St. Maurem, nie

używając miecza, i tak byłoby to za mało.

Powoli uniół rękę i dotknął jej policzka.

– Przepraszam.

– Przepraszam? – powtórzyła wysokim głosem. – Przecież już mnie przepraszałeś.

– Wiem. Powiedziałem, że przepraszam za swoje czyny, które przysporzyły ci zgryzoty. Ale to nie wszystko. Przepraszam cię za wszystko.

Na głębsze wyznanie nie mógł sobie pozwolić. Choć powinien zrzucić z siebie ciężar i wyznać całą prawdę – byłoby to jednak nadmierne obciążenie dla Dominie.

Ledwie ośmielając się oddychać, zbliżył usta do jej warg. Z całych sił starał się zapanować nad pożądaniem. To nie miał być namiętny pocałunek, lecz raczej symbol oddania. Gdyby Dominie okazała choćby najlżejszą niechęć, zamierzał natychmiast przerwać.

Dominie nie powiedziała ani słowa, by go powstrzymać. Nie odwróciła głowy, nie uniosła dłoni. Kiedy jego wargi znalazły jej usta, poczuł, że zadrżała.

Zdołał odzyskać kontrolę nad sobą i cofnąć głowę, chociaż sprawiało mu to niewyobrażalny ból.

– Nie przestawaj!

Przez chwilę nie był pewien, czy ten natarczywy szept wy dobył się z gardła Dominie, czy też z jego.

– Odszedłeś bez pożegnalnego pocałunku. – Położyła mu dłoń na torsie. – Teraz żądam zapłaty. Być może to nas wreszcie rozgrzeje.

Powinien był się domyślić, że chodzi jej o względy praktycznie. Żałował, że sam na to nie wpadł.

– Wcześniej zadziałało. – Zachichotał niepewnie. – Pamiętasz nasz ostatni wieczór Trzech Króli, kiedy wymknęliśmy się niespostrzeżenie z uczty w Wakeland?

– Było znacznie zimniej niż dzisiaj.

– Tak, ale mieliśmy na sobie cieplejsze odzienie. – Samo wspomnienie go rozgrzewało.

Pewien, że Dominie pragnie tego równie mocno jak on, pocałował ją z dawną żarliwością i energią. Niemal poczuł smak grzanego wina i pieczonych jabłek na jej ustach.

Pamiętał, jak wtedy czekał niecierpliwie na wiosnę i ich wesele. Jak bardzo pragnął zanieść ją do wspólnego łóżka. Teraz też tego pragnął, ale dobrze wiedział, że nie ma na to szans.

I pomyśleć, że zaledwie pół dnia wcześniej obwinił ją o wszystko, był zły, że stała zbyt blisko. Uważał, że byłoby to dozwolone wyłącznie wtedy, gdyby miała do niego jakiegokolwiek prawa. W rzeczy samej, miała. Udało się jej uświadomić mu, że jest jej coś winien, chociaż nie to, co sobie wyobrażała.

Jedynie strach, że straci nad sobą kontrolę i tylko się upokorzy, sprawił, że Armand ponownie oderwał się od Dominie, tym razem z mocnym postanowieniem, że odtąd będzie się trzymał na przyzwoitą odległość.

– No proszę. – Bez skutku usiłował uspokoić oddech. Przypieczętowaliśmy dawne rozstanie pocałunkiem.

Poprawiła głowę, jej czoło opierało się teraz na jego brodzie.

– Chyba rozgrzaliśmy się na tyle, żeby trochę się zdrzemnąć. Jutro czeka nas długi marsz.

– Jakieś strumienie do pokonania?

– Nie tak szerokie ani głębokie jak ten dzisiejszy.

– – To dobrze. – Udał, że drży. – Wątpię, bym szybko zdołał przebyć następny.

Znów zapadła cisza, ale Armand miał wrażenie, że rozmowa i pocałunek rozluźniły nieco atmosferę. Powieki zaczęły mu ciążyć, podobnie jak ręce i nogi, oddychał regularnie.

Dominie też wyraźnie się rozluźniła i wkrótce zasnęła.

Czuł się dziwnie, ale i dobrze, trzymając śpiącą dziewczynę w ramionach – całkiem jakby spoczywała obok niego każdej nocy w celi w Breckland. Armand był zbyt śpiący, by uznać tę myśl za oburzającą.

Nie mógł jednak zapomnieć słów Dominie.

Niezależnie od wszystkiego, w przyszłości musiał zwalczyć pokusę. Czuł podświadomie, że oboje mogliby spłonąć w ogniu namiętności.



## Rozdział 6

Czy ta rozmowa z Armandem w nocy odbyła się naprawdę, zastanawiała się Dominie po nieprzyjemnym porannym przebudzeniu. Czy też był to tylko sen, a może jej pobożne życzenie?

Przez pewien czas leżała nieruchomo, wpatrując się uważnie w twarz Armanda. W końcu doszła do wniosku, że to nie mógł być sen. Nigdy w życiu nie wymyśliłaby sobie przecież tej jego idiotycznej przysięgi zaniechania użycia przemocy w stosunku do innego człowieka. Nic dziwnego, że szukał schronienia w klasztorze. Nie był w stanie przetrwać w jej świecie, już nie wspominając o tym, że nie mógł zająć żadnego ważnego miejsca w jej życiu.

Kiedy jednak przypomniła sobie inne słowa, które wypowiedział, jego łagodny szept w ciemności, żałowała gorzko, że ich losy nie potoczyły się inaczej.

Dlaczego stał się właśnie taki? Miał głowę wypchaną ideałami i honorem, zabrakło w niej miejsca na bardziej przyziemne cnoty, takie jak rozważa czy zdrowy rozsądek. Nie tak zapamiętała Armanda z ich wspólnej młodości, kiedy to uważała go niemal za chodzącą doskonałość.

Zawsze walczył uczciwie i otwarcie. Naturalnie, dzięki swoim umiejętnościom nie musiał uciekać się do podstępów, tak jak ona w klasztorze, by osiągnąć cel.

Nocą zaczęła żałować tego, co uczyniła. W zimnym świetle poranka dostrzegła swoje czyny oczami Armanda i zrobiło się jej słabo ze wstydu.

Nawet nie dała mu dojść do głosu. Nie szanowała jego prawa do odmowy. Postanowiła zdobyć pomoc Armanda za wszelką cenę, usprawiedliwiając się dobrem swoich wasali. A tak naprawdę do jakiego stopnia kierowała nią złość? Dawna uraza? Musiała zadać sobie te pytania.

Pięć lat temu Armand ją porzucił akurat wtedy, gdy rozpaczliwie go potrzebowała. Nic nie mogła na to poradzić. Tym razem była zdecydowana sprowadzić go z powrotem, nie zważając na jego opinię, niezależnie od tego, czy mógł zrobić to, czego od niego chciała.

Czy również była zdecydowana sprawić, by zapłacił za całe zło, jakie spotkało rodzinę od czasu jego zniknięcia? Czy gdzieś w swoim sercu – zakładając, że wciąż miała serce – nie obwinała go za wszystkie nieszczęścia? Od kiepskich zbiorów, przez śmierć ojca po terror zaprowadzony przez Euda St. Maura?

I po tym wszystkim, co zrobiła, po tym, jak go prowokowała, Armand błagał ją o wybaczenie. Trzymał ją w ramionach przez całą noc i złożył na jej ustach

pocałunek, jednocześnie bardziej niewinny i bardziej niebezpieczny od tych, które dzielili w przeszłości.

Dominie z trudem powstrzymała się od wybiegnięcia nad strumień i skoku do jego czystych zimnych wód, by ją obmywały, aż jej skóra stanie się całkiem sina!

Nie mogła dłużej leżeć spokojnie u boku Armanda. A gdyby otworzył oczy na nowy dzień i popatrzył na nią z odrazą? Potrzebowała trochę czasu, by wszystko przemyśleć, i znowu być zdolna do obrony.

Bardzo powoli odsunęła się od niego, starając się nie poruszyć peleryny ani przykrywających ją konarów.

Armand drgnął i wymamrotał pod nosem coś, czego nie zrozumiała. Dominie zamarła i czekała, aż jego oddech odzyska spokojny rytm. Powolutku zaczęła opuszczać jamę, w duchu życząc śmierci ptakom, wyśpiewującym trele na pobliskich drzewach.

Kiedy w końcu udało się jej wydostać, energicznie zaczęła rozcierać ramiona dłońmi. Niestety, płócienna halka była bardzo cienka, a do tego wiał rześki poranny wietrzyk, choć na kwietniowym niebie świeciło też słońce.

Co za żałosna pora na atak skrupułów! Może powinna jednak wrócić do jamy i znieść przebudzenie Armanda.

W tej samej chwili jakiś biały kształt zatańczył na wietrze przed jej oczami. Z trudem powstrzymała okrzyk przestachu i skarciła się w duchu za własną głupotę. Była to jedynie spodnia szata Armanda.

Dominie przejechała po niej ręką. Strój wciąż był nieco wilgotny, a także sztywny i lodowaty po nocy, podobnie jak habit i zakonna peleryna. Może gdyby jednak włożyła na siebie to wszystko, mogłaby się osłonić przed wiatrem, a jednocześnie spodnia szata wyschłaby szybciej na jej ciele.

Mogłaby też przejść się energicznie po lesie, by odnaleźć szlak, którym dzisiejszego ranka udadzą się w drogę. A kiedy Armand się przebudzi, odda mu ubranie. Przynajmniej nie będzie się musiał męczyć w jej tunice. I tak była to niewielka pociecha za wszystkie zgryzoty, jakich mu przysporzyła.

Dominie mocno zacisnęła usta, żeby nie krzyknąć, gdy wilgotna szata dotknie jej ciała. Przynajmniej nie czuła zimna, wkładając habit i pelerynę.

Skoro jedno z nich musiało wpaść do tego strumienia, żałowała, że nie była to ona. Wszystkie ubrania Armanda miały niemal rozmiar namiotu!

Szybki marsz leśną ścieżką w trzech namiotach okazał się trudniejszy, niż przypuszczała. Kiedy postanowiła wrócić do Armanda, spodnia szata była już znośnie sucha. Mimo to Dominie nie mogła się doczekać, kiedy zamieni ją na

własną tunikę i pelerynę.

Nagle potknęła się o korzeń drzewa i przewróciła. Przeklinała szaty Armanda i głupi impuls, pod którego wpływem włożyła to ubranie. Zanim zdołała się podnieść, na jej plecach wylądował jakiś ciężki kształt i przygwoździł ją do ziemi.

Piskliwy męski głos, aż ociekający złem i niegodziwością, zapytał:

– Dokąd się tak śpieszysz tego pięknego poranka, braciszku? I to w szatach dwa razy za dużych?

Dominie znowu zaklęła w duchu, wściekła na siebie za brak ostrożności. Bliskość Armanda dała jej złudne poczucie bezpieczeństwa. Eudo St. Maur i jego banda nie byli jedynymi bandytami, których należało się obawiać. Byli jednak najlepiej zorganizowani i najbardziej niebezpieczni.

Gorączkowo zastanawiała się, jak uciec. Wiedziała, że dopóki czegoś nie wymyśli, będzie musiała grać na zwłokę.

Przede wszystkim obniżyła znacznie głos.

– Kim jesteś? – zapytała. Napastnik nie mógł się domyślić, że ma do czynienia z kobietą. – Czego chcesz ode mnie?

– Można powiedzieć, że proszę o jałmużnę, braciszku. – Nieznajomy mocniej postawił stopę między jej łopatkami.

Nim Dominie zdążyła zaprotestować i oświadczyć, że nie ma nic wartościowego, co mógłby jej zabrać, dodał:

– Tych, którzy nie okazują mi należytego chrześcijańskiego miłosierdzia, uczę moresu. Moim nożem.

Gad!

Kiedy jej groził, Dominie zdążyła już obmyślić parę różnych planów.

Mogła zacząć wzywać pomocy. Jama znajdowała się jednak w znacznej odległości, a Armand smacznie spał. Poza tym niby jak miałyby jej pomóc, skoro poprzysiągł nie używać przemocy?

Pomacała ziemię wokół siebie, w poszukiwaniu potężnego kija, ale nic nie znalazła.

Gdyby nie miała na sobie trzech warstw zbyt obszernego odzienia, mogłaby wytoczyć się spod stopy złodzieja i odbiec. Gdyby nawet jednak jakimś cudem sama nie potknęła się o skraj szaty, złodziej mógł ją zatrzymać, następując na obszerną pelerynę.

Czy dałoby się wykorzystać te ubrania w samoobronie?

Bandyta trącił ją stopą.

– Odpowiedziałem na twoje pytania, braciszku, i to uprzejmie.

Ty jednak unikasz odpowiedzi na moje. Dokąd zmierzasz?

– Do klasztoru Breckland. To kilka godzin drogi na północ.

– Dominie skoncentrowała się na pogrubianiu głosu, by przypominał męski. – Na pewno znasz ten klasztor, przyjacielu.

Usiłując zachować spokój, powoli wyciągała ręce z obszernych rękawów.

– Hm – mruknął złodziej. – Bogate opactwo ze świętą studnią. – Parsknął ochryłym śmiechem. – Niewielu tu teraz pielgrzymów. Wszyscy obawiają się Maura.

– Czyżbyś służył wrogowi Kościoła? – Udając oburzenie, obciągnęła halkę. Teraz faktycznie czuła się w szatach Armanda jak w namiocie. Gdyby tylko jej głowa nie utkwiała w tym przeklętym otworze!

– Bez obaw. – Ucisk stopy bandyty nieco zelżał. – Nie biegam razem z wilkami. Jestem tylko biedną sroką, która znosi świecidełka do swojego gniazda.

Gdy rechotał, rozbawiony własną pomysłowością, Dominie poluzowała sznur wokół szyi i przygotowała się do wycofania głowy, niczym żółw ukrywający się w skorupie. Niestety, w przeciwieństwie do skorupy, wełna i płótno nie stanowiły zbyt dobrej ochrony przed stałą.

Teraz musiała czekać na swoją szansę.

– Przyjacielu, jestem tylko biednym, prostym zakonnikiem.

Nie mam przy sobie nic wartościowego. Pójdź ze mną do klasztoru, dopilnuję, byś otrzymał jałmużnę.

Bandyta odpowiedział na tę propozycję mocnym kopniakiem w plecy ofiary.

– Mówiłem, że jestem sroką, nie osłem! W chwili, w której postawię stopę w twoim klasztorze, zostanę pojmany i dostarczony do szeryfa Norwich.

– Jak na to zasłużyłeś?! – wykrzyknęła Dominie własnym głosem, w nadziei, że to zbije z tropu rzezimieszka.

Prawdopodobnie się nie myliła, bo zdołała błyskawicznie cofnąć głowę i szybko się przekręcić, jednocześnie łapiąc bandytę za nogę. Z siłą zrodzoną z rozpaczy mocno pociągnęła, a złodziej runął na ziemię.

Doskonale, ale niestety, nic nie widziała. Założyła, że szubrawiec leży na ziemi, teraz pozostawało jej tylko uwolnić się od ubrań i uciec.

Musiała to zrobić. Gdyby złapał ją teraz, mogłaby się tylko modlić o rychłą śmierć.

Złodziej ryknął, Dominie usłyszała, jak szamocze się obok. Próbowwała zrzucić z siebie szaty Armanda, ale przez to przetaczanie po ziemi zaplątała się w nie. Udało się jej jednak wstać i je zrzucić. Lodowate powietrze ją otrzeźwiło.

Miała zaledwie sekundy na ucieczkę.

Może bandyta uderzył się w głowę, kiedy padał, a może zabrakło mu tchu, gdyż dopiero teraz gramolił się na kolana.

Wyglądał okropnie – był mały, chudy i brzydki, a na jego policzku widniała szeroka blizna.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na krótką chwilę. Na wykrzywionej wściekłością twarzy złodzieja wykwitł triumfalny grymas, a także rozbawienie. Oznaczało to jedno: rozpoznał w niej kobietę.

Serce Dominie waliło jak młotem, oddychała z trudem, żeby zwalczyć mdłości.

Gdy spojrzenie złodzieja powędrowało do jej stóp, uświadomiła sobie, że miał puste dłonie.

Nóż!

Opadła na kolana, macając ziemię wokół siebie. Gdy jej palce zacisnęły się na ręczce noża i uniosła ostrze, bandyta się na nią rzucił.

Przez następnych kilka sekund miotali się po ziemi. Nie raz i nie dwa Dominie czuła na twarzy uderzenia gałęzi. Coś ostrego dźgnęło ją w bok, pod żebrami, kiedy toczyła się po trawie, przygnieciona ciężarem złoczyńcy, który przyciskał ją do ziemi.

Wreszcie wraz z napastnikiem znieruchomiała w plątaniu rąk i nóg.

Instykt nakazywał Dominie wstać i biec tak szybko, jak jej pozwalały siły, ale bandyta przygniótł ją do ziemi. Ohydny odór jego brudnego ubrania i niemytego ciała działał osłabiająco przy każdym oddechu.

Nagle nieco doszła do siebie i wyraźniej ujrzała oblicze bandziora, który górował nad nią, z obłędem i dzikością w oczach. Rozchylił wargi, aby coś powiedzieć i wtedy wytrysnął mu z ust strumień jaskrawoczerwonej, gęstej krwi. Wylądował na policzku Dominie.

Wrzask, którego wcześniej nie potrafiła z siebie wydobyć, nagle z całą mocą wybuchnął jej z gardła, a po nim następny, i jeszcze jeden. Usiłowała je zdławić, lecz nie potrafiła.

Armand przebudził się raptownie, zastanawiając się, gdzie jest. Pomyślał, że pewnie śni. Na pewno śnił. Niby co miałby robić w lesie, pod konarami cedru? Gdzie się podziała jego cela w Breckland?

Kiedy czekał, aż naprawdę się przebudzi, wydarzenia ubiegłego dnia pojawiały się w jego umyśle niby błyskawice rozświetlające nocne niebo. Jednocześnie sprzeczne emocje ogarnęły Armanda. Odnosił wrażenie, że czegoś mu brakuje.

Dominie? Odrzucił pelerynę oraz kołdrę z gałęzi, po czym rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie widział ani śladu dziewczyny. Kiedy ją zawołał, odpowiedział mu jedynie świergot leśnych ptaków.

Armand zerwał się na równe nogi. Lodowaty poranny wiatr smagał go po nagich łydkach. Podniósł pelerynę Dominie z ziemi, strząsnął liście, po czym owinał nią nogi.

Dokąd udała się Dominie? I dlaczego? Czyżby pobiegła gdzieś tylko w płóciennej halce?

Przypomniał sobie o własnym ubraniu. Lustrował przez chwilę otoczenie, żeby zorientować się, gdzie dokładnie jest, po czym odszedł od obu dębów w kierunku miejsca, w którym rozwieszali wczoraj jego szaty. Ubranie zniknęło, ale gałęzie drzew wciąż były przygięte do ziemi od ich ciężaru. Dominie zapewne pożyczyla sobie jego strój, a niech ją licho!

Armand zmełł w ustach przekleństwo.

Mógł się domyślić, dokąd poszła i dlaczego. W końcu go wysłuchała i udało się jej zrozumieć, że poprzysiągł unikać przemocy. Teraz pewnie pojęła, iż mimo wszystko nie będzie miała z niego żadnego pożytku.

Umknęła, zostawiając go niczym niewygodny bagaż, którego już nie potrzebowała. Ukradła mu odzież, aby nie marznąć w drodze powrotnej do domu.

Armand rąbnął otwartą dłonią w pień najbliższego drzewa i westchnął z desperacją. Po części miał ochotę pogodzić się z decyzją dziewczyny, powrócić do Breckland i wyjaśnić opatowi Wilfridowi, że Dominie już nie potrzebuje jego wsparcia. Musiał przyznać, że to była prawda, nawet z perspektywy jego rygorystycznej moralności.

Moralność. Armand ciężko westchnął, przywołując w pamięci niektóre słowa Dominie, jakie padły z jej ust poprzedniego wieczoru. Fakt, że nie była zainteresowana jego pomocą, nie zwalniał go z odpowiedzialności przed opatem, do tego dochodziły wyrzuty sumienia. Pomimo złożonej po Lincoln przysięgi musiał znaleźć sposób, aby pomóc Dominie i wesprzeć jej wasali w walce z Eudem St. Maurem.

Nagle w oddali rozległ się cichy, lecz wyraźny okrzyk przerażenia.

– Dominie! – zawołał Armand.

Rzucił się biegiem w kierunku, skąd doszedł go krzyk, ale peleryna, którą się przepasał, krępowała mu ruchy. Czuł, że w każdej chwili może się przewrócić. Strząsnął z siebie niewygodną odzież i pobiegł pomiędzy drzewami, powiewając ubraniem, które ścisnął w dłoni.

Raz jeszcze wykrzyknął imię Dominie i przystanął na moment, zasłuchany w ciszę. Chociaż nie dotarła do niego żadna odpowiedź, doszedł do wniosku, że w oddali słyszy stłumione hałasy.

Ponownie ruszył biegiem po wyboistej ścieżce. Chwilę później wśród zieleni i brązów lasu ujrzał plamę rdzawej czerni i spłowiałej bieli.

Pośpiesznie się zbliżył do plamy i ze zdumieniem ujrzał swoje ubrania, rozrzucone po ziemi. Nigdzie nie dostrzegł jednak ani śladu Dominie. Nagle z pobliskich paproci dobiegł go wrzask pełen bólu i rozniósł się echem w wysokich gałęziach drzew.

Spojrzenie Armanda powędrowało ku niskim krzewom, pod którymi ujrzał podrygującego mężczyznę w czerni. Leżał twarzą do ziemi i przyciskał całym ciałem Dominie. Jego ofiara była przyduszona, nie mogąc się bronić ani uciec przed prześladowcą.

Rozwścieczony do granic możliwości Armand poczuł, że ma przemożną chęć rzucić się na napastnika i rozszarpać go na strzępy. Popędził do krzaka, pochwycił mężczyznę za czuprynę, ściągnął go z Dominie i cisnął na stertę porośniętych mchem skał.

Jedną z pierwszych lekcji sztuki wojennej, którą Armand otrzymał od Baldwina de Montforda, sprowadzała się do tego, że nigdy nie wolno odwracać się plecami do wroga. Bez wahania złamał tę zasadę.

Myślał wyłącznie o Dominie. Musiał się przekonać, czy jest ciężko ranna i w jaki sposób należy jej pomóc. Wiedział, że potrzebuje czułości i opieki. Zamierzał się o nią zatroszczyć i biada każdemu, kto byłby na tyle głupi lub niegodziwy, aby mu przeszkodzić.

Biedaczka przestała opętańczo wrzeszczeć. Gdy Armand usiłował wziąć ją w ramiona, jej ciałem wstrząsały spazmy płaczu. Na twarzy Dominie widniały smużki krwi, na ubłoconym ubraniu miała czerwone plamy. Gdyby to brudne zwierzę ją zniewoliło...

Na samą myśl o czymś równie odrażającym poczuł ucisk w gardle. Czy sto przysiąg, złożonych przed Bogiem, wystarczyłoby do powstrzymania karzącej ręki Armanda?

Na szczęście instynkt wojownika nie całkiem go opuścił. Kiedy Dominie zamachnęła się na niego, Armand się odchylił, nim jeszcze ujrzał w jej dłoni zakrwawiony nóż.

– Dominie! – Chwycił ją za nadgarstek i mocno ścisnął rękę, aby upuściła broń.  
– To ja, Armand. Jesteś już bezpieczna. Nie ruszaj się!

Jej piekielnie mocny uścisk dłoni zelżał. Nóż upadł na ziemię, pod stopy Armanda.

Przymglone, nieobecne spojrzenie Dominie powoli zdawało się nieruchomieć na jego twarzy.

– Armand? – spytała niepewnie.

– Armand – powtórzył cicho i przytulił ją mocno. – Ten człowiek, ukochana, czy cię skrzywdził? Czy... przymuszał cię do uległości?

– Nie, nie zdążył mi zrobić krzywdy. – Dominie przywarła do wybawcy. Jej słowa sprawiły, że Armand odetchnął z nieopisaną ulgą. – Przewrócił mnie. Usiłował mnie ograbić.

Cała była roztrzęsiona, drżała gwałtownie. Armand uświadomił sobie, że jego kolana również dygoczą. Powoli osunął się na ziemię, trzymając Dominie w ramionach. Łagodnie głaskał ją po włosach i plecach.

W pobliżu leżała jej peleryna. Armand nie przypominał sobie chwili, w której upuścił ubranie. Teraz jednak sięgnął po nie i owinał nim rozdygotaną Dominie.

Rozpłakała się jeszcze gwałtowniej, szlochała głośno, przeraźliwie.

– Już dobrze... – Usiłował ją uspokoić. – Nic ci nie grozi. Jestem przy tobie. Nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił ci krzywdę.

Jak mógł pocieszyć wstrząśniętą Dominie? Jaką ochronę mógł zapewnić, skoro poprzysiągł na zawsze wyrzec się walki, nawet w obronie tej kruchej dziewczyny? Gotów był oddać własne życie, aby dotrzymać przysięgi. Nie wolno mu było już nigdy nikogo zabić. Czy jednak miał prawo stać bezczynnie i patrzeć, jak najdroższe i najbliższe mu osoby spotyka krzywda? Przecież sam skuł sobie ręce kajdanami, nikt go do tego nie zmuszał.

– On... on mógł mnie okaleczyć – wykrztusiła Dominie między jednym szlochem a drugim. – Niewiele brakowało...

a zabiłby mnie. Ale to ja... ja go zabiłam.

Odsunęła się od Armanda i rozsłochała się na nowo. Na dodatek ogarnęły ją mdłości, chciała wymiotować, lecz zbyt długo głodowała, jej brzuch był niemal kompletnie pusty.

– Już wszystko dobrze. – Armand ponownie przygarnął ją do siebie, gdy przestała się krztusić. – Nie masz powodu, by obarczać się winą. Potykałem się z ludźmi i zabijałem ich ze znacznie bardziej błahych powodów. Miałaś prawo się bronić.

– Raz po raz muskał policzkiem jej włosy. – Mów, jeśli to ci przynosi ulgę – zachęcił ją.



Nie był pewien, czy Dominie przystanie na jego propozycję, lecz niemal natychmiast zaczęła opowiadać o wszystkim, co ją spotkało.

– Chciałam tylko uciec – wyjaśniła i chaotycznie, urywanymi słowami zrelacjonowała zdarzenia tego poranka. Gdy Armand usłyszał, że wzięła jego ubranie tylko po to, aby je ogrzać własnym ciałem, jego twarz okrył rumieniec wstydu.

Kiedy wyznała, jak powaliła bandytę, pomimo porannego chłodu rozgrzało go uczucie dumy. Oto córka Baldwina de Montforda, pomyślał. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Dominie opowiadała, a on trzymał ją w mocnym, serdecznym uścisku, aby zapewnić przynajmniej pozory bezpieczeństwa. Pieścił ją i tulił, koił, gdy płakała, i zapewniał, że nikt nie będzie jej winił za to, co zrobiła.

– Kto wie, ilu niewinnych ludzi mógł już zabić ten potwór?

– pytał retorycznie. – Albo ilu jeszcze położyłby trupem, gdybyś go dzisiaj nie pozbawiła życia?

Ta myśl najwyraźniej uspokoiła Dominie, a przynajmniej sprawiła, że przestała drzeć.

– Nie powinniśmy tutaj pozostawać – zauważył Armand. – Nie zapominajmy, ten rozbójnik może mieć kamratów, którzy przyjdą go szukać.

– Wątpię – odparła Dominie i powtórzyła słowa bandyty, który oświadczył, że jest sroką, poszukującą świecidełek.

– Wszystko jedno. – Armand niechętnie cofnął ramię, którym przez cały czas obejmował Dominie. – Nie spocznę, póki nie znajdziemy się za solidnymi, grubymi murami Harwood albo Wakeland. Czy zaczekasz chwilę, aż skończę to, co... muszę zrobić?

– Nie troszcz się o mnie. – Dominie wyprostowała się i odetchnęła głęboko. – Potrafię zadbać o siebie i uczynię to, co konieczne.

Armand przypomniał sobie, że podobne słowa usłyszał od niej wczoraj, kiedy zaproponowała mu ślub, by odzyskał swoje posiadłości w zamian za pomoc przeciwko Eudowi St. Maurowi.

Wtedy przyszło mu do głowy, że Dominie w żaden sposób nie przypomina już dziewczyny, która tak dobrze zapadła mu w pamięć. Uznał, że zmieniła się na gorsze. Teraz rozumiał, że jej udawana hardość i cynizm to tylko poza, przyjęta wtedy, gdy nagle, w nader niebezpiecznych czasach, Dominie stała się odpowiedzialna za dwa wielkie majątki.

Armand poczuł podziw dla tej niewiasty, choć jednocześnie dręczyły go

wyrzuty sumienia: ostatecznie to z jego winy na wątłe barki Dominie spadło tyle obowiązków.

Palcem odsunął kosmyk, który opadł jej na czoło.

– Oczywiście, że tak – potwierdził. – Niedługo wrócę, obiecuję.

Wiedział, że czas go goni. Nie miał pod ręką żadnych narzędzi do kopania, więc momentalnie zrozumiał, że zakopywanie bandyty nie wchodzi w grę. Postanowił zaciągnąć zwłoki do jamy i już po chwili spoczywały na jej dnie.

Zanim jednak przykrył je gałęziami, znieruchomiał na kilka sekund, aby zmówić pacierz. Gdy otworzył oczy, ujrzał pytające spojrzenie Dominie.

Wzruszył ramionami.

– Ten łotr trafi prosto do piekła, bo tam jest jego miejsce oświadczył z przekonaniem. – Tym bardziej wypada zmówić za niego modlitwę. Nigdy się nie dowiemy, co go skłoniło lub co go pchnęło do złodziejskiego żywota. Nie skąpmy mu litości Pana. Sami będziemy jej pewnego dnia potrzebowali, może w podobnej sytuacji jak ten nieszczęsny szubrawiec.

Jego wyjaśnienie nie doczekało się odpowiedzi.

Uznał, że próby usprawiedliwiania się nie mają żadnego sensu. Jakże mógł oczekiwać od Dominie zrozumienia? Pewnie uznała go za zdrajcę, który zdecydowanie nazbyt pochopnie okazuje współczucie jej wrogowi.

Gdy skończył jak najstaranniej osłaniać zwłoki, nie czuł już porannego chłodu.

Na koniec podniósł swoją odzież z miejsca, w którym leżała.

– Muszę mieć własne ubranie – oznajmił. – Powinienem też wrócić po swoje rzeczy i twoją sakwę. Zaczekasz na mnie? Będę wkrótce, obiecuję.

Zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Siedziała z podkulonymi nogami i rękami zaciśniętymi na kolanach. Jej oczy były puste.

Gdy jednak skończył mówić, spokojnie skinęła głową.

– Zuch dziewczyna – pochwalił ją i poklepał po ramieniu. Potem pośpieszył ku miejscu, w którym spędzili noc. Biegł niemal równie prędko jak wtedy, gdy pędził na ratunek Dominie.

Nagle usłyszał szczekanie psa i ludzkie głosy. Ktoś szedł do lasu. Armand znieruchomiał, zdjęty przerażeniem, a następnie błyskawicznie wziął się do roboty.

Przede wszystkim zgarnął tunikę i sakwę Dominie, a także pelerynę i drobiazgi. Następnie pobiegł ścieżką przed siebie. Jeszcze nigdy dotąd nie bał się tak bardzo o siebie, jak teraz lękał się o Dominie.

## Rozdział 7

Głuchy tupot na ścieżce sprawił, że Dominie przeszył dreszcz, a jej serce zatrzepotało niczym ptaszek, pomimo połamanych skrzydeł usiłujący wzlecieć w powietrze.

Próbowała wstać i pobiec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wystarczyło jej sił wyłącznie na to, aby chwycić dłońmi kaptur, zarzucić go na głowę i się skulić. Miała nadzieję, że jeśli dopisze jej szczęście, obcy wezmą ją za pień drzewa.

Kroki się zbliżały i nagle zapadła cisza.

Nieopodał zabrzmiał głos Armanda, przyciszony, ale natarczywy.

– Dominie? – wołał, – Gdzie się podziewasz? Musimy ruszać w drogę!

Usiłowała mu odpowiedzieć, lecz głos uwiązał jej w gardle. Uniosła rękę, odciągnęła kaptur i ujrzała stojącego nieopodał Armanda.

On również ją dostrzegł. Ruszył ku niej; peleryna powiewała przy każdym kroku niczym chmura.

– Wielkie nieba, dziewczyno, przeraziłaś mnie nie na żarty!

Byłem pewien, że spotkało cię nieszczęście.

Rzucił na ziemię wszystko, co niósł, i wyciągnął ręce, aby delikatnie, lecz zarazem stanowczo zsunąć jej z głowy kaptur.

Jakiś niezrozumiały odruch nakazał Dominie zaprotestować. Chwyciła za swój ubiór tak, jakby Armand zamierzał pozbawić ją jedyne źródła poczucia bezpieczeństwa.

– Nie słyszałaś moich słów? – zdumiał się Armand. Klęknął przed Dominie, uniósł jej brodę i popatrzył głęboko w oczy.

– Musimy stąd odejść jak najdalej i jak najprędzej. Słyszałem głosy ludzi, którzy zdążają w tym kierunku. Być może nic nam nie grozi z ich strony, lecz po tym, co się zdarzyło, wolę unikać ryzyka.

Dominie patrzyła w jego niebieskie oczy.

– Pomogę ci włożyć tunikę – szepnął. – Potem wyruszymy w drogę.

Jego spokojny głos i szczerze spojrzenie podziały na Dominie niczym zaklęcie. Z jej kończyn częściowo ustąpiło odrętwienie. Rozluźniła kurczowy uścisk rąk na pelerynie, aby Armand mógł ją ściągnąć z jej ramion.

– Dzielna dziewczyna. – Podniósł tunikę z ziemi. – A teraz przełóż to przez głowę i wkrótce będziesz...

Zaniemówił, kiedy jego spojrzenie powędrowało na jej brzuch. Strach chwycił go za gardło, gdy ujrzał jaskrawoczerwone plamy krwi na białym lnianym. Dominie z trudem powstrzymała się od wymiotów.

– Ściągnij to! – Armand chwycił za poplamione ubranie.

Już nie zachowywał się łagodnie, wyglądał tak, jakby był gotowy zedrzyć odzież z Dominie.

Nie miałyby nic przeciwko temu. Jeszcze przed chwilą desperacko ścisnęła pelerynę. Teraz równie desperacko pragnęła zedrzyć z siebie płótno, które aż nazbyt przypominało jej o tym, co się zdarzyło. A także o tym, co zrobiła.

Pomagała Armandowi najlepiej, jak potrafiła, gdy ściągał z niej brudną odzież. A kiedy siedziała przed nim, naga od ud w górę, czuła się tak, jakby jej ciało należało do kogoś innego. Nie była ani zażenowana, ani zawstydzona.

– Może pożyczyć ci bieliznę? – zaproponował Armand. Teraz jest już całkiem sucha.

Dominie pokręciła głową i sięgnęła po własną tunikę.

– Szkoda czasu. – Miała nadzieję, że zdoła go przekonać.

W rzeczywistości obawiała się, że obfite fałdy jego bielizny za bardzo będą przypominały jej o napaści. Zbyt dobrze pamiętała własną bezradność i bezsilny strach, gdy zaplątała się w za dużym ubraniu.

Armand nie odpowiedział. Podniósł tunikę i przytrzymał tak, aby Dominie mogła wygodnie ją włożyć. Następnie owinał ją paskiem z sakwą i zapiął pelerynę.

W oddali zabrzmiał donośny jazgot psa.

– W drogę! – Armand gwałtownie pociągnął za sobą Dominie, która już po paru niepewnych krokach poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

Armand posłał niespokojne spojrzenie w kierunku, z którego dobiegało szczekanie.

– Zostaw mnie. – Dominie osunęła się na ziemię. – Ukryję się za drzewem i przysypię liśćmi. Dogonię cię, gdy odzyskam władzę w nogach.

Zmarszczył brwi, rozważając wszelkie ewentualności, i stanowczo pokręcił głową.

– Nie mogę cię zostawić – oświadczył.

Zdecydowanym ruchem wziął ją pod pachy, uniósł i przerzucił sobie przez ramię.

– Flambard, co ty wyprawiasz?

– Nie widzisz? – Sięgnął po kij i podpierając się nim, ruszył po ścieżce, z Dominie na ramieniu. – Zabieram cię stąd. Daj mi znać, kiedy uznasz, że nogi

mogą cię znowu utrzymać.

Lekka zadyszka w jego głosie świadczyła o tym, że chciałby, aby ta chwila była bliska.

Niewygodna i utrata godności, związane z podróżowaniem na ramieniu Armanda, sprawiły, że Dominie szybko się otrząsnęła z początkowego osłupienia i przestachu.

Już po paru krokach poklepała swojego tragarza po plecach.

– Lepiej postaw mnie na ziemi, zanim się potkniesz i coś sobie złamiesz – poradziła mu. – Mam wrażenie, że moje nogi odzyskały sprawność.

– Doskonale. – Z trudem chwycił powietrze, kiedy stawiał Dominie na ziemi. – Pożyczę ci laskę – zaproponował. – Pod warunkiem, że nie uderzysz mnie w głowę, kiedy następnym razem cię obrażę.

Skwitowała jego mizerny żart bladym uśmiechem.

– Umowa stoi, Flambard – odparła.

Z początku całym ciężarem ciała opierała się na kij, skoncentrowana wyłącznie na wykonaniu następnego kroku. Z każdą chwilą stąpała coraz pewniej, aż wreszcie oboje opuścili las Thetford i znaleźli się na zielonej łące, ogrzewanej jasnymi promieniami słońca.

Dominie miała wrażenie, że ocknęła się z koszmaru.

– Chciałabym serdecznie ci podziękować. – Wypowiedziała te słowa tak, jakby przez pewien czas je rozważała. Była zadowolona, że nie łamie się jej głos.

Gdy Armand pytająco uniósł brwi, dodała:

– Za to, że się o mnie zatroszczyłeś po tym, jak... sam wiesz...

– Nie ma problemu – odparł – ale nie zrobiłem wiele. Gdybym nie przyszedł, w sumie nie odczułabyś różnicy.

Chodziło mu o to, że sama poradziła sobie z bandytą? To był najmniejszy z jej problemów.

Armand osłonił oczy dłonią i popatrzył na falującą trawę na łące, przeznaczonym na pastwiska, przyjrzał się drobnym krzewom i żywopłotom, porastającym zachodni kraniec Suffolk.

– Kiedy uświadomiłabyś sobie, że jesteś zdana wyłącznie na własne siły, z pewnością wzięłabyś się w garść, zrobiła, co należy, i już. – Zwrócił spojrzenie na twarz Dominie. – Tak jak postąpiłaś po Lincoln, gdy otrzymałaś wiadomości o śmierci ojca i Denysa. Podobnie było wtedy, gdy twój dzierżawca ostrzegł cię, że chciwy St. Maur ma na oku Harwood i Wakeland. Opat Wilfrid powiedział, że jesteś nieprzeciętną kobietą, i miał rację.

Dominie dostrzegła w oczach Armanda błysk uznania. Mówił o niej z niewątpliwym podziwem; była tego pewna tak samo jak tego, że świeci słońce czy wieje wiatr. Problem w tym, że nie czuła się godna podziwu.

– Stałeś przy mnie, gdy cierpiałam, płakałam i walczyłam z mdłościami – przypomniała mu. Chciała go znienawidzić za to, że oglądał ją w chwili słabości, tak samo jak nienawidziła go za zerwanie ich zaręczyn i porzucenie bez słowa wyjaśnienia.

Armand nie ułatwiał jej zadania. Nie potrafiła też wzbudzić w sobie pogardy dla jego wzniosłych ideałów. Doceniała nawet to, że poprzysiągł sobie unikać wszelkiej przemocy, a przecież taka decyzja mogła drogo kosztować jej poddanych.

Kiedy jej ręce były śliskie i czerwone od krwi wroga, którego sama zabiła, zrozumiała po części postawę Armanda. Wcale nie chciała pozbawiać bandyty życia, tylko odstraszyć go od siebie, aby nie zrobił jej krzywdy. Choć jego dramatyczna śmierć nią wstrząsnęła, nie mogła przed sobą udawać, że świat w jakikolwiek sposób ucierpi z powodu jego śmierci.

A gdyby, podobnie jak Armand, sięgnęła po miecz i ruszyła do boju, z nieodwołalnym zamiarem zabijania wroga? A potem, podczas jednego krwawego dnia, zabiła kilku ludzi, których jedyną winą było przywiązanie do innego pana? Ludzi, którzy niegdyś mogli być jej sąsiadami, może nawet przyjaciółmi?

Wstąpienie do zakonu i wyrzeczenie się przemocy było znacznie bardziej umiarkowaną reakcją, niż mogła sobie wyobrazić, zwłaszcza jeśli chodzi o człowieka honoru i niebywale szczytnych ideałów.

Zatopiona w myślach, Dominie nie zauważyła, że Armand przybliżał się do niej z każdym krokiem, aż w końcu znalazł się na tyle blisko, że dotknął dłonią jej ramienia.

– Cieszę się, że płakałaś – wyznał.

– Jak to? – zdumiała się. Wziął ją za rękę i zwolnił.

– Cieszę się, że płakałaś, bo nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdybyś przeze mnie zatraciła wrażliwość – oświadczył. – Gdyby ostatnie lata do tego stopnia pozbawiły cię ludzkich uczuć, że bez zmrużenia powiek potrafiłabyś przelać ludzką krew.

– Dlaczego miałbyś się za to winić?

– Bo wszystkie obowiązki, które na ciebie spadły, powinny obciążać moje barki – wyjaśnił. – A mnie nie było przy tobie.

Dominie przyszła do głowy nowa myśl.

– Gdybyś zgłosił się pod rozkazy króla Stefana, do czego namawiał cię mój

ojciec, mógłbyś również polec w Lincoln.

Wszystkie obowiązki tak czy owak spadłyby więc na moje barki. A ciebie nie byłoby tutaj ze mną.

Uśmiechnął się z trudem.

– Zatem wolałabyś mieć żywego zdrajcę niż martwego bohatera? – spytał. – Jesteś niebywale praktyczną osobą.

Dominie wysunęła dłoń z jego uścisku i przyśpieszyła kroku. Od tego ranka, a nawet wcześniej – od chwili gdy ponownie skierowała na niego wzrok, zaczęła się czuć jak ktoś, kogo nie zna. Wszystkie jej uczucia były nazbyt świeże. Mogły bez ostrzeżenia uwolnić się spod kruchej skorupy opanowania.

Nawet w zamian za głowę Euda St. Maura nie mogła dopuścić do tego, by Armand dwa razy jednego dnia widział ją we łzach.

– Sądziłam, że będziesz zadowolony – powiedziała. – Ostatecznie udało mi się uwolnić od żalu i goryczy, które towarzyszyły mi przez lata.

– Jestem zadowolony. – Armand przyśpieszył, by nadążyć za Dominie. Po chwili położył jej dłoń na ramieniu i odwrócił ją ku sobie. – Do tej pory nie mogę wyjść ze zdumienia, że ci się powiodło.

– Naprawdę? – spytała bez przekonania i oddała Armandowi kij. Teraz, gdy odzyskała sprawność w nogach, laska bardziej mogła jemu się przydać.

– Oczywiście. – Popatrzył jej w twarz, jakby szukając podobieństwa do kogoś, kogo niegdyś znał. – Tak bardzo zmieniłaś się przez ten czas, który spędziliśmy z dala od siebie! A może nigdy nie znałem cię tak dobrze, jak mi się zdawało.

Dominie odwróciła wzrok.

– Zmieniłam się na lepsze czy na gorsze? – spytała, choć postanowiła nie przejmować się jego opinią.

– Nie mnie to oceniać – odparł. – Chociaż wbrew sobie zaczynam myśleć, że może z przyjemnością podejmę wyzwanie, polegające na zaznajomieniu się z nową Dominie – dodał i wziął ją za rękę.

Coś się w niej przełamało.

– Nie musisz zostawać. – Te słowa przeszły jej przez gardło, choć ogarnęła ją zdumiewająca mieszanina zapału i niechęci.

Armand ściągnął brwi.

– Zostawać? – powtórzył.

– W Wakeland, kiedy tam dotrzemy. – Mówiła pośpiesznie, aby ciepło jego dłoni nie skłoniło jej do zmiany zdania. – Ani w Harwood. Powiedziałeś, że nie należy już do ciebie, więc nie masz czego bronić. Nie powinnam była cię zmuszać

do opuszczenia klasztoru, jeśli nie miałeś na to ochoty.

Dlaczego nie dostrzegła ulgi na obliczu Armanda? Przecież zwolniła go z obowiązku. Tymczasem na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka, zmrużył oczy. Nie potrafiła rozszyfrować tego wyrazu twarzy.

Może był zakłopotany? Albo rozdarty?

– To nie ty mnie zmusiłaś, tylko opat Wilfrid. Zapomniałaś?

– Bo nalegałam. – Dlaczego Armand sprawiał jej dodatkowe trudności? – I może po to, by sprawdzić, jak bardzo jesteś posłuszny.

Armand puścił dłoń Dominie, jakby nagle stała się nazbyt gorąca, by jej dotykać.

– Moim zdaniem, ojciec Wilfrid chce mnie sprawdzić na rozmaite sposoby. Jeśli moje przekonania są szczerze, powinienem mieć odwagę ich bronić i stawić czoło przeciwnościom losu – oznajmił.

Dominie drgnęła, nieprzyjemnie zaskoczona. Nie spodziewała się, że czas spędzony z nią Armand uważa za przeciwność losu. Ta świadomość tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że powinna zwrócić mu wolność.

– Jeżeli zwolnię cię z obowiązku, wówczas opat z pewnością znajdzie dla ciebie inne przeciwności losu, aby cię sprawdzić.

– To prawda – przyznał, a kąciki jego ust uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Nie wydawał się jednak rozbawiony, raczej przygnębiony. – Uznałaś zatem, że jestem dla ciebie zawalidrogą, nie pomocą. Wojownik ograniczony niemądrą przysięgą.

– Nie da się ukryć. – Westchnęła i wbiła wzrok w ziemię. – To jednak tylko część prawdy.

Jak bardzo nienawidziła przyznawać się do błędów! Armand zasługiwał jednak na to, aby wszystko mu wyznała.

– Dzisiaj ujrzałam na własne oczy, jak nagła bywa śmierć i jak nieoczekiwanie spada na człowieka – zaczęła. – Postanowiłam zastanowić się nad sobą i nad tym, co kieruje moimi poczynaniami. Powiem szczerze: nie jestem z siebie dumna. Praktyczne potrzeby stały się dla mnie usprawiedliwieniem dla popełnienia zbyt wielu niedobrych uczynków.

Przemknęło jej przez myśl, że Armandowi należy się odrobina satysfakcji; ostatecznie miał całkowitą rację w ocenie byłej narzeczonej.

Armand zaczął się zastanawiać, czy sam poddaje tak bezlitosnemu osądowi własne uczynki i pobudki. Może gdyby się na to zdecydował, odkryłby, że jego



szczytne ideały są ledwie odwagą czy też raczej fasadą, za którą skrywają się poczucie winy i niepewność? Kto wie, nawet szczypta tchórzostwa? A gdyby jednak odnalazł w sobie tak haniebną słabość charakteru, czy miałby śmiałość i siłę wewnętrzną, aby się do niej przyznać, jak to przed momentem uczyniła Dominie?

– Czy życzysz sobie, bym powrócił do Breckland, kiedy odprowadzę cię do domu? – zapytał.

Gdyby tego chciała, z pewnością sama dałaby sobie radę i jego ochrona nie byłaby jej potrzebna. O tym był przekonany.

Dominie przez cały czas wpatrywała się w ziemię. Na dźwięk jego głosu uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zamierzam ofiarować ci wolność wyboru – oznajmiła. Jeśli chcesz, idź. Jeśli nie, zostań. Niechętna służba bywa gorsza niż bezczynność. Wiedz, że już oddałeś mi więcej przysług, niż na to zasługuję.

Ta propozycja stanowiła dla niego silną pokusę z wielu powodów, między innymi takich, do jakich nie śmiałby się przyznać przed samym sobą. Wszelka udzielona Dominie pomoc mogła okazać się niezadowolająca w obliczu tak przebiegłego wroga jak Eudo St. Maur. A nawet gdyby wysiłki Armanda doprowadziły do zasadniczej zmiany sytuacji, i tak mogłyby nie wystarczyć do spłaty wszystkich długów, jakie zaciągnął u dawnej narzeczonej.

Jak miałby wrócić do klasztoru, odmawiać pacierze, orać, strzyc żywopłot, skoro jego kruchy spokój wewnętrzny zburzyła świadomość, że odwrócił się plecami do bliskiej osoby, która w dodatku go potrzebowała? I to po raz drugi?

– Moja służba może się okazać niezbyt przydatna – rzekł i odetchnął głęboko, jakby gotował się do zanurzenia w niebezpiecznych wodach. – Nie sposób jednak kwestionować faktu, że na nią zasługujesz. Dlatego oferuję ci swe usługi, co powinienem był uczynić, kiedy tylko odezwałaś się do mnie w klasztorze. Żałuję, że tego nie zrobiłem.

Dominie milczała. Armand przeląkł się, że jednak mu odmówi.

Potem jednak jej oblicze rozjaśnił uśmiech tak pogodny, że zdawał się rozświetlać także zakamarki duszy Armanda.

– Przyjmuję twą pomoc. – Wyciągnęła rękę. – Z podziękowaniami.

Armand chwycił smukłe palce Dominie. W ostatniej chwili pod wpływem impulsu postanowił przycisnąć jej drobną dłoń do ust i złożyć na niej gorący pocałunek.

Dominie mogła zaprzeczać, lecz Armand i tak wiedział swoje: nawet ona potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się wesprzeć. Kogoś silnego i męznego,

gotowego ofiarować jej poczucie bezpieczeństwa. Taki mężczyzna musiałaby także wiedzieć, kiedy Dominie ma ochotę ponownie stanąć na nogi o własnych siłach.

Oby tylko Dominie nie odebrała mu prawa do bycia tym mężczyzną.

Reszta podróży Armanda i Dominie do Wakeland okazała się spokojna i bezbarwna w przeciwieństwie do niebezpiecznego początku ich wspólnej wędrówki. Omijali Fenlands tak szerokim łukiem, że nie groziło im nic ze strony St. Maura ani jego watahy. W towarzystwie wysokiego, mocno zbudowanego mężczyzny Dominie nie musiała specjalnie się ukrywać przed przypadkowo napotkanymi wędrowcami.

Po drodze Armand wypytywał ją o zmiany, jakie zaszły w ich posiadłościach przez ostatnie pięć lat. Im dłużej słuchał, tym większy narastał w nim podziw dla Dominie.

W miarę zbliżania się do miejsca, w którym się urodził i wychował, czuł, że idzie mu się lżej, i był coraz bardziej rozentuzjasmowany. Odnosił wrażenie, że w jego duszy gra głęboka, łagodna muzyka, pełna rzewnej słodyczy.

Na noc schronili się w chacie pasterskiej, pustej, bo w tych niespokojnych czasach zbyt niebezpiecznie było prowadzić owce na odległe pastwiska. Na skromną kolację zjedli chleb i ser. Potem przespali się na pościeli z owczego futra. Co prawda, było stare i niespecjalnie czyste, ale tak cudownie ciepłe, że Armand ani trochę nie narzekał na przykry odór.

Wyszeptał modlitwę i pogrążył się we śnie tak głębokim i spokojnym, jakiego nigdy nie doświadczył w klasztorze.

Następnego ranka obudziła go Dominie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Wstań, Armandzie – zachęciła go miękkim, aksamitnym głosem. – Minał już czas, kiedy powinniśmy ruszyć w drogę.

Chcę dotrzeć do domu przed zachodem słońca.

Powoli otworzył oczy i z wielką przyjemnością popatrzył na piękną twarz.

Nie przypominała nieziemskiej, eterycznej istoty z jego dawnych snów. W jej włosach utkwiły źdźbła słomy, na nosie dostrzegł drobne piegi. Wokół oczu uformowały się ledwie widoczne zmarszczki, których wcześniej nie zauważył, oznaka smutku i niepokoju. Pomimo to, a może dzięki temu, jej dojrzała, jesienna uroda poruszyła go do głębi, jak nigdy dotąd.

Ich spojrzenia się skrzyżowały i przez chwilę poczuli silny i niebezpieczny przypływ intymnej bliskości. Dominie pośpiesznie oderwała dłoń od ramienia Armanda i odetchnęła głęboko.

– Boję się, co zastanę po sześciu dniach nieobecności – powiedziała, usiłując zamaskować zakłopotanie. – Gavin pewnie spadł z murów obronnych albo doprowadził jednego z koni do kalectwa. Mama, być może, zachorowała, piwo skwaśniało, a zarządca uciekł z pieniędzmi zebranych od dzierżawców.

Armand usiadł i się przeciągnął.

– Zatem trzeba niezwłocznie ruszać w drogę – odparł. – Oby przynajmniej mury obronne przetrwały te kataklizmy.

– Drwij sobie, drwij – burknęła i wzięła się pod boki. – Na miejscu sam zobaczysz, jak się mają sprawy.

Nagle Armandowi coś przyszło do głowy i zanim zdążył przemyśleć pytanie, samo mu się wymknęło.

– Czemu nigdy nie spróbowałaś poszukać męża, który zdjąłby z twych ramion ciężar, przynajmniej częściowo?

Gdyby wyszła za męża, wówczas panem jego posiadłości zostałby inny mężczyzna. To jednak nie dręczyło Armanda tak bardzo jak świadomość, że to nie on dzieliłby łożę z Dominie.

Zajęta podnoszeniem sakwy, być może nie zorientowała się, jak istotne pytanie zadał Armand, gdyż jej odpowiedź zabrzmiała nieoczekiwanie beztrąsko.

– Odpowiedni kandydaci na męża to rzadkość w czasach wojny – odrzekła. – Mają przecież ważniejsze sprawy na głowie niż uderzanie w konkury.

– Z pewnością niejeden wielbiciel kręcił się koło ciebie. – Pomyślał, że to oczywiste. Mężczyźni musieli ciągnąć do niej niczym pszczoły do miodu. Taka piękność, z zacnym posagiem... Armand nagle poczuł, jak mimowolnie zaciska pięści.

Dominie przekrzywiła głowę i skrzywiła się z niechęcią.

– Z tych nielicznych, którzy pozostawali pod ręką, większość nie wchodziła w rachubę. Jednego czy dwóch w miarę odpowiednich uznałam za nazbyt ambitnych. Obawiałam się, że nie poprzestaliby na moich ziemiach i ogarnęłyby ich pokusa zagarnięcia Wakeland, które należy się Gavinowi.

Czy tylko to sprawiło, że Dominie powstrzymała się od zamążpójścia? Wydawała się przecież skłonna ofiarować Armandowi rękę i majątek w zamian za pomoc. Ostrożność nakazała mu nie drażnić tej sprawy.

– Gavin – podchwycił, zdecydowany zmienić temat rozmowy na bezpieczniejszy. – Chyba nie zdołałbym go poznać. Był przecież małym chłopcem, kiedy widziałem go po raz ostatni.

Niechętnie wstał z miękkiego, ale bardzo śmierdzącego legowiska z futer,

zapiął pelerynę, wziął do ręki kij i ruszył za Dominie, która pierwsza wyszła na zewnątrz. Okolica była skąpana w srebrzystej mgielce.

– Gavin pamięta cię całkiem dobrze. – Dominie zaśmiała się cicho i ruszyli na zachód, ku Cambridgeshire. – Aż dziw bierze, że ten mały łobuz jeszcze żyje. Co dzień wymyśla nowe psoty. Najchętniej udaje wielkiego wojownika, takiego jak jego ojciec czy Denys... albo ty.

– Wielki wojownik, który wyrzekł się przemocy – zauważył Armand drwiąco. – Obawiam się, że chłopak przeżyje nieliczne rozczarowanie, gdy mnie ujrzy.

– Absurd. – Dominie ruszyła ścieżką przed siebie. – Gavin z radości wyskoczy ze skóry na wieść, że w domu pojawi się inny mężczyzna. Poza tym ani myślę informować kogokolwiek o twojej przysiędze. Gavin również się o niej nie dowie, przynajmniej nie teraz.

Czyżby nie tylko ją rozczarował, lecz także się go wstydziła?

– Odmawiam kłamania przed wszystkimi!

Dominie ciężko westchnęła.

– Nie proszę cię, byś kłamał, Armandzie – pośpieszyła z zapewnieniem. – Po prostu chciałabym, żebyś nie obwieszczał prawdy wszem wobec. Czy to grzech?

Jej słowa brzmiały tak irytująco rozsądnie.

– Wiem, że masz mnie za głupca. – Armand odsunął z czoła wilgotny kosmyk. – Trudno cię za to winić. Często sam o sobie tak myślę. Inteligentny mężczyzna nie postrzegałby świata w czarno-białych kolorach. Ktoś bystrzejszy ode mnie nie byłby zdumiony na widok szarości... albo, nie daj Boże, czerwieni.

Dominie popatrzyła mu głęboko w oczy.

– Flambard, nie jesteś głupcem! – podkreśliła z mocą i stanowczo pokręciła głową. – Choć muszę przyznać, że widzisz świat z zupełnie innej perspektywy niż większość ludzi. Może jednak klasztor to dla ciebie najlepsze miejsce, kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione.

Armand nie mógł i nie chciał zaprzeczyć. Te same słowa powtarzał sobie całymi latami, lecz mimowolnie drgnął, gdy usłyszał je z ust Dominie.

## Rozdział 8

– Nareszcie w domu! – Dominie westchnęła, gdy w oddali dostrzegła zamek Wakeland. Potrząsnęła lejcami łagodnego wałacha. – Mam wrażenie, że już miesiąc temu wyjechałam do Breckland.

Armand skinął głową, jadąc wierzchem na dereszowatej klaczy.

– Przez ten czas wiele się zdarzyło – odrzekł. – Opuściliśmy klasztor jakiś tydzień temu, prawda? Z pewnością kończymy podróż w lepszej kondycji, niż można by się spodziewać.

Dominie spojrzała na swoją suknię i uśmiechnęła się szeroko. Nie przypominała już młodzika, który odwiedził Armanda w klasztorze.

Wcześniej, po południu, oboje dotarli do wysuniętej najdalej na wschód posiadłości de Montfordów. Na miejscu zjedli pierwszy gorący posiłek od dwóch dni. Umywszy się i uczesawszy, Dominie przywdziała suknię stosowną dla panny z dobrego domu.

Z niezrozumiałych powodów poczuła, że nie ma ochoty rozstawać się z tuniką. Szorstka wełna bez podszewki ocierała się o skórę podczas wędrówki z Armandem. Uznała to za niezbyt dotkliwą, lecz konieczną pokutę, która do pewnego stopnia pozwoliła wytrwać, kiedy groziła jej niemoc, wywołana poczuciem winy i obrzydzeniem do samej siebie z powodu zabicia bandyty.

Gdy wyłoniła się z jasnego pokoju gospodyni, uczesana i starannie ubrana, dostrzegła błysk podziwu w spojrzeniu Armanda. Pośpiesznie odwrócił wzrok.

Niewiele mówili podczas wspólnej przejażdżki. Armand zwracał się do Dominie z ostrożną uprzejmością, przez co poczuła się tak, jakby narastał między nimi dystans. Choć wiedziała, że ten fakt powinien ją cieszyć, mimowolnie tęskniła za kłótliwą szczerością, która dotąd ich łączyła.

Odchrząknęła, aby zwrócić na siebie uwagę.

– Zanim dotrzemy do Wakeland, chciałabym cię o coś poprosić – zagadnęła.

– Dobrze wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko, co w mojej mocy – oświadczył Armand, lecz ani na moment nie oderwał wzroku od zamku, ku któremu zmierzali.

– Gdy znajdziemy się już na miejscu, z pewnością będziemy musieli odpowiedzieć na wiele pytań związanych z naszą podróżą z Breckland.

– I cóż? – spytał ostrożnie. Nazbyt ostrożnie, jak na gust Dominie.

– Gdy wyjeżdżałam, nie zdradziłam nikomu, dokąd się udaję – wyjawiała. – Wszyscy próbowaliby zmusić mnie do zmiany zdania. Nie zamierzałam także

rozbudzać złudnych nadziei.

Mogłoby się okazać, że ojciec Clement pomylił cię z kimś, kiedy przyjechał z moją matką do Breckland. Mieszkańcy Wakeland zapewne uznali, że udałam się do Harwood, aby czuwać nad przebiegiem wiosennych prac polowych.

Armand nie sprawiał wrażenia zaskoczonego faktem, że Dominie wprowadziła w błąd rodzinę i służbę.

– Co to ma wspólnego z twoją prośbą? – zapytał.

– Mama zemdleje, gdy usłyszysz o naszej przygodzie w strumieniu albo o... incydencie z bandytą.

Dominie potrafiła też wyobrazić sobie reakcję matki na wieść o tym, że jej córka spędziła noc w objęciach Armanda. Zanim zaprotestował, zapewniła go:

– Nie proszę cię o to, byś kłamał. Po prostu milcz w tej sprawie i daj mi mówić za nas oboje, jeśli padnie kłopotliwe pytanie.

Przez chwilę wahał się, jakiej odpowiedzi udzielić, więc dodała:

– Nie chcesz przecież niepokoić mojej mamy, prawda?

– Oczywiście, że nie!

– Doskonale. Zatem ta sprawa jest zamknięta.

Wymamrotał pod nosem coś, czego Dominie nie zrozumiała. W skrytości ducha pogratulowała sobie, że się uczy, jak skutecznie przełamywać kłopotliwą niechęć Armanda Flambarda.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Ona była dość zadowolona z siebie, on – nieco naburmuszony.

Gdy dotarli do bramy, usłyszeli głos strażnika.

– Kto tam?

– Twoja pani. A ty jesteś Will, syn Edgara! – zawołała donośnie Dominie. – Jeśli tego nie widzisz, to znak, że twoje oczy szwankują i nie powinienesz pełnić straży.

– Widziałem, że to ty, pani – odparł strażnik. – Ale kim jest ten święty człowiek, który z tobą przybywa?

Zanim Dominie zdążyła cokolwiek powiedzieć, głos zabrał Armand. Przemówił z zapalem, którego nie słyszała u niego od lat.

– Will, jestem gotów ci wybaczyć to, że mnie nie rozpoznałeś! – wykrzyknął. – Wiele wiosen minęło od czasu, gdy kiedyś zgodziłeś się zaspokoić moją zachciankę i trzymać ze mną wartę na tej bramie.

– Lord Flambard? Jaśnie panie, czy to ty przybywasz z powrotem do Wakeland? – Strażnik nie skrywał oszołomienia i jednocześnie strachu. –

Powstałeś z martwych?

Armand odrzucił głowę i zaśmiał się głośno, z całego serca. W sercu Dominie obudziły się najśłodsze wspomnienia sprzed lat.

– Bez obaw, Will. – Armand uspokoił strażnika. – Nie jestem duchem.

Dominie podniosła głos, by usłyszano ją za murami.

– Potwierdzam, że lord Flambard jest żywy i ma się tak dobrze jak nigdy. Przybył poprowadzić nas do boju z Wilkiem z Fenlands, czyli St. Maurem.

– Zaiste, jaśnie pani, to dobre wieści! – uradował się wartownik. – Twoje słowa ucieszą lud Harwood.

– Taką mam nadzieję – odparła Dominie. – Jeśli nie pośpieszysz się z wpuszczeniem nas do środka, zabiorę jego lordowską mość do Harwood, gdzie powitają nas z większą gościnnością.

– Błagam o wybaczenie, jaśnie pani! – Zmieszany strażnik rzucił się do otwierania bramy. – Osłupiałem do tego stopnia, że – zapomniałem o dobrych manierach. Ale przecież tylko wykonuję twoje polecenia i ze szczególną uwagą sprawdzam wszystkich, którzy chcą wejść w nasze progi.

– Dobrze postępujesz – pochwaliła strażnika Dominie i uśmiechnęła się do niego, gdy wkraczała na teren zamku.

Chciała dać biedakowi do zrozumienia, że docenia jego wierną służbę. – Skoro powrócił lord Flambard, który obejmie dowództwo nad naszą obroną, z pewnością bliska jest chwila, kiedy wszyscy będziemy mogli osłabić czujność.

Zanim Armand zeskoczył z siodła i pomógł Dominie zejść z konia, wokół zebrał się tłumek okolicznych mieszkańców, którzy porzucili wieczorny posiłek, aby powitać przybyłych. Dominie nie posiadała się z radości, widząc, jak ludzie gorączkowo szepczą do siebie i patrzą na Armanda z czułością i zarazem z podziwem. Gdy paru z nich powitał z imienia, wyróżnieni zdawali się puchnąć z dumy.

Ojciec Clement przepchał się przez tłumek zgromadzony na dziedzińcu.

– Zatem moje stare oczy nie kłamią, jak z początku sądziłem – powiedział i uścisnął dłoń Armanda. – Po wyjeździe lady Dominie naszły mnie obawy, że mogła wyruszyć do Breckland, aby samodzielnie sprawdzić, czy tam przebywasz. Od tamtej pory prawie nie zmrzyłem oka, tak bardzo się martwiłem, że niechcący bez sensu wysłałem ją w długą i niebezpieczną podróż.

Zanim Armand zdążył cokolwiek powiedzieć, Dominie surowo popatrzyła na zebranych i dała im ręką znak, aby wracali do domów. Następnie skierowała wzrok na ojca Clementa.

– Mam nadzieję, że ojciec nic nie wyjawiał mamie – powiedziała cicho.

– Bez obaw, moje dziecko – odparł ksiądz. – Mam swój rozum. Lady Blanchefleur jest przekonana, że udałaś się do Harwood, choć od dwóch dni niecierpliwie wyczekuje twojego powrotu. Wieść o twoim przybyciu zastała nas w wielkiej sali. Twoja matka przysłała mnie z zaproszeniem na kolację dla ciebie i twojego towarzysza. To dopiero będzie radość, gdy wszyscy poznają tożsamość naszego gościa.

– Jeżeli powitanie za bramą można uznać za miarodajne, to ma ojciec rację. – Dominie wzięła Armanda pod rękę i wspólnie podążyli za ojcem elementem po długim, stromym moście zwodzonym, do właściwej warowni.

Dobra nowina z prędkością błyskawicy obiegła zamek. Gdy przybysze weszli do sali, powitał ich ogłuszający ryk radości. Gavin przybiegł przez całą długość komnaty, by ich uściskać, a matka Dominie okrągłymi ze zdumienia oczami spoglądała zza wielkiego stołu.

Młodzieniec gwałtownie przystanął przed Armandem i obejrzał go od stóp do głów, jakby chciał pogodzić widok odzianego w habit człowieka ze słabo pamiętanym obrazem bohatera.

– Zatem to prawda, co mówią, Dominie – oświadczył. Znalazłaś Armanda Flambarda i sprowadziłaś go z powrotem.

Żałuję, że nie zabrałaś mnie z sobą.

Tylko tego by jej brakowało! Młodszy brat, któremu tylko psoty w głowie, przysporzyłby jej dodatkowych trudności. Dominie musiała ugryźć się w język, aby niepotrzebnymi uwagami nie wzbudzić podejrzeń lady Blanchefleur.

Armand potargał rudawą czuprynę chłopaka.

– Twoja siostra nie mogła cię zabrać, przyjacielu. – Uśmiechnął się do niego. – Musiała przecież zostawić w Wakeland wytrawnego wojownika, który wszystkim się zajmie pod jej nieobecność.

Gavin nadał się z dumy, zupełnie jakby uwierzył w słowa Armanda.

– Na pewno jesteście głodni po podróży – powiedział. Chodźcie, przygotowaliśmy dla was miejsce.

Gdy zmierzali do stołu, pod ich stopami trzeszczała rogoża. Dominie zerknęła z ukosa na Armanda, który patrzył na Gavina z tak bezbrzeżnym smutkiem, jakby lada moment miało mu pęknąć serce.

Dominie przysunęła się do niego.

– Co się stało? – spytała niespokojnie. – Jesteś chory?

Armand przecząco pokręcił głową i spróbował uśmiechnąć się pogodnie.



Dominie nie dała się zwieść ani zniechęcić.

– Wobec tego o co chodzi? – drażyła uparcie.

Przez chwilę miała wątpliwości, czy usłyszy odpowiedź. Gdy jednak stanęli przy stole, Armand pochylił się jej do ucha.

– Ten chłopak do złudzenia przypomina Denysa z czasów, kiedy obaj dorastaliśmy – wyznał szeptem.

W jego drżącym głosie usłyszała nieopisaną tęsknotę.

Czy to możliwe, że również Armand pragnął cofnąć czas i powrócić do dni, w których żyło się bezpieczniej i prościej? Gdy Flambardowie i de Montfordowie pozostawali najbliższymi sprzymierzeńcami? Gdy oboje, on i Dominie, mogli liczyć na bezpieczną, szczęśliwą przyszłość?

Wielka sala w Wakeland wyglądała tak, jak to zapamiętał Armand. Był tu wysoki sufit, wsparty na grubych dębowych belkach. Po obu stronach pomieszczenia wybudowano dwa ogromne kamienne kominki, przez okna o ramach z polerowanego rogu światło wpadało do środka. Dwa solidne stoły rozciągały się wzdłuż bocznych ścian sali, trzeci ustawiono w jej głębi, na podwyższeniu. Tam zasiadali członkowie rodziny oraz najważniejsi goście.

Armandowi zapadły także w pamięć odgłosy towarzyszące posiłkowi. Pod nogami obecnych chrzęściły rogoże, na blatach stukały drewniane miski, wokoło rozlegał się chaotyczny chór wielu głosów przemawiających jednocześnie. Nawet zapachy były znajome: pieczone mięsiwo, gorący chleb, woń ciał o zróżnicowanej czystości. Wśród tych wszystkich zapachów dawało się wyczuć subtelną słodycz lawendy, ulubionego aromatu lady Blanche fleur do odświeżania wnętrza.

Armand rozpoznawał wiele zwróconych ku niemu twarzy, rozjaśnionych przyjaznymi, powitalnymi uśmiechami. Ogarnęła go cicha, lecz wielka radość, towarzysząca powrotowi do domu i rozgrzewająca niczym trzaskający ogień na Boże Narodzenie. Odnosił wrażenie, że budzi się istotna część jego osobowości, której od bardzo dawna mu brakowało.

I wtedy młody Gavin wyszedł im na powitanie.

Jego podobieństwo do zmarłego brata wstrząsnęło Armandem. Uświadomił sobie, że Wakeland jednak zmieniło się pod jego nieobecność.

Gdy stanęli przy stole usytuowanym na platformie, lady Blanche fleur podniosła się z krzesła i z rozpostartymi ramionami powitała Armanda.

– Drogi chłopcze! – wykrzyknęła. – Twoja obecność w tej sali jest dla mnie ukojeniem!

Armand pochylił się w ukłonie.

– Dobrze ponownie gościć w Wakeland, pani. Jest tu prawie tak, jak zapamiętałem.

– Ty jednak zmieniłeś się w znacznym stopniu. – Lady Blanchefleur westchnęła i pokręciła głową, jakby nieco żałując tego, co przyniosły lata. – Podejdź jednak bliżej i zasiądź u mego boku. Jedz, musi cię trapić okropny głód po podróży. Skąd przybywasz?

Armand posłusznie usiadł na wskazanym miejscu i dyskretnie zerknął na Dominie, która przycupnęła na krześle z lewej strony matki. Czy szczerą odpowiedź na to pytanie mogła zaszkodzić?

Ponieważ Dominie najwyraźniej nie zamierzała składać wyjaśnień w jego imieniu, Armand postanowił mówić prawdę.

– Z klasztoru Breckland, w Norfolk, pani – wyznał.

– Z Breckland? – wykrzyknęła zdumiona lady Blanchefleur. – Coś podobnego, nie dalej jak dwa tygodnie temu wróciłam z tego klasztoru! I pomyśleć, że cię tam nie spotkałam. Ale też trzeba przyznać, że trudno byłoby mi cię rozpoznać.

Armand urwał kawałek chleba i sięgnął po ćwiartkę kurczaka.

– Sądziłam, że byłeś już w pełni dorosły, gdy cię ostatnio widziałam – ciągnęła dama. – Tymczasem jeszcze bardziej urosłeś. Biedaczysko, straciłeś na wadze, chociaż nadal nie brak ci urody. Jestem pewna, że spełniłbyś oczekiwania większości kobiet. – Nieoczekiwanie odwróciła się do Dominie. Mam rację, córko?

Zapadło krótkotrwałe, lecz wyraźnie kłopotliwe milczenie. Wszyscy oczekiwali odpowiedzi.

Armand ugryzł kęs chleba i przystąpił do przeżuwania z taką energią, jakby od tego zależało jego życie. Na wszelki wypadek nawet nie spojrzął na twarz Dominie.

– Wygląda równie dobrze jak zawsze – odparła Dominie po namyśle, najwyraźniej zirytowana.

Lady Blanchefleur nie zwróciła uwagi na ton córki i skubnęła rękaw habitu Armanda.

– A cóż to takiego? – spytała – Mam nadzieję, że nie złożyłeś ślubów?

Zanim Armand zdołał przełknąć chleb, aby cokolwiek odpowiedzieć, Dominie postanowiła go wyręczyć.

– Mamo, co złego w tym, że mężczyzna zasila szeregi benedyktynów? – spytała. – Sądziłam, że wysoko cenisz religijność.

– I nie myliłaś się, moja droga – potwierdziła dama. – Uważam tylko, że ciało może równie dobrze służyć naszemu Panu w szerokim świecie jak i za murami

klasztoru. Niektórzy ludzie nadają się do klasztornej tryby życia, inni nie. Lord Flambard jest...

Armand nagle poczuł, że wcale nie chce słyszeć, do jakiego życia jest stworzony w opinii lady Blanchefleur.

– W Breckland jestem tylko zwykłym bratem zakonnym pośpieszył z wyjaśnieniem.

Sam nie rozumiał, dlaczego nie zdecydował się dodać, że zamierza złożyć śluby wieczyste, gdy tylko opat Wilfrid wyrazi na to zgodę.

– Mamo... – Dominie najwyraźniej chciała zmienić temat – Armand przyjechał pomóc nam w obronie przed Eudem St. Maurem.

– Doprawdy? – zdumiała się gospodyni. Popatrzyła na córkę i przeniosła spojrzenie na gościa. – Czy rzeczywiście?

– Tak jest, pani – potwierdził. – Pragnę pomóc najlepiej, jak potrafię.

W szeroko otwartych brązowych oczach zalśniły łzy. Lady Blanchefleur pośpiesznie się przeżegnała.

– Zatem moje modlitwy zostały wysłuchane – wyszeptała z ulgą. – Dzięki Ci, Boże!

Armand nie był pewien, na ile zdałyby się jej modlitwy, gdyby Dominie nie postanowiła go odszukać i zwerbować wszelkimi dostępnymi środkami. Być może jednak moc tych modlitw uchroniła ich przed utonięciem lub śmiertelnym wychłodzeniem po kąpieli w strumieniu. Może pacierze ocaliły Dominie przed śmiercią z rąk bandyty, grasującego w lesie Thetford.

Niedoszły mnich przypomniał sobie mądre słowa opata, który wyjaśniał, jak wiele może zdziałać mężczyzna, zgodnie współdziałając z kobietą o nieprzeciętnym umyśle. Czy ta sama zasada mogłaby się sprawdzić, kiedy odważne czyny podążały za wiarą i modlitwą?

Lady Blanchefleur wyszeptała krótki pacierz dziękczynny i ponownie zmierzyla Armanda od stóp do głów.

– Benedyktyński habit nie jest właściwym ubiorem dla wojownika – orzekła. – Po posiłku musisz koniecznie zawitać do mojej komnaty. Nadal pozostało mi kilka strojów, które należały do mojego drogiego Baldwina, niech Bóg ma jego duszę w opiece. Mogą być na ciebie nieco za duże, lecz poza tym zaprezentujesz się w nich wyśmienicie.

Armand poczuł się tak, jakby zabrakło mu powietrza w płucach.

– Czy na pewno lord Baldwin pochwaliłby twą decyzję, pani? – spytał. – Pięć lat temu rozstaliśmy się w gniewie.

– Absurd! – Jak na kobietę, która sprawiała wrażenie bezbronnej, lady Blanche fleur charakteryzowała się całkiem silną osobowością. – Gdyby żył, z pewnością byście się pogodzili. Powiem więcej: Baldwin miał o tobie tak samo wysokie mniemanie jak o własnych dzieciach. Nawet nie podejrzewasz, jak potrafią rozciągnąć się tego typu więzi, nim ostatecznie pękną.

Pomyślał, że jego rozmówczyni ma rację, z tym że on już dawno temu przekroczył punkt krytyczny. Dominie nachyliła się i spojrzała na Armanda.

– Mama mówi prawdę. Mężczyźni mogą odmówić wykonywania rozkazów osoby duchownej. Rzadki to widok, by zakonnik dowodził wojskiem.

Armand pomyślał, że miałyby większe szanse w starciu z Eudem St. Maurem niż z kobietami z rodu de Montfordów, które utworzyły przeciwko niemu wspólny front.

– Mam nadzieję, że Harwood i Wakeland nie podupadły tak nisko, by nie stać nas było na lepszy przydziewek dla takiej klasy wojownika – dodała Dominie. – Każę ci uszyć ubranie na miarę.

Armand pomyślał, że nie mogłaby znieść widoku zdrajcy w odzieży jej ojca. Tak czy owak, był wdzięczny Dominie, że oszczędziła mu męki chodzenia w stroju człowieka, którego najpierw kochał, a potem... zabił.

– Nie kłopotz się przydziewkiem dla mnie – powiedział.

Przybyłem do pracy, nie na służbę dworską. Jeśli stara zbroja mojego ojca nadal zalega gdzieś w Harwood, chętnie ją wezmę i nie będę domagał się niczego więcej.

Nie wspominał, że nie chce narażać Dominie na dodatkowe wydatki związane z nowym strojem, skoro zamierzał go zrzucić już za kilka miesięcy, po żniwach.

– Tak! – zawołała Dominie. – Wiem, że jest wielka skrzynia, pełna ubrań twojego ojca. Widziałam tam jego zbroję, a nawet miecz.

Ledwie wypowiedziała ostatnie słowo, kiedy przeszył ją dreszcz.

Armand poczuł się w obowiązku podnieść ją na duchu. Zresztą nie tylko ją, siebie także.

– Wypada, bym nosił miecz ojca. – Pod warunkiem, że nie będę dobywał tej broni w starciu z innym człowiekiem, dodał w myślach. – Miecz może mi przypominać o szlachetnych zasadach oraz ideałach mojego ojca, które usiłował mi wpoić.

Popatrzył Dominie w oczy. Oboje poczuli się tak, jakby wszyscy w sali słyszeli ich słowa, ale nikt poza nimi nie pojmował tego, o czym mówią.

Matka Dominie z całą pewnością nie rozumiała, w czym rzecz, gdyż z entuzjazmem skinęła głową, pełna akceptacji dla wypowiedzi Armanda.

– Doskonała myśl, mój chłopcze – pochwaliła go. – Byłeś już w Harwood?

– Nie, pani.

– Wybierzemy się tam jutro lub pojutrze, mamó, kiedy Armand nabierze sił po podróży.

– Żałuję, że brak mi energii, aby jechać z wami. Wyobrażam – sobie radość, jaka zapanuje w Harwood po powrocie członka rodziny Flambardów.

Armand poczuł, że nie może się doczekać wizyty w Harwood.

Wychowano go w Wakeland, tutaj stał się mężczyzną. Pod wieloma względami była to siedziba najbliższa jego sercu. Budowniczym Harwood był jego pradziad, który wznosił tamten zamek niedługo po najeździe Normanów. Posiadłość trafiła w ręce Armanda na krótko po śmierci jego ojca, ale wkrótce ją utracił.

Chociaż ziemie należały teraz do Dominie, a jej przyszły mąż miał zostać ich panem, Armand marzył o tym, by przez kilka miesięcy poudawać, że nadal jest ich właścicielem.

Następne dni minęły szybko. Dominie i Armand rozmawiali z dzierżawcami de Montfordów i snuli plany na najbliższe, pracowite miesiące.

Armand nadal nosił benedyktyński habit, lecz szybko wczuł się w rolę przywódcy. Przy każdej wysuwanej sugestii i każdej podejmowanej decyzji wydawał się coraz wyraźniej prostować. Głos odzyskiwał dźwięczność, niedoszły zakonnik zachowywał się z większą pewnością siebie. Dominie poczuła, jak odradza się w niej dziewczęcy podziw dla tego mężczyzny.

Poprzedniego dnia ogłosił zebranie rady dzierżawców i najważniejszych ludzi w zamku: marszałka, zarządcy i sędziego królewskiego. Podczas narady rozwinął wielką, pergaminową mapę Wschodniej Anglii, kawałkiem węgla drzewnego nakreślił pozycje twierdz St. Maura w Fenlands, zaznaczył okolice najeżdżane przez bandytów i najbardziej narażone na atak posiadłości de Montfordów.

Dominie uważnie obserwowała oblicza zgromadzonych mężczyzn i dostrzegła na nich oznaki narastającej pewności siebie oraz determinacji. Być może śmiały plan odnalezienia Armanda Flambarda i uzyskania od niego wsparcia miał jednak sensowne podstawy.

Teraz jechali do Harwood na czele niewielkiego orszaku. W jego skład wszedł między innymi Gavin, który uparł się wysforować na sam przód kawalkady.

Dominie spojrzała Armandowi w oczy i ściszyła głos, aby brat nic nie usłyszał.

– Czy jesteś pewien, że postąpiliśmy roztropnie, pozwalając Gavinowi jechać z nami? – spytała niepewnie.

Jej matka nie była przychylnie nastawiona do tego pomysłu i ustąpiła dopiero po specjalnym wstawiennictwie Armanda, który w ten sposób zaskarbił sobie dozoną wdzięczność Gavina.

– Chłopak dorasta – zauważył Armand i skierował spojrzenie na młodego człowieka. Na ustach niedoszonego mnicha wykwit! uśmiech. – Zanim się spostrzeżesz, będzie samodzielnie zarządzał ziemiami de Montfordów. Do tego czasu musi się jednak sporo nauczyć.

– Oby pobieranie nauk nie zakończyło się dla niego tragicznie – odparła Dominie. – Nigdy nie spotkałam człowieka, który tak silnie kusiłby nieszczęście. Za każdym razem, gdy przychodzi mu do głowy nowy i brawurowy wyczyn, realizuje swój zamiar, nie zważając na niebezpieczeństwa i konsekwencje.

– Armand się roześmiał.

– Czyżbyś nigdy nie zerknęła do srebrnego lustra swojej mamy? – spytał żartobliwie. – Niejeden nazwałby brawurowym wyczynem twoją niedawną podróż do Breckland.

– To zupełnie inna sprawa! – obruszyła się Dominie. – Byłam świadoma niebezpieczeństw i zrobiłam wszystko, by je ograniczyć.

– Nasz młodzieniec też się tego nauczy, jeśli damy mu szansę. – Armand osłonił oczy i zapatrzył się w dal, najwyraźniej wypatrując Harwood. – Może byłaś zbyt młoda, aby zapamiętać, jak niekiedy pakowałam się w tarapaty razem z Denysem, kiedy byliśmy w wieku Gavina. Powiedziałbym, że de Montfordowie mają odwagę we krwi. Jeśli do śmiałości dodać szczyptę ostrożności, rzekłbym, że powstanie całkiem niezła kombinacja, odpowiednia dla szlachcica.

– Pod warunkiem, że Gavin dożyje chwili, by ją wykorzystać. – Dominie przez cały czas patrzyła, jak dziarski młodzieniec coraz bardziej oddala się od reszty grupy.

– Nie pozwolę, by ktokolwiek skrzywdził twojego brata – oświadczył Armand pewnym siebie tonem. Było jasne, że dopuszcza możliwość, iż Dominie mu nie ufa. – Wierz mi, jeśli wraz z mamą będziesz usiłowała za bardzo go ograniczać, wpakuje się w jeszcze gorsze tarapaty tylko po to, aby dowieść swej dorosłości.

Słowa Armanda brzmiały rozsądnie. Mimo to Dominie opacznie zrozumiała ich wydźwięk.

– Nie wlokłam cię tu przez całą drogę z Breckland, żebyś mnie pouczał, jak mam wychowywać brata – burknęła.

– Może i nie po to – zgodził się. – Skoro jednak już mnie tu – przywlokłaś, czuję się w obowiązku podziękować ci za kłopot. Stąd moje serdeczne porady. –

Popatrzył na nią śmiało.

Dominie musiała zachować ostrożność, musiała pamiętać, że Armand Flambard odejdzie tuż po żniwach.

Najwidoczniej te myśli odzwierciedliły się na jej twarzy, gdyż Armand nagle pośpieszył rumaka.

– Co ty wyprawiasz? – zawołała za nim.

Odwrócił się. Wiatr rozwiewał mu gęste, brązowe włosy, a Dominie wstrzymała oddech, po raz kolejny oszołomiona urodą tego mężczyzny.

– Dogonię Gavina i dopilnuję, aby nie stała mu się krzywda – oświadczył.

Czy także dlatego Armand pozwolił, by jej brat towarzyszył im w podróży? Czyżby Gavin miał pełnić rolę bufora pomiędzy nimi na wypadek, gdyby spróbowała zbyt blisko się zbliżyć do niedoszłego zakonnika? Mógł sobie darować takie środki ostrożności.

W żyłach de Montfordów krążyła gorąca krew, ale nie oznaczało to, że członkowie tej rodziny są głupi. Uczyli się na przykrych doświadczeniach, a Dominie sporo ich zaznała za sprawą Armanda Flambarda.

Patrzyła, jak dogania Gavina i zaczyna z nim rozmawiać. Armand stopniowo zwalniał, zmuszając chłopca do ściągnięcia wodzy. W ten sposób pozostali członkowie wyprawy dołączyli do nich jeszcze przed osiągnięciem Harwood.

Strażnik na wieży obserwacyjnej jak zwykle powitał obcych przybyszów okrzykiem.

Gavin zareagował najszybciej, zanim Dominie lub Armand zdążyli cokolwiek odpowiedzieć.

– Otwieraj bramę! – wrzasnął. – Armand Flambard powrócił do Harwood, aby poprowadzić twoich ziomków na Wilka z Fenlands!

Armand zerknął na Dominie i uśmiechnął się szeroko, choć nieco nieśmiało.

Czekała na okrzyk niedowierzania i wrzask radości, takie, jakie powitały ich w Wakeland.

Tymczasem strażnik z nieskrywaną pogardą wycedził:

– Tak, słyszeliśmy o jego przybyciu.

Inni członkowie drużyny zapewne nic nie spostrzegli, lecz Dominie wyraźnie widziała, jak dumnie uniesiona głowa Armanda Flambarda pochyła się pod ciężarem nieoczekiwanej, niewypowiedzianej zniewagi.

## Rozdział 9

Co gnębiło mieszkańców Harwood? Armand nigdy dotąd nie widział tak posepnej i apatycznej gromady.

Po uroczystym powitaniu w Wakeland, w rodzinnych okolicach spodziewał się jeszcze większego entuzjazmu. Ostatecznie większość ludzi z tych okolic urodziła się jako wasale Flambardów, podobnie jak ich rodzice. Ponieważ zamieszkiwali bliżej Fens, czyli Fenlands, musieliby boleśniej odczuwać wszelkie skutki napaści Euda St. Maura. Nic dziwnego, że budziło to w nich silny niepokój, bez względu na to, jaką pomoc im oferowano.

Problem w tym, że powitali Armanda tak niechętnie, jak witaliby trędowatego, i to wszyscy, od kasztelana Wata Fitzjohna do najniższego w hierarchii stajennego. Armand powiedział sobie, że nie warto się przejmować, lecz trudno mu było się z tym pogodzić. Bezustannie czuł na sobie dwa tuziny par oczu, wyczulonych na każde jego potknięcie, wszelkie przejęzyczenia. Dwa tuziny ust wykrzywiały się w mniej lub bardziej dyskretnym uśmiechu. Dwa tuziny nosów marszczyły się tak, jakby w powietrzu unosił się ohydny fetor. Wbrew sobie Armand czuł narastający gniew.

Wszyscy zgromadzili się wokół jednego ze stołów w wielkiej sali. Stali z założonymi rękami i z powątpiewaniem patrzyli na mapę, przywiezioną z Wakeland przez Armanda.

– Przed żniwami czeka nas sporo pracy – ostrzegł ich – jeśli żywimy nadzieję, że owoce naszych trudów pozostaną w spichrzach i nie trafią do brzuchów bandy Euda St. Maura.

Wśród zebranych rozległ się szmer zniecierpliwienia. Armand popatrzył na kasztelana.

– Jeśli masz mi cokolwiek do powiedzenia, człowieku, wykrztuś to, nim się udławisz – poradził.

Kasztelan skrzywił się z jeszcze większą pogardą.

– Czyją to pracę masz na myśli, lordzie Flambard? – spytał.

– Naszą – odparł Armand machinalnie. – To jest... waszą.

Dominie zrozumiała, że jej towarzysza lada moment rozsadzi wściekłość.

– Wacie Fitzjohn, posłuchaj – wtrąciła się. – Nie po to sprowadziłam tu jego lordowską mość, by bawił się z tobą w gierki słowne. Jeśli masz odrobinę rozumu, wysłuchasz go uważnie.



Surowym spojrzeniem przygwoździła wszystkich mężczyzn w sali, jednego po drugim. Większość z nich poruszyła się niespokojnie.

– To samo się tyczy pozostałych tu zgromadzonych – dodała ostro.

Gdy jej podwładni i wasale zostali skarceni, skinęła głową w kierunku Armanda.

– Zechciej kontynuować, panie – poprosiła.

Armand zacisnął usta, aby powstrzymać mimowolny uśmiech.

Wyglądało na to, że nie jest jedynym mężczyzną, którego Dominie de Montford była gotowa surowo upomnieć, kiedy uzna to za konieczne. Spoglądając na nią w tej chwili, nie potrafił uwierzyć, że jest tą samą dziewczyną, która roniła łzy po zabiciu łotra w lesie Thetford.

Skinął głową, by podziękować jej za wsparcie, a następnie skupił uwagę na mapie.

– Bez względu na to, czyja praca wchodzi w grę, naszym podstawowym zadaniem jest ochrona plonów na zewnętrznych polach – wyjaśnił.

– Jak można ich bronić? – chciał wiedzieć korpulentny mężczyzna o potarganych włosach, który wystąpił przed szereg słuchaczy. – Wilk i jego wataha dobrze wiedzą, gdzie nas szukać, za to my nie mamy bladego pojęcia, gdzie on się podziewa i z której strony uderzy.

– Harold Bybrook zadał trafne pytanie – orzekł Armand. Rozpoznał jednego z ulubionych dzierżawców ojca. Bybrook zarządzał dużą posiadłością na północnej granicy ziem Flambardów.

Ziem de Montfordów, natychmiast poprawił się w myślach.

Surowe oblicze Bybrooka nieco złagodniało, gdy Armand wymienił go z imienia i nazwiska. Czyżby sądził, że jego dawny pan o nim zapomniał? Czy wszyscy tak się czuli?

Armand przesunął palcem po mapie, wzdłuż granicy pomiędzy ziemiami uprawnymi a Mokradłami.

– St. Maur i jego wataha nie mogą uderzyć w dowolnym miejscu na tej linii – zapewnił zebranych. – Liczba suchych ścieżek na tych bagniskach jest ograniczona. Jeśli ktoś chciałby poruszać się konno, musiałby zrezygnować jeszcze z kilku.

– Co prawda, to prawda – potwierdził Harold Bybrook. Skinął głową i rozejrzał się po twarzach najbliższych sąsiadów. – Mimo to jak na mój gust i tak pozostaje zbyt wiele dróg, którymi może nadciągnąć.

– Słusznie – przytaknął Armand. – Przynajmniej wiemy jednak, od czego

zacząć. Powinniśmy patrolować trasy, którymi może nadjechać nasz wróg. W tym celu rozstawimy strażę i przygotujemy pułapki.

Kilku mężczyzn, którzy mieszkali najbliżej Fenlands, wyglądało na zadowolonych z propozycji, lecz część pozostałych mamrotała coś między sobą, co chwila krzywiąc się i zerkając na Armanda.

Na koniec jeden z nich wystąpił, wypchnięty przez sąsiadów.

– Chcę wiedzieć, czemu nas tu wezwano? – spytał. – Muszę pilnować prac polowych, ogrodzenia czekają na naprawę i w ogóle mam masę roboty. Ta cała gadanina o strażnikach, pułapkach i obronie brzmi zacnie, ale co to ma ze mną wspólnego? Z nami wszystkimi?

Sąsiedzi oratora zaczęli szemrać na znak zgody i zachęty, by kontynuował.

– De Montfordowie to nasi seniorzy – ciągnął podbudowany dzierzawca. – Płacimy lenno i odpracowujemy swoje na ich ziemiach. W zamian za to mamy prawo pracować na własnych poletkach i oczekiwać od seniorów obrony przed takimi jak Wilk. Czy mało mamy obowiązków, że musimy jeszcze dbać o swoje bezpieczeństwo?

Armand zerknął na Dominie, która wyraźnie pobladła, choć patrzyła otwarcie i srogo.

– Słyszałam o tobie dostatecznie dużo, Roaldzie Fowlerze, by wyrobić sobie zdanie na twój temat – oświadczyła i spiorunowała go wzrokiem. Armand pokręcił głową.

– Chyba potrafię odpowiedzieć na te pytania, panie Fowler, ale nie w tej chwili – dodał i ruszył ku drzwiom wyjściowym.

– Jedziemy. Teraz! – krzyknął, gdy zebrani wyraźnie się ociągali i szeptali coś do siebie. Jego głos rozniósł się echem w wysoko sklepionych belkach sufitu.

Maruderzy momentalnie pośpieszyli za Armandem, a ostatnich poganiała Dominie. Niedługo potem, gdy Armand pomagał jej wspiąć się na siodło, pochyliła się ku niemu.

– Czy jesteś pewien, że postępujesz słusznie, Flambard? wyszeptała. – Czy to na pewno dobry pomysł?

Jej zapach go oszołomił.

– Nie musiałaś przyjeżdżać, jeśli się wahasz – zauważył. Nie chciał, aby go namawiała do zmiany planów. Poza tym zamierzał odbudować swoją pozycję wśród wasali... to znaczy, jej wasali, na własnych warunkach.

– Oczywiście, że jadę z tobą – zadeklarowała Dominie.

Armand nie mógł nie poczuć satysfakcji.

– Zatem wkrótce się przekonasz, jakie mam plany. – Popatrzył na nią, przez cały czas zaciskając dłonie na jej smukłej talii. – Pytasz, czy to dobry pomysł. Nie wiem, nie mam pewności. Jestem za to przekonany, że tak właśnie należy postąpić.

– Obyś miał rację.

Armand wyczuwał na sobie wrogie spojrzenia. Gdy ruszyli, okolicę wypełniło rżenie koni, dzwonienie uprzęży i stłumiony stukot kopyt na ubitej ziemi. Mężczyźni posapywali, poprawiając się w siodłach.

– Obym miał rację – przytaknął i przejechał dłonią po aksamitnie gładkim boku rumaka.

Dokąd Armand ich prowadzi? – zastanawiała się Dominie, coraz bardziej zaniepokojona w miarę oddalania się od stosunkowo bezpiecznych murów Harwood.

Rzeński, wiosenny wiatr rozwiewał koniom grzywy, kopyta energicznie wybijały rytm na Ickniel Way, starym, królewskim trakcie, który stracił na znaczeniu, odkąd Eudo St. Maur objął władzę w Fens. Duża grupa zbrojnych z pewnością nie musiała się obawiać potencjalnych zagrożeń pod warunkiem, że nie pozostawała zbyt długo w drodze.

Dominie rozejrzała się po twarzach mężczyzn, którzy jechali w jej sąsiedztwie. Zwróciła uwagę na ich zacięte miny i ostre spojrzenia, posyłane Armandowi. Gdyby potrafili zabijać wzrokiem, ich przywódca już dawno padłby trupem.

Cokolwiek robił, miała nadzieję, że postępuje rozsądnie.

W pewnej chwili Armand ściągnął wodze i uniósł dłoń, aby zatrzymać oddział. Czekali w milczeniu, usiłując zapanować nad końmi. Wkrótce do grupy dołączyli ostatni maruderzy.

– I co? – spytał ktoś.

Dominie nie zorientowała się, kto przemówił.

Armand w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że usłyszał te słowa. Powoli obrócił się w siodle, wyciągnął rękę na północny zachód i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Patrzcie!

Zdezorientowane pomruki ustąpiły miejsca westchnieniom pełnym grozy. Ludzie wbili wzrok w miejsce wskazywane przez Armanda. Dominie pomyślała, że niechęć do niego tak bardzo ich zaślepiła, że dopiero teraz zwrócili uwagę na okolicę.

Wreszcie pojęła, czemu Armand postanowił sprowadzić ich w to miejsce.

Dotarli na szczyt wzgórza, z którego roztaczał się widok na nieopisane zniszczenia. Ludzie wstrzymali oddech na widok leżących odłogiem pól, które powinny zostać zaorane i obsiane. Uroczę, kryte strzechą domy zmieniły się w sterty gruzu i popiołu. Pośrodku pustego zagonu bieleły się kości dużego zwierzęcia, może konia, a może wołu. Szczątki spoczywały w miejscu, w którym stworzenie padło.

Co się stało z ludźmi, którzy niegdyś dbali o tę ziemię? Na myśl o ich losie Dominie ogarnął smutek.

Armand nie pośpieszał poddanych. Chciał, aby ten widok dobrze wrył im się w pamięć. Przemówił dopiero po dłuższej chwili.

– Żaden senior nie zapewni wam bezpieczeństwa, jeśli pozostawicie go samemu sobie – oznajmił donośnie. – Nikt nie ochroni was ani waszych rodzin przed tym, co tu widzicie. Jeśli chcecie powstrzymać Wilka i jego watahę przed zrujnowaniem wszystkiego, co gromadziliście i budowaliście przez całe życie, musimy działać wspólnie. Stare porządki tutaj nie wystarczą.

Zamilkł, jakby w oczekiwaniu, aż któryś ze słuchaczy zaprotestuje. Ludzie jednak milczeli. Dominie podejrzewała, że wasale zaniemówili, uświadamiając sobie ogrom zniszczeń, który dotknął tę okolicę i jej mieszkańców.

Armand pokiwał głową, najwyraźniej zadowolony, że poddani nareszcie zaczęli go uważnie słuchać.

– Każdy mężczyzna, każda kobieta i dziecko, zarówno w Harwood, jak i w Wakeland, będą musieli dołożyć starań i wspólnie wziąć się do pracy tak intensywnej jak nigdy dotąd, jeśli nie chcecie, aby wasze ziemie tak wyglądały przed nadejściem następnej wiosny.

Zrobił poważną, zatroskaną minę.

– Pamiętajcie jednak: nawet najcięższa praca może nie wystarczyć w obliczu takiego zagrożenia – przestrzegł.

Dominie musiała sobie przypomnieć, że dla Armanda ta sprawa jest obojętna, bo bez względu na rezultat zmagania z Wilkiem, zamierzał powrócić do spokojnego klasztorного życia w Breckland.

– Wystarczy! – krzyknęła z zapałem, a jej koń drgnął przestraszony, zarżał i nerwowo potrząsnął grzywą. – Musi wystarczyć!

– Tak jest!

– Racja! Tak się stanie!

Wstrząśnięci i wystraszeni, lecz zarazem wściekli i zdesperowani mężczyźni zgodnym chórem wyrazili poparcie dla swojego pana.

Spojrzenie Armanda wędrowało po pełnych zapału obliczach.

– Wracajcie do domów – przemówił ponownie. – Opowiedzcie rodzinom o tym, co widzieliście. Pomyślcie o tym, co musicie zrobić przed zniwami. Jutro przybądźcie do Harwood, gotowi słuchać i wspierać innych. Nie wolno nam tracić czasu na czczą gadaninę, lecz nie możemy też brać się do roboty bez jasnego planu.

Członkowie wyprawy wydali z siebie aprobujące pomruki.

Niektórzy od razu zaczęli zawracać rumaki do Harwood, być może zbyt przygnębieni, aby dłużej znosić widok spustoszenia po najeździe St. Maura.

Zatrzymali się jednak i popatrzyli na Armanda, gdy ruchem ręki przywołał ich z powrotem.

– Moi dobrzy ludzie – podjął – nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu i energii. Potrzebujemy jednego i drugiego, by stawić czoło wspólnemu wrogowi. Jeśli któryś z was nie jest gotów podporządkować się mnie, niech wyzna to otwarcie podczas jutrzejszego spotkania. Ostrzegam: potem nie będę tolerował żadnych waszych potajemnych knoń i spisków.

Gdy skończył mówić, zapadła cisza. Mężczyźni ani drgnęli. Nawet ich konie stały nieruchomo, jakby zaklęte w kamień mocą władczego tonu Armanda. Również Dominie pozostawała pod wrażeniem jego przemówienia.

Oto ponownie ujrzała Armanda Flambarda, którego pojechała szukać. Odnalazła go i był taki, jakim go zapamiętała. Nareszcie znikł uciążliwy, pruderyjny, niedoszły mnich.

Ujawnił się mężczyzna. Przywódca. Lord, w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Słusznie postąpiła, zabierając go z Breckland, nawet jeśli przeciwstawiła się jego woli. W najśmielszych fantazjach widziała kiedyś Armanda, jak w pojedynkę pokonuje Euda St. Maura i jego siepaczy. Okazało się, że jest lepiej, niż marzyła, bo w rzeczywistości Armand miał szansę skutecznie poprowadzić ludzi do ostatecznej rozprawy z bandytą.

Mógł także pokazać mieszkańcom Harwood, jak się bronić, był w stanie natchnąć ich wiarą w zwycięstwo. Po zakończeniu misji mógł z czystym sumieniem powrócić do klasztoru Breckland.

Choć Dominie szczelniej otuliła się peleryną, chłód i tak przeniknął w głąb jej ciała. Tylko częściowo odpowiedzialny był za to wiosenny wiatr.

Czuła się fatalnie z myślą, że Armand Flambard planuje ponownie ją opuścić. Czy zamierzał dodatkowo ją pognębić, przed wyjazdem wzbudzając jej podziw i szacunek?

– Z całą pewnością dałeś moim wasalom do myślenia, Flambard – zauważyła

Dominie następnego dnia po zakończeniu drugiego zebrania. – Jeszcze nigdy nie widziałam, by byli tak cisi i potulni.

Nie mogła się pozbierać od czasu powrotu z wyprawy. Czyżby tak bardzo wstrząsnęły nią potworności, jakie groziły również Harwood, gdyby nie udało się powstrzymać agresji Euda St. Maura? Armand mógł tylko ubolewać, jeśli tak było, lecz próbował ostrzec Dominie. Ona sama uparła się, by towarzyszyć mężczyznom.

Armand powątpiewał jednak, by o to chodziło. Zakładał raczej, że Dominie czuje do niego niechęć, taką samą, jaka dręczyła jej wasali. Z podobnymi uczuciami borykała się, gdy wyruszyli z Breckland. Armand sądził, że wspólna podróż i zgodnie przezwyciężane trudności pokonały antagonizm. Może jednak tylko się oszukiwał i niepotrzebnie dawał wiarę odczuciom.

– Pamiętaj, co powiada Księga Przysłów – zagadnął, usiłując ją rozbawić. – „Podstawą wiedzy jest bojaźń Pańska”. – Żywił nadzieję, że te słowa odnoszą się także do mieszkańców Harwood.

Dominie nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

– Mówisz jak benedyktyn z krwi i kości – orzekła.

Niewykluczone, choć Armand nie czuł się jak mnich.

Trudno uważać się za zakonnika, gdy nosi się kosztowną szatę, która należała niegdyś do zmarłego ojca Armanda, a także jego miecz. Dawne życie miało uwodzicielską moc, której łatwo mógł ulec.

Strach przed taką ewentualnością sprawił, że w jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

– A ty mówisz tak, jakby przywdzianie habitu zakonnego było zbrodnią – zauważył.

– W twoim wypadku naprawdę chodzi o zbrodnię! – Trzasnęła otwartą dłonią w blat stołu z taką siłą, że Armand drgnął zaskoczony. – Zbrodnię marnotrawstwa. Obserwowałam cię od chwili, gdy dotarliśmy do Wakeland. Szczególnie uważnie śledziłam twoje zachowanie wczoraj. Jasne jest, że pojawiłeś się na tym świecie jako przywódca, podobnie jak jastrząb istnieje, by latać, a ryba, by pływać.

Dlaczego musiała mu to wypominać? Sam był o tym przekonany, czuł to za każdym razem, gdy wydawał rozkaz, kiedy zabierał się do realizacji kolejnych części ich planu. Podobnie musiał się czuć uwięziony w klatce ptak, który wzbija się w przestworza, oraz ryba, która po szamotaninie w sieci przeciska się przez jej oko i wypływa z powrotem do gościnnego morza.

Nie chciał się do tego przyznać, lecz wyzywająca postawa zirytowanej Dominie zmusiła go do stawienia czoła rzeczywistości.

– Złożyłem śluby – przypomniał jej... i sobie. – Zresztą, nawet gdybym tego nie zrobił, czego mogę oczekiwać od świata? Teraz wszystko to należy do ciebie. Wasale również.

– To prawda – przyznała – ale dopiero od momentu, gdy odwróciłeś się do nich plecami. Czyżbyś winił moją rodzinę, że przyjęła to, co król Stefan ofiarował jej po twoim zniknięciu?

Czy tak brzmiała odpowiedź na dręczące go pytanie? Czy właśnie ten problem doskwierał mieszkańcom Harwood? Czy darzyli go niechęcią, bo pozostał wierny przysiędze złożonej cesarzowej?

– Nie przeczę, dotknęło mnie do żywego, gdy usłyszałem, że król ofiarował Harwood twojej rodzinie. Poczułem, że de Montfordowie mnie zdradzili. Powodowani żądzą zysku przekreślili dziesięciolecia lojalności. Czy potrafisz to zrozumieć?

– Lepiej, niż ci się zdaje. – Dominie podeszła do niego blisko. – Zdradę z żądzy zysku jestem w stanie pojąć. Gdybyś zerwał nasze zaręczyny, by poślubić dziedziczkę, która w posagu wniosłaby ci tysiące hektarów ziemi, potrafiłabym wyobrazić sobie, jak oceniasz mnie według kupieckiej skali i rezygnujesz ze mnie, bo choć jestem coś warta, to jednak za mało.

– Bzdura! – Na samą myśl o tak odrażającym uczynku Armand poczuł oburzenie. – Nie odrzuciłbym cię za żadne skarby, nawet gdyby ktoś proponował mi miliony hektarów!

– A jednak zrezygnowałaś ze mnie całkiem bezinteresownie – oświadczyła Dominie z goryczą, lecz się nie odsunęła, choć Armand się tego spodziewał. Popatrzyła na niego, rozżalona. – Słowo. Nietrafnie ukierunkowana obietnica.

– Nie rozumiesz? – zdenerwował się. Chciał się odsunąć, – lecz zabrakło mu siły woli. – Ta obietnica była dla mnie więcej warta niż najcenniejszy majątek.

Lord Baldwin nie opowiadał się za królem. Przeciwnie, często powtarzał, że ponownie poprze cesarzową, jeśli kiedykolwiek uda się jej przejąć władzę na wschodzie Anglii. Armand zastanawiał się, jak ktoś może żyć w zgodzie z sobą, skoro wystawia swoje przekonania na licytację i ofiarowuje je temu, kto da więcej?

– Nie – odparła Dominie cicho, lecz bardzo zdecydowanie. – Nie rozumiem, jak słowo, które znika natychmiast po opuszczeniu moich ust, albo myśl, całkiem pozbawiona formy, może przedstawiać większą wartość niż rzeczy namacalne: jedzenie, które spożywam; ziemia, o którą dbam; moneta, którą wydaję.

– „Nie gromadźcie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną” – przypomniał jej łagodnym tonem.

Te z serca płynące słowa najwyraźniej podziałały na Dominie jak płachta na byka.

– Następne mnisie mądrości! – wykrzyknęła i wyrwała się z jego uścisku, by pobiec ku schodom, prowadzącym do jej komnaty. – Może to dobrze, że wszystko tak się ułożyło.

– Nie mów tak! – Armand był gotów oddać niemal wszystko, byle tylko odmienić rozwój zdarzeń.

Wszystko oprócz honoru.

– Czemu tego nie powiesz? – Dominie się odwróciła i ponownie popatrzyła mu w oczy. – To prawda, a prawda wydaje się jednym z tych ideałów, które cenisz ponad wszystko.

Gdybyśmy nie rozstali się przez tę wojnę, to kłótnie zapewne doprowadziłyby nas do szaleństwa – orzekła i dodała: – Nie moglibyśmy bardziej się różnić i najzwyczajniej się nie rozumiemy.

Wygłoszona przez Dominie uwaga okazała się wyjątkowo celnym ciosem, tym bardziej że musiał jej wysłuchać w domu, który niegdyś zamierzał dzielić z nią do końca życia.

– Może nie postrzegam świata tak jak ty – przyznał. – Teraz jednak widzę, że sposób, w jaki oszedłem, sprawił ci ból. Nawet nie wiesz, jak bardzo przygnębia mnie świadomość tego faktu.

– Nie martw się – poradziła mu Dominie. – Mówimy o zdarzeniach z odległej przeszłości.

Choć usiłowała sprawiać wrażenie obojętnej, wyraz oczu zdradzał jej prawdziwe myśli.

Może miała rację. Może czas na wyjaśnienia i przeprosiny minął dawno temu. Nie dało się już nic zmienić.

A gdyby tak zdołał odmienić jej stosunek do samej siebie?

Czy był to prawdziwy powód, dla którego nigdy nie wyszła za innego? Bo uwierzyła, że Armand ocenił ją i uznał za bezwartościową?

Nie mógł dopuścić do tego, by tak sądziła, bez względu na to, ile bólu musiałby doświadczyć, uświadamiając sobie, co stracił. Nie miała też znaczenia intensywność jego dawnych uczuć.

Minęło pięć lat, lecz te uczucia prawie się nie zmieniły, choć usiłował udawać, że jest inaczej.

– Nie cenisz tego, co jest mi drogie. Może nigdy nie zrozumiesz, dlaczego pewne sprawy są dla mnie wartościowe. Czy przynajmniej potrafiłabyś pogodzić



się z myślą, że mają dla mnie znaczenie? – spytał, powoli podchodząc do Dominie.  
– Uważam też, że nie rzuciłem cię bez trudu. Cofnęła się o krok i ukryła w ciemnej wnęce.

– Chciałabym w to wierzyć, Armandzie – wyszeptała.

Zrozumiał, że Dominie oczekuje od niego potwierdzenia, lecz czuł, iż żadne jego słowa nie przekonają jej ani nie ukoją. Zbliżył się ku niej, nie bardzo wiedząc, co powinien zrobić.

Może wyczuła, co się zaraz stanie, gdyż tym razem się nie wycofała. Niemal niechętnie ruszyła ku niemu, jakby przyciągał ją wbrew jej woli.

Nagle znalazła się w ramionach Armanda i odchyliła głowę, aby przyjąć jego pocałunek.

Z początku zachowywał się delikatnie, muskał ją niczym chłodna bryza rozpalone czoło.

Potem przeszył go gorący dreszcz, nieokiełznane pożądanie, które mógł zaspokoić tylko w jeden sposób.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej, posmakował jej głębiej. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego na zawsze pozbawił się tego, czego tak bardzo pragnął.

– Wierz mi, twój ból nie jest silniejszy od mojego wyznał. – Do tej pory cierpię z powodu wyboru, jakiego dokonałem.

Przywarła do niego, posłuszna i rozmarzona. Niespodziewanie oprzytomniała i cofnęła się pośpiesznie, tak że Armand stracił równowagę i zachwiał się gwałtownie.

– Przynajmniej miałeś wybór! – krzyknęła, odwróciła się i wbiegła po schodach na piętro. Armand pozostał na dole, kompletnie zdezorientowany.

Po chwili ochłonął i zapragnął pobiec za Dominie. Czuł, że żadne z nich nie odzyska spokoju, dopóki ta sprawa nie zostanie ostatecznie rozwiązana.

Nie był to jednak odpowiedni czas ani dogodne miejsce. Wrodzona ostrożność nakazała mu powstrzymać się przed wejściem do jej prywatnych komnat. Wątpił, by przy tak silnych emocjach potrafił zachować się honorowo.

## Rozdział 10

Co mogłoby się stać, gdyby Armand poszedł wtedy za nią do jej pokojów?

Przez ostatnie tygodnie często zastanawiała się nad tym i równie często dawała się ponieść zupełnie niepotrzebnym marzeniom, bo wyobrażała sobie dalszy przebieg zdarzeń.

Rzuciła się w wir wyczerpującej pracy, aby uwolnić umysł od niesfornych myśli. Na wszelkie sposoby przygotowywała posiadłości de Montfordów na odparcie ataku z Fenlands. Po okolicznych drogach rozsyłała patrole zwiadowcze, złożone z miejscowych ludzi, dobrze znających okolice. Prowadziła dyskusje na temat wad i zalet rozmaitych typów alarmów: dźwięku rogów, blasku ognisk. Zastanawiała się nad najskuteczniejszym wykorzystaniem posłańców. Nawet pomagała kopać ziemianki, w których ukrywano zapasy przed zagrabieniem.

Ciężka praca pomagała jej zaprzętać myśli za dnia, a wieczorem zapewniała szybki sen. W ten sposób Dominie chroniła się przed jałowymi marzeniami.

Teraz, gdy w ciepłych promieniach majowego słońca jechała do Wakeland, nie miała czym zająć umysłu. Po obu stronach wąskiej drogi kołysało się muskane wiatrem zboże. Dominie odetchnęła głęboko.

Na polach starsze dzieci pieczołowicie wyrywały chwasty, które wyrastały między wysokimi rzędami owsa, żyta i pszenicy o wielkich kłosach. Jeden z chłopców pomachał ręką, aby zwrócić na siebie uwagę Dominie. Ściągnęła wodze, a wówczas chłopak cisnął motykę i pobiegł prosto ku drodze.

– Gavin, uważaj na zboże! – zawołała do brata. – Nie wolno ci go deptać!

Natychmiast zwolnił kroku i z większą uwagą skierował się na skraj pola.

– Dokąd jedziesz? – spytał i podniósł rękę, aby osłonić oczy przed jaskrawym słońcem.

– Do Wakeland – wyjaśniła. – Odwiedzę mamę i sprawdzę, jak się wszyscy miewają. Jedziesz ze mną? – Poklepała wierzchowca po boku. – Możesz usiąść z tyłu.

Gavin przez moment walczył z pokusą, lecz ostatecznie pokręcił przecząco głową.

– Armand obiecał mi, że jeśli pomogę przy odchwaszczaniu, pozwoli mi uczestniczyć w szkoleniu bojowym. Powiedział, że dobrze sobie poradzę z krótkim łukiem.

Kąćki ust Dominie uniosły się w lekkim uśmiechu. Gavin przyczepił się do

Armanda niczym rzep.

– Jak wolisz – odparła. – Powiem mamie, że dobrze się miewasz, i przywiozę ci czyste ubrania. Tylko uważaj, do czego celujesz tym łukiem – poprosiła. – Ostatnim razem biedny Wat mógłby solidnie ucierpieć, gdyby Armand nie odepchnął go w ostatniej chwili.

Gavin skrzywił się i kopnął kępę trawy.

– Wat Fitzjohn powinien patrzeć, któredy chodzi. Jest tak zajęty narzekaniem na wszystko, że nie zwraca uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

– Lepiej bądź grzeczny pod moją nieobecność i nie zamęcz Armanda. Jeśli w Wakeland wszystko będzie w porządku, powinnam wrócić pojutrze.

Gavin uśmiechnął się do siostry.

– Niech cię Bóg prowadzi, Dominie! – zawołał za nią. – Zapewnię Armandowi tyle rozrywek, że nawet nie zauważy twojej nieobecności.

Bez troskie słowa brata wprawiły ją w zadumę. Rzeczywiście, Armand pewnie nawet nie zorientuje się, że wyjechała. A może jednak?

Przez ostatni miesiąc byli tak pochłonięci pracą, że często widywali się tylko podczas kolacji. Rozmawiali wówczas o bieżących problemach, takich jak wzrost upraw czy sprzyjająca rolnikom pogoda, którą uważali za wyjątkowe błogosławieństwo, prawdziwy dar niebios. Dodatkowo przekazywali sobie informacje o postępach w ciągłym poprawianiu obronności i przygotowywaniu magazynów na plony.

Dominie nigdy w życiu nie była tak obojętna na doczesne sprawy! Zorientowała się, że jednocześnie boi się i ma nadzieję, iż rozmowa zbłądzi na drażliwe obszary, podobnie jak wtedy, gdy Armand ją pocałował.

Żadne rozmowy nie mogły jednak zmienić przeszłości. Nie miały też szansy wpłynąć na przyszłość. Pomiedzy Dominie i Armandem piętrzyły się niezliczone bariery. Nawet jeśli niektóre się kruszyły, to inne trwały, solidne i nieprzeniknione.

– Obiecałem Dominie, że dotrzymam ci towarzystwa pod jej nieobecność – oznajmił Gavin de Montford i popatrzył na Armanda z uwielbieniem, które bohatera mimo woli jak zwykle wprawiło w zakłopotanie.

– To miło z twojej strony – odparł Armand, w głębi duszy żałując, że chłopak nie pojechał z siostrą do Wakeland.

Rzecz jasna, lubił Gavina. Obserwując go, przypominał sobie jednak własną, utraconą młodość, a nieuzasadniony podziw chłopaka zaburzał wewnętrzny spokój niemal równie mocno jak nieustająca bliskość Dominie.

– Przez cały ranek walczyłem z chwastami, tak jak mi kazałeś – powiedział

Gavin i na potwierdzenie swoich słów wzniosł umorusaną ziemią motykę. – Czy teraz nauczysz mnie władać mieczem?

Armand popatrzył na skrawek suchej łąki za murami Harwood. Tego miesiąca, kiedy było mniej pracy w polu, przyzywał najsprawniejszych fizycznie wasali Dominie, aby doskonalić ich technikę walki. Chciał, żeby potrafili bronić swoich domów i rodzin.

Jego sumienie protestowało przeciwko szkoleniu innych mężczyzn do walki – w ostatecznym rozrachunku takie postępowanie niewiele różniło się od samodzielnego atakowania wroga. Co gorsza, być może w ten sposób doprowadzał do eskalacji przemocy. Niestety, same modlitwy nie mogły powstrzymać Euda St. Maura. Armand musiał o tym pamiętać. Gdyby pacierze potrafiły odstraszyć tego złoczyńcę, klasztory i kościoły na obrzeżach Fenlands nie ucierpiałyby tak bardzo.

– Lepiej będzie, jeśli zaczniesz od łucznictwa, a dopiero potem skupisz się na fechtunku – oznajmił Armand.

Łucznik mógł razić wroga z dystansu, bezpiecznie ukryty. Armand nie potrafił znieść myśli, że Gavin mógłby narazić się na bezpośredni atak.

– Jeśli wróg przypuści natarcie... – Armand zawiesił głos. Tak żarliwie się modlił, by nie doszło do konfrontacji! – Jeżeli tak się stanie, wówczas chciałbym odeprzeć napastników przy jak najmniejszym rozlewie krwi z naszej strony.

– Zadbam o to, by popamiętali dzień, w którym staną na mojej ziemi! – Gavin cisnął motykę, sięgnął po wyimaginowany miecz i kilka razy przeciął powietrze nieistniejącym ostrzem.

Armand się schylił i podniósł motykę, aby rozgorączkowany chłopak przypadkowo na nią nie nastąpił i nie zrobił sobie krzywdy.

– Gavinie, nie powinieneś z takim zapałem myśleć o przelewaniu ludzkiej krwi – przestrzegł surowo.

Wskazał wieki, płócienny worek wypchany sianem. Kilku mężczyzn atakowało go mieczami i kijami.

– Twój wrogowie nie tak będą wyglądali – uprzedził podopiecznego. – Będą mieli twarze, imiona i krewnych, tak jak ty. I będą mieli powody, by cię atakować, podobnie jak ty będziesz miał powody, by się bronić.

Nieistniejący miecz Gavina opadł, a chłopiec zastanowił się nad słowami Armanda. Nagle w młodej, zapalczącej głowie wykiełkowała pewna myśl.

– Kiedyś byłeś naszym wrogiem, prawda? – spytał zaniepokojony.

Armand z powagą skinął głową.

– Niestety, tak – potwierdził – ale nie ze swojej winy. Wierz mi, nie chciałem

tego.

– Zatem dlaczego teraz pośpieszyłeś nam z pomocą? – Gavin wydawał się równie zakłopotany zadawaniem pytań jak Armand ich wysłuchiowaniem. – I skąd mamy wiedzieć, że można ci ufać?

Armand zastanowił się, jak ubrać w słowa odpowiedź, by młody człowiek bez trudu ją zrozumiał, kiedy za jego plecami rozległ się tubalny głos.

– Zechciej, wasza lordowska mość, odpowiedzieć młodemu panu – zagrział ktoś. – To pytanie stawiam sobie od czasu twego nieoczekiwanego powrotu do Harwood.

Z całych sił usiłując powstrzymać złość, Armand odwrócił głowę i ujrzał Wata Fitzjohna. Człowiek ten irytował go ponad miarę. Jednakże benedyktyn nie powinien pozwalać, by tak bardzo ponosiły go emocje. Czyżby powodem była źle skrywana pogarda ze strony Wata? A może Armand pamiętał niechętne spojrzenie posłane Dominie i ten sam lekceważący sposób zwracania się do niej?

– Skoro dręczyło cię to pytanie, panie Fitzjohn, to czemu nie wypowiedziałeś go na głos, jak to uczynił chłopak?

– Zanim kasztelan zdołał zebrać myśli, Armand ruchem ręki wskazał ćwiczących wasali. – Czy zajmowałbym się tym, gdybym sprzymierzył się z Eudem St. Maurem?

– Moje wątpliwości mogą być bezpodstawne – przyznał Fitzjohn z ociąganiem. – Czasy są jednak zbyt niespokojne, by każdego darzyć ślepyim zaufaniem.

– Nie da się ukryć.

Armand przypomniał sobie, że ci ludzie mają pełne prawo traktować go podejrzliwie. Porzucił Harwood i naraził zamek na niebezpieczeństwo. Pozbawił Wakeland sprawnego przywódcy.

– Wierzcie mi lub nie, ale teraz jestem zobowiązany służyć wyższej potędze – oznajmił i powiódł wzrokiem od Gavina do Fitzjohna. – Powróciłem, aby wam pomóc.

– Tak jest, wasza lordowska mość – odparł kasztelan i odszedł, najwyraźniej nieprzekonany.

Gavin wykrzywił twarz w sposób, którego nie powstydzilyby się maszkarony zdobiące katedrę w Cambridge.

– Ejże – upomniał Armand chłopca, jednocześnie powstrzymując się od śmiechu. – Wypowiedziałeś głośno te same wątpliwości, które dręczyły tego człowieka.

– Wcale nie te same – zaprotestował Gavin i wyciągnął motykę z rąk Armanda.

– Nie wierzę, abys życzył nam źle. Moim zdaniem, to on coś knuje.

– Nie myśl o nim – poradził mu Armand. Jakże by pragnął wysłuchać własnej rady! – Czas dowiedzie, że ten człowiek jest w błędzie. A teraz chodź, poszukamy dla ciebie łuku i kołczana.

Ruszył w kierunku skrawka pola, na którym miejscowi miotali strzały w inny worek ze słomą. Gavin przyśpieszył, aby iść krok w krok z Armandem.

– Nie wyjawileś mi, czemu wróciłeś, aby nam pomóc – zauważył – ale się domyślam.

Armand posłał mu spojrzenie z ukosa.

– Zatem nie musiałeś o nic pytać, prawda? – wypomniał młodzianowi.

W złotobrazowych oczach Gavina zamigotały wesołe ogniki.

– Chodzi o Dominie, prawda? – wypalił znienacka. – Przybyłeś, bo cię o to poprosiła.

Armand miał ochotę wszystkiemu zaprzeczyć. Opuścił Breckland na polecenie opata, nie na żądanie Dominie. Nie potrafił jednak kłamać w żywe oczy. Wrócił z powodu Dominie, która niegdyś wiele dla niego znaczyła, i czuł się jej dłużnikiem.

W odpowiedzi skinął głową.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Gavin, potrząsnął motyką i strzelił obcasami. Potem dodał cicho: – Czy zamierzacie się pobrać, tak jak planowaliście?

– Nie! – Widok Dominie z wiankiem ślubnym na skroniach rozbudził wyobraźnię Armanda. – Gdy żniwa szczęśliwie dobiegną końca, powrócę do klasztoru i zostanę mnichem. Twoja siostra znajdzie sobie innego męża, takiego, jaki jest jej potrzebny.

Człowieka majątnego, aby rozszerzył granice posiadłości. Mężczyznę z natury praktycznego, którego usposobienie będzie jej odpowiadało. Kogoś, kto nie złamał jej serca. Kto nie zadał śmiertelnego ciosu jej ojcu.

– Ale ją kochasz, prawda? – Gavin zmarszczył brwi. – Jest całkiem miła, choć to dziewczyna. Czasami się przepracowuje, to prawda, ale mama mówi, że to jej sposób na to, by o nas dbać.

Armand nie wytrzymał.

– Chłopcze, twoja siostra jest wspaniała! – krzyknął zbulwersowany. – To najpiękniejsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widziałem. Jest inteligentna, odważna i uzdolniona. Jest niczym kielich grzanego wina w mroźną zimową noc. Ona...

Ugryzł się w język.

– No tak – mruknął Gavin, najwyraźniej oszołomiony gwałtownym wybuchem Armanda. – Zatem wszystko jasne. Kochasz ją.

Zanim Armand zdołał zaprotestować, Gavin mówił dalej:

– Dominie nigdy nie potrafiła wyrzucić cię z serca. Słyszałem, jak mama mówiła to jednej z dam. To było wtedy, gdy wszyscy uważaliśmy cię za zmarłego. Chyba rozumiesz, że żywego Dominie kocha cię jeszcze bardziej.

– Dosyć! – wrzasnął Armand z taką mocą, że chłopiec podskoczył. – Przyszedłeś ćwiczyć strzelanie z łuku? Zatem rób to, co powinienes, albo wracaj do pożytecznej roboty, choćby do wyrywania chwastów. Za dużo mam pracy, aby wysłuchiwać głupstw, które wygadujesz.

– Przepraszam, że się odzywam niepytany – powiedział chłopiec i popatrzył na Armanda z wyrzutem. – Po prostu cieszę się, że znowu jesteś wśród nas. Zapanowała inna atmosfera, ludzie są podbudowani. Dominie zmieniła się nie do poznania. Jeśli zostaniesz, może nie opuści nas entuzjazm.

Armand pokręcił głową.

– To ja muszę prosić cię o wybaczenie, Gavinie – odrzekł.

– Nie powinienem tak cię traktować. Niepotrzebnie się zirytowałem. Któregoś dnia zastanowisz się nad swoimi słowami i tą sytuacją, a wówczas zrozumiesz, o co mi chodzi. Do małżeństwa trzeba czegoś więcej niż tylko obopólnej sympatii dwojga ludzi, którzy mają się ku sobie.

Armand pomyślał, że cokolwiek sądzi Gavin, uczucia jego siostry już dawno się zmieniły. Czuł to wyraźnie. Jeśli Gavin dostrzegł w niej tę zmianę, to z pewnością dlatego, że Dominie ulżyło, kiedy Armand częściowo zdjął z jej barków ciężar obowiązków. Mogła też uwierzyć w szansę obrony posiadłości przed atakiem Euda St. Maura.

Były to jednoznaczne, praktyczne powody, nie jakieś tam wymysły, jak miłość. To zresztą dobrze, bo skoro Dominie go nie kocha, to nie groziły jej cierpienia po jego powrocie do klasztoru.

Armand żałował, że nie może w taki sam sposób siebie pocieszyć.

– Jak się miewasz, mamó? – Dominie się pochyliła, aby złożyć pocałunek na bladym policzku matki. – Doskwierało ci ostatnio osłabienie?

Blanchefleur de Montford z uśmiechem podniosła głowę znad robótki.

– Ani trochę, odkąd powróciłam z Breckland – wyznała. Tamtejsza święta studnia jest w istocie święta.

Kiedy Dominie weszła do prywatnej komnaty matki, ojciec Clement właśnie czytał jej modlitwy z brewiarza. Teraz gorliwie pokiwał głową na znak zgody.

– Nasza wizyta w tamtym miejscu przyniosła podwójną korzyść – dodał. – Poprawiło się zdrowie mojej pani i powrócił do nas lord Flambard.

– Jak się miewa nasz drogi Armand? – Lady Blanchefleur ruchem ręki wskazała córce krzesło, po czym nakazała służbie przynieść wino i ser. – I Gavin, rzecz jasna. Ogromnie za nim tęsknię, ale wiem, że w jego życiu potrzeba mężczyzny. Ufam Armandowi, przy nim chłopcu z pewnością nie stanie się krzywda.

– Z Gavinem wszystko dobrze, serdecznie cię pozdrawia.

– Ostatnio ma niewiele czasu na łobuzowanie. Armand zadbał o to, byśmy wszyscy mieli mnóstwo zajęć.

Dominie ochoczo przystąpiła do opowiadania o pracy i planach. Na drogach dojazdowych z Fenlands wystawiono strażę. Na wypadek ataku opracowano system sygnalizacyjny, dzięki któremu w krótkim czasie można było liczyć na wsparcie z okolicznych posiadłości. Odpowiednio zabezpieczono żywność, aby napastnicy nie mogli się zbytnio obłowić podczas ataku na jedną z posiadłości lub wsi.

– A to dopiero! – zawołała lady Blanchefleur z uznaniem. – Młody Armand pilnie się uczył od twojego nieocenionego ojca, niech Bóg ma w opiece jego duszę.

– To nie tylko zasługa Armanda – zauważyła Dominie i sięgnęła po kielich wina, podsunęty jej przez jedną z dam do towarzystwa lady Blanchefleur. – Mogłam pomagać przy tworzeniu planów, podobnie jak wielu wasali. Teraz sobie przypominam, że na pomysł kopania dołów wpadła jedna z lenniczek.

Dominie uwielbiała zmarłego ojca, lecz nie miała złudzeń: w żadnym razie nie poprosiłby wasali o radę ani nie nawiązałby z nimi współpracy. Być może przysięga, ograniczająca Armandowi możliwość kierowania walką, była ukrytym błogosławieństwem.

– Smaczny ser – pochwaliła po skosztowaniu przekąski.

Blanchefleur de Montford skinęła głową.

– Kozy i krowy dają w tym roku świetne mleko – powiedziała. – Trawa na pastwiskach jest wyjątkowo gęsta i pożywna. Kobiety ledwie nadążają z wyrabianiem masła i sera.

Ojciec Clement wzniosł oczy do góry.

– Jeszcze jeden dar, za który powinniśmy dziękować niebiosom. – Westchnął i wstał z krzesła. – Skoro przybyła pani Dominie, pozwolę sobie oddalić się do moich obowiązków. Panie będą mogły w spokoju pogawędzić.

Po wymianie pożegnalnych uprzejmości duchowny zniknął za drzwiami.

Dominie popatrzyła na miękką zieloną wełnę na kolanach matki. Materiał przypominał jej mech w lesie Thetford.

– Nad czym pracujesz? – spytała. – Wygląda ładnie.



– To będzie nowa suknia dla ciebie – oświadczyła milady i uniosła prosty, lecz gustowny strój.

Rękawy sukni rozszerzały się od łokci, a przy dekolcie widniał pasek subtelnego haftu w odcieniu złota i ciemnej zieleni.

– Widzisz? – Lady Blanchefleur była wyraźnie dumna z siebie. – Nie mam czasu chorować. Chcę, by to było gotowe na dożynki.

– Nie przepracowuj się – poradziła jej córka. – Do dożynek zostały jeszcze dwa miesiące. Zresztą nie potrzebuję nowych sukien. Mam ich kilka i całkiem dobrze nadają się do użytku.

– Ale brak im powabu. – Na ustach damy wykwitł nieśmiały uśmiech. Ponownie sięgnęła po igłę. – Nie chcesz chyba, aby Armand ponownie odszedł, prawda?

Dominie wolałaby nie roztrząsać tej kwestii.

– Co to ma wspólnego z nową suknią i dożynkami?

Pani Blanchefleur zaśmiała się dźwięcznie, jakby nigdy nie słyszała równie absurdalnych słów.

– Ależ wszystko, moja droga, jeśli chcesz skłonić Armanda, by poprosił cię o rękę!

– Kto powiedział, że noszę się z takim zamiarem? – Dominie duszkiem opróżniła kielich. – Gdyby Armand pragnął mnie za żonę, miał już okazję się oświadczyć.

Nie wiedzieć czemu nie potrafiła wzbudzić w sobie dawnej goryczy.

– Nie możesz mu wybaczyć? Ostatecznie minęło mnóstwo czasu – zauważyła milady i wykonała delikatny ścieg złotą nicią. – Uznaj obecną sytuację za miarę swoich dawnych uczuć do niego.

– A gdybym poszła za twoją radą? – Dominie zerwała się z krzesła, które zaczęło się jej kojarzyć z wyrafinowanym narzędziem tortur, wybitnie pomagającym katu w wydobywaniu zeznań od ofiar. – Jak słusznie zauważyłaś, upłynęło dużo czasu. Armand zdążył wstąpić do zakonu i poświęcił się życiu mnicha. Nie sądzisz, że niegodziwością jest uwodzenie mężczyzny, który chce zostać duchownym?

– Jak najbardziej! – przytaknęła lady Blanchefleur, najwyraźniej wzburzona samą sugestią. – Pod warunkiem, że mężczyzna pasuje do stanu duchownego. Przez ostatnie tygodnie pracowałaś u boku Armanda Flambarda. Czy potrafiłabyś z ręką na sercu potwierdzić, że jego miejsce jest w zakonie?

Nie mogłaby, nawet gdyby była skłonna naginać prawdę. Sama powiedziała

Armandowi, że zmarnuje się w klasztorze, i święcie w to wierzyła. Poza tym, czy mężczyzna skłonny do celibatu całowałby kobietę tak, jak Armand pocałował ją w Harwood albo tamtej nocy w lesie Thetford?

– Nie ma znaczenia, co ja myślę. – Dominie obrzuciła matkę surowym spojrzeniem. – Ani co ty myślisz. Armand zdecydował, że klasztor to dla niego odpowiednie miejsce. Wątpię, by zielona suknia skłoniła go do zmiany zdania, nawet jeśli ozdobisz ją wyjątkowo misternym hartem.

– Suknia pewnie nie wystarczy – przyznała dama, skupiona na robótce. – Ale jeśli w sukni znajdziesz się ty, w innym uczesaniu, wówczas Armand, być może, przemyśli swoje postanowienia. Kiedy mężczyzna zajmuje się pracą i wojaczką, wówczas często traci z oczu to, co ma tuż pod nosem. Biedaczek. Trzeba mu pozwolić się wybawić, poucztować, wypić i zatańczyć. Wtedy dama, której nie brał pod uwagę w planach życiowych, może nagle przyciągnąć jego spojrzenie. Wystarczy odrobina wysiłku.

Jej kochana, nobliwa matka przemawiała głosem węża z rajskiego ogrodu!

– Ależ mammo...

Lady Blanchefleur popatrzyła na nią znad haftu. Jej spojrzenie było ostre, niemal karcące.

– Moja droga, potrzebujemy Armanda Flambarda – oznajmiła. – Ja, Gavin, Harwood i Wakeland. A ty przede wszystkim. Zmieniłaś się, odkąd powróciłaś. Przypominałaś młode drzewo wyziębione przez pierwsze mrozy. Teraz zaczęłaś ponownie rozkwitać.

Dominie zrozumiała, że to prawda.

– Jeśli Armand mnie potrzebuje, to wie, gdzie mnie szukać.

– W dniu, w którym od niego uciekła, mógł ją znaleźć w komnacie w Harwood, gdyby tylko zechciał poszukać.

Jej matka wzruszyła ramionami.

– A czy on wie, że może szukać? – spytała.

– Cóż mają znaczyć te słowa? – odparła z przyganą Dominie.

Odkąd jej ojciec i Denys wyjechali z Wakeland, aby walczyć za króla Stefana, Dominie przyzwyczaiła się do tego, że matka zwraca się do niej o pomoc, wsparcie i poradę. Czasami czuła się dziwnie, całkiem jakby zamieniły się rolami.

– Nie złość się na mnie, kochana. Chcę tylko ujrzeć was szczęśliwych. Armand może nie wiedzieć, że ma prawo starać się o twoją rękę po tym, gdy raz już z ciebie zrezygnował.

Ta prosta myśl sprawiła, że cały świat Dominie stanął na głowie.

Niepewnym krokiem podeszła do matki i usiadła na podłodze u jej stóp. Następnie zrobiła coś, co nie zdarzało się jej od dzieciństwa – oparła głowę o kolano mamy.

– A jeśli spróbuję, a on nie będzie mnie chciał? Nie wiem, czy zniosę to po raz drugi.

Lady Blanchefleur łagodnie pogłaskała ją po włosach.

– Odwagi, moja droga – powiedziała krzepiąco. – Na szczęście nigdy ci jej nie brakowało. Tak bardzo przypominasz swojego wspaniałego ojca. Nie wierzę, że potrafiłabyś złożyć broń i zrezygnować z walki o to, czego pragniesz.

## Rozdział 11

Wasale Dominie w końcu nauczyli się walczyć.

Armand oparł się ciężko na rączce kosy i przetarł dłonią spocone czoło. Teraz to on musiał dotrzymać warunków porozumienia i pracować wraz z nimi w polu. Minał dzień świętego Barnaby, pogoda sprzyjała, więc ludność Harwood i Wakeland zabrała się do koszenia.

Zdaniem Armanda umowa była korzystniejsza dla wasali. Nauka władania bronią nie była nawet w połowie tak męcząca jak koszenie gęstego zboża.

– Coś do picia? – rozległ się za nim znajomy głos. Armand odwrócił się do Dominie.

– Chyba czytasz w moich myślach – odparł.

– Nietrudno zgadnąć, że kiedy mężczyzna odpoczywa przy pracy w taki upał, ma ochotę na coś odświeżającego.

Uśmiechnęła się do niego przekornie, po czym odmierzyła dużą miarkę piwa z glinianego dzbana i wlała napój do kubka, który wręczyła Armandowi. Gdyby nie znał jej lepiej, mógłby pomyśleć, że Dominie z nim flirtuje. Było to jednak nonsensowne przypuszczenie.

– Słońce bardzo cię spiekło. – W głosie Dominie pobrzmiwało rozbawienie, kiedy przejechała palcem po nagich plecach Armanda, od ramienia aż po pas.

Zaskoczony, gwałtownie się odsunął. Dominie nie zwróciła żadnej uwagi na jego reakcję. Mówiła dalej, jakby nic się nie wydarzyło.

– Pamiętasz, jak wpadliśmy do strumienia podczas marszu z Breckland? Wtedy byłeś blady jak brzuch ryby.

Armand natychmiast przypomniał sobie Dominie wylaniającą się z wody ze stertą ubrań nad głową. To wspomnienie i niespodziewany, niemal pieszczotliwy dotyk jej palców sprawiły, że poczuł się pobudzony.

– Raczej siny jak pochmurne niebo – mruknął.

– Właściwie tak. Dziwne, że po tym w ogóle udało się nam rozgrzać.

Nie takie dziwne. Każdy mężczyzna, który miałby okazję przez całą noc trzymać w ramionach Dominie, musiałby się rozgrzać.

To wspomnienie sprawiło, że zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. Z ukontentowaniem pociągnął łyk piwa, po czym oddał kubek Dominie.

– Dziękuję za napój. Lepiej wróć do pracy, nim twoi wasale oskarżą mnie o zaniedbywanie obowiązków.

Z twarzy Dominie zniknęły wszelkie ślady wesołości. W jej oczach zalśnił smutek.

– Każdy w tych posiadłościach doskonale wie, jak ciężko pracowałeś dla nas w ostatnich tygodniach. Jestem naprawdę zdumiona, że udało ci się aż tyle osiągnąć.

– Obiecałem ci przecież, że zrobię co w mojej mocy.

– Nagle uświadomił sobie, że wszystko, co uczynił, było dla niej. Na wiele sposobów okazywał Dominie, jak bardzo żałuje swojej decyzji sprzed pięciu laty. Zakazane uczucia zaczynały się odradzać.

– Rzeczywiście. – Postawiła dzban i kubek na ziemi, pośród świeżo skoszonego zboża.

Chłodną dłonią pieszczotliwie dotknęła policzka Armanda. Spojrzenie jej orzechowych oczu krążyło po jego twarzy z niesłychaną łagodnością.

Wokół nich narzędzia innych kosiarzy rytmicznie ścinały zboże, a brzęczenie pszczoł niosło z sobą obietnicę słodkiego miodu. W letnim powietrzu unosił się upajający zapach koniczyny.

– To twoje miejsce, Armandzie. Czy nie czujesz tego... całym ciałem?

Melodyjny, prowokujący głos i gorące spojrzenie obiecywały coś słodszy niż miód. Słodki, przepyszny owoc, dojrzały i soczysty.

I zakazany.

– Czuję to – wyszeptał. – Czuję to całym sercem.

Przez jedną cudowną, ukradzioną chwilę, poddał się pieszczocie. Zamknął oczy i się nią rozkoszował. Potem z wielką niechęcią odchylił głowę i powiedział:

– Ale wiem, że to nie jest mi pisane.

Powoli opuściła rękę. Na moment niezłomna Dominie straciła pewność siebie.

Dlaczego? Przecież powiedział prawdę, Dominie była dość praktyczna, by to zrozumieć.

Chwila wahania minęła. Armand zrozumiał, że Dominie pojęła jego słowa. Mimo że nie wyprostowała ramion i nie uniosła dumnie głowy, od wielu tygodni obserwował ją na tyle uważnie, by się tego domyślić.

– Wiesz, że nie jest? – W jej głosie pobrzmiwało wyzwanie. – Widzę, że charakteryzuje cię większa pewność siebie niż wielu innych, którzy, tak jak my, żyją w tych niepewnych czasach.

Co usiłowała mu przekazać? Czy nie wyczuła, jak rozpaczliwie pragnął zwątpić w przeznaczenie?

– Usiłuję tylko rozsądnie podchodzić do swoich widoków na przyszłość. – Pochylił się, by podnieść kosę. – Czy to ci się nie podoba?

Przez chwilę rozważała jego słowa.

– Nadzieja nie oznacza braku rozsądku – odparła w końcu.

– Nadzieja na co?

Odwrócił się i z wielką energią powrócił do koszenia zboża. Wysilek sprawił, że nie miał ochoty na rozmowę, ale zdołał wydać z siebie coś w rodzaju pomruku.

– Przecież oboje wiemy, że nie mógłbym tu pozostać, nawet gdybym chciał.

– A chcesz?

Pytanie Dominie wytrąciło go z równowagi do tego stopnia, że omal nie odciął sobie stopy. Na szczęście w ostatniej chwili uskoczył przed ostrzem kosy.

Nie odważył się odpowiedzieć. Bał się, że zabrzmiałoby to żałośnie.

– Musimy skosić zboże, zanim pogoda się zepsuje albo Eudo St. Maur postanowi zaatakować. Zboże, dzięki któremu będziecie mieli co jeść zimą. To nie pora na zagadki i na marzenia!

Już w chwili gdy padły te szorstkie słowa, natychmiast ich pożałował. Dominie dała mu przecież rzadką okazję, by ocalił duszę od potępienia. To dzięki niej zrozumiał, dlaczego dawni wasale nie byli zadowoleni z jego nagłego powrotu, jednak poparła go niezłomnie, kiedy usiłowali pokrzyżować mu plany.

Nawet jeśli teraz kusiała go słodko-gorzka perspektywą wymarzonej przyszłości, na którą nie miał najmniejszych szans, robiła to bez premedytacji. Na pewno powodowało nią źle pojęte poczucie wdzięczności albo słodkie, fałszywe przekonanie, że przeszłość jest do zapomnienia, że wszystko można zacząć od nowa.

Jednocześnie stłumił pragnienie, by ją przeprosić. Nawet na nią nie spojrzał, gdy odchodziła w gniewie. Słusznie postąpił, nie powinien jej mieć mrzonkami.

Co za człowiek! Dominie niesłuchanie kusilo, by wylać mu na głowę resztki piwa z dzbana. A do tego jeszcze najlepiej rozbić mu go na czerepie, żeby popamiętał!

Wymaszerowała z pola, mamrocząc pod nosem soczyste przekleństwa.

Matka okazała się bardzo niemądra, wmawiając córce, że Armand Flambard mógłby ponownie jej zapragnąć. A Dominie okazała się jeszcze głupsza, bo pozwoliła się do tego przekonać. Przecież powinna mieć więcej rozumu.

– Dominie! – Usłyszała za sobą głos Gavina.

Odwróciła się i zanim zdołała zapanować nad nerwami, warknęła:

– Czego chcesz?

Brat, który biegł ku niej, zatrzymał się gwałtownie.

– Chciałem tylko spytać, czy mogę popływać w stawie młyńskim razem z innym chłopcami. Skończyliśmy porządkować skoszone wczoraj zboże, bardzo się spociliśmy. – Zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, dodał: – Dlatego jesteś taka zła. Z powodu upału?

– Nie jestem zła – odrzekła z westchnieniem. – Na pewno nie na ciebie. Możesz popływać z chłopcami, ale nie szalejcie, bo jeszcze któryś z was się utopi.

– A na kogo jesteś zła? – Zignorował pozwolenie. – Na Fitzjohna? Na Armanda?

. Najwyraźniej domyślił się odpowiedzi po jej minie.

– Dlaczego? – dopytywał się ciekawie. – Co takiego zrobił?

– Nic. – Okręciła się na pięcie i ruszyła w kierunku zamku. – Armand nie uczynił nic złego. Twój bohater to ideał bez skazy. A teraz idź popływać i zostaw mnie w spokoju.

Gavin jednak wcale nie zamierzał jej posłuchać.

– Jestem pewien, że Armand nie chciał ci zrobić żadnej przykrości. On cię naprawdę lubi. Dlatego przecież wrócił i tak ciężko pracuje.

Wbrew swojej woli, Dominie zwolniła.

– On... On ci to powiedział?

– Pewnie! – przytaknął gorliwie jej brat, jakby tylko czekał na to pytanie. – Mówił, że jesteś piękna i mądra... i dodał coś na temat grzanego wina.

Dominie oblała się rumieńcem. Celowo nie patrzyła na brata z obawy, że jeśli to zrobi, zdradzi swoje uczucia.

– Ale dlaczego ci to powiedział?

– Bo zapytałem go, czy się pobierzecie.

– Gavin! – Miała ochotę wytargać brata za ucho. – Powiedz, że tego nie zrobiłeś!

– Niby dlaczego nie? A co jest złego w tym pytaniu? Przecież jestem lordem Wakeland, a ty jesteś moją siostrą. Mam prawo wiedzieć.

– Lepiej poczekaj, aż dorośniesz, i wtedy zacznij się przejmować swoim ślubem, a nie moim. W ogóle trzymaj się z dala od moich spraw. – Chociaż bardzo się starała, nie mogła nie zapytać: – Co Armand ci powiedział, kiedy spytałeś go o nasz ożenek?

– Też się rozżłościł. Oznajmił, że po zbiorach będzie musiał odejść i że powinnaś wyjść za takiego człowieka, jaki jest ci potrzebny. Co to znaczy, Dominie? Że Armand nie jest dla ciebie odpowiedni? Przecież nie jest już naszym wrogiem, jeśli to cię trapi.

Dlaczego Armand Flambard nie widział tego, co było oczywiste nawet dla takiego młodzika jak Gavin?

– Wspomniał coś jeszcze?

– Tylko to, że do małżeństwa kobiety i mężczyzny nie wystarczy obopólna sympatia. – Gavin wydawał się zdumiony tą uwagą. – Dodał, że zrozumie to lepiej, kiedy będę trochę starszy.

Dominie niemal cisnęła dzbankiem o ziemię, kiedy usłyszała, że jej własna opinia na temat małżeństwa przypisywana jest Armandowi. Czyżby wyprawa poza mury klasztorne, w prawdziwe życie, nauczyła go rozumu?

Zwolniła kroku i spojrzała na brata.

– Armand ma rację – oświadczyła. – Rzeczywiście w przyszłości zrozumiesz to lepiej. Przepraszam, że tak ostro cię potraktowałam. Wiesz przecież, że taki mam charakter: łatwo się denerwuję i bardzo szybko uspokajam.

– Czyli nie jesteś już zła na Armanda? – natychmiast zapytał Gavin. – Nie zamierzasz go odprawić?

Dominie zerknęła na pole. Jeśli podejście Armanda do małżeństwa się zmieniło, stało się bardziej praktyczne, to może jednak mieli szansę. Matka słusznie twierdziła, że Dominie lubi wyzwania. Wydarzenia podczas walki o angielski tron udowodniły jej, że jednak przegrana bitwa wcale nie musi oznaczać całkowitej porażki. Należało tylko przegrupować siły i spróbować ponownie.

W bardziej dogodnym czasie i stosowniejszym miejscu rezultaty mogły okazać się oszałamiające.

Kiedy w końcu odpowiedziała bratu, mówiła tyleż do niego, co i do siebie.

– Jeśli Armand Flambard postanowi nas opuścić, będzie to jego decyzja, nie moja.

Gavin wydał z siebie triumfalny okrzyk, po czym odbiegł do reszty chłopców. Wkrótce w okolicy słychać było śmiechy, okrzyki i pluskanie wody.

Co podsunęło Dominie pewien pomysł.

Kiedy czas koszenia minął, Armand ledwie mógł podnieść ręce i z trudem pokonał niewielką odległość do dziedzińca w Harwood. Chociaż był niesłychanie zmęczony, czuł się usatysfakcjonowany postępem prac. Zaczynał rozumieć fascynację Baldwina de Montforda codziennymi sprawami.

Niezaprzeczalnym pożytkiem z tak ciężkiej harówki był mocny, głęboki sen. Przynajmniej Armand nie miał szans na wspomnienie pieścotliwego dotyku Dominie na swoich złanych potem plecach.



Przechodząc przez wrota, zatrzymał się przy kuźni, by zostawić tam kosę do naostrzenia. Następnie ruszył do stajni; widział, że znajdzie tam wodę.

Przedwczoraj dołączył do innych mężczyzn i młodych chłopców przy młyńskim stawie, ale jego obecność najwyraźniej przyćmiła ich wesołość. Następnego wieczoru obmył się w końskim żłobie, nim udał się do zamku.

Właśnie miał zanurzyć głowę w wodzie, kiedy nagle usłyszał głos Dominie:

– Czyżby Harwood aż tak podupadło?

Wyprostował się i spojrział w tamtym kierunku. Nie potrafił powiedzieć, czy bardziej zaskoczył go jej pogodny ton, czy fakt, że w ogóle się do niego odezwała.

Zanim zdążył zapytać, co miała na myśli, pospieszyła z odpowiedzią:

– Czyżby nie stać nas było na nic lepszego niż koński żłób?

Tam właśnie lord Flambard, właściciel Harwood, musi się obmywać po ciężkiej, całodziennej pracy?

Ten ton był bardziej niż przyjazny. Kusił Armanda i jednocześnie go zaniepokoił. Czyżby Dominie nie usłyszała, co jej powiedział na polu?

– Nie jestem już panem na Harwood, Dominie. – Westchnął ze zniecierpliwieniem. – Ty jesteś panią tych włości.

Czyżbyś zapomniała?

Nagle naszała go jeszcze jedna niepokojąca myśl. Postanowił ją wypowiedzieć głośno, żeby lepiej zapamiętać.

– Przynajmniej dopóki nie znajdziesz sobie męża. Wtedy wszystko przejdzie na jego własność.

– Ta posiadłość może i należy do mnie, bo tak stanowi królewski dekret. – Dominie ruszyła w jego kierunku. Gęsty kasztanowy warkocz opadał jej na ramię.

– Ale tak naprawdę Harwood jest twoje, z urodzenia i prawem serca. Z każdym dniem widzę to coraz lepiej. Mam nadzieję, że ty także.

Faktycznie tak było, chociaż Armand wcale tego nie pragnął. Doskonale wiedział, że świadomość tego faktu tylko utrudni mu odejście, gdy nadejdzie ku temu pora.

– Prawem serca? – Obolałymi palcami przeczesał włosy. – Nie brzmi to szczególnie praktycznie.

– Może i nie, ale nic nie poradzę na to, że tak właśnie myślę. – Zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku. – Bardzo cię przepraszam za to, że rozpoczęłam dyskusję na ten temat dziś, kiedy tak ciężko pracowałeś. Miałeś prawo mnie zganić. To nie była ani stosowna pora, ani właściwe miejsce na taką rozmowę.

Chytra sztuka! Doskonale wiedział, że to tylko wymówka. Przecież tak

naprawdę nie było odpowiedniej pory ani miejsca na to wszystko, co chciała mu powiedzieć.

– Uważasz, że tu jest lepiej?

Dominie się uśmiechnęła.

– Przynajmniej będziesz mnie słuchał, a ja nie muszę się obawiać, że przy okazji odetniesz sobie stopę. Chodź. – Wyciągnęła ku niemu rękę.

– Mogę się najpierw obmyć?

– Naturalnie. – Mimo tego oświadczenia odciągnęła go od koryta, do spokojnego zakątka obok stajni. Stał tam niewysoki stołeczek, wiadra z wodą i płytka drewniana wanna, na której wisiało kilka szorstkich ręczników.

– Co to takiego? – Armand wysunął dłoń z ręki Dominie.

– Nie widzisz? Przecież właśnie o tym mówiłam. To lepsze miejsce do kąpieli niż koński żłób. Poza tym możemy tu swobodnie porozmawiać.

– Bardzo ci dziękuję, że zadałaś sobie tyle trudu. – Armand przysiadł na stołku – ale nie powinniśmy tu rozmawiać.

– A niby dlaczego, że pozwolę sobie zapytać? – Dominie oparła dłonie na biodrach. Na wyjątkowo krągłych biodrach, ani zbyt wąskich, ani nazbyt szerokich.

– Nie udawaj niemądrej dzierlatki! Doskonale wiesz dlaczego.

Powoli podeszła do wiader. Słyszając plusk, Armand uniósł głowę dokładnie w chwili, kiedy zimny, mokry ręcznik otoczył jego ramiona. Po gorącym, pełnym trudów dnia to uczucie na moment pozbawiło go tchu. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

Dominie najwyraźniej była gotowa mówić za nich oboje.

– Bo jest tu zbyt intymnie, to miałaś na myśli?

Stojąc za nim, zaczęła pocierać wilgotnym ręcznikiem jego tors. Ustami muskała ucho.

– W przeszłości byliśmy sobie bliscy, czyżbyś zapomniał?

Jak mógłby zapomnieć?

– Czy ty usiłujesz mnie uwieść? – Wyciągnął rękę i otoczył palcami jej przegub. – Po co? Żeby udowodnić sobie, że potrafisz? – Parsknął niewesołym śmiechem. – Możesz być z siebie dumna. Nie jestem dla ciebie żadnym przeciwnikiem.

– A zatem mnie pragniesz? – Zrezygnowała z kuszącej nuty w głosie. Teraz brzmiał on niewinnie i niepewnie. – Tak jak niegdyś pragnąłeś? Chcesz żebyśmy byli razem, tak jak mężczyzna i kobieta?

– Owszem. – Niby po co miał to ukrywać? Poza tym był zbyt zmęczony, by

walczyć z pożądaniem.

Pochylił głowę i potarł zarośniętym policzkiem o jej ramię.

– Pragnę tego znacznie mocniej niż wtedy, gdy byliśmy młodzi. Nie musisz się specjalnie wysilać. Pożadam cię równie natarczywie, gdy jesz wieczorny posiłek albo dogładasz spraw posiadłości. I kiedy klęczysz, pogrążona w modlitwie. Niech mi Bóg przebaczy.

– Tak się cieszę! – Zarzuciła mu drugą rękę na szyję. – Ja ciebie też pragnę – wyznała. – Kiedy zobaczyłam cię na polu, bez koszuli, nie mogłam się powstrzymać. Musiałam cię dotknąć.

– Nie ma się z czego cieszyć. Czy ty nie rozumiesz? – Wyrwał się z jej uścisku i wstał. – Takie pragnienia są dobre, jeśli mogą zakończyć się małżeństwem. Nie powinien odczuwać ich mężczyzna, który zamierza zostać zakonnikiem, ani kobieta, która musi zachować dziewictwo dla przyszłego małżonka.

– Niby dlaczego nie mogę wyjść za ciebie? – Dominie również się podniosła i zmierzyła Armanda wyzywającym spojrzeniem. – Dzięki temu moglibyśmy być razem, a ty pozostałbyś w Harwood, gdzie jest twoje miejsce.

Kiedy po raz pierwszy ofiarowała mu rękę tamtego chłodnego, wiosennego poranka w Breckland, taka perspektywa kusila Armanda. Teraz, po trzech miesiącach udawania, że jest panem Harwood, i bliskości Dominie, był rozdarty pomiędzy tym, co czuje, a tym, co powinien uczynić.

– Dlaczego nie możesz wyjść za mnie? – Ciężkim krokiem podszedł do wanny. – Kobieto, mógłbym wymieniać powody, póki zabrakłoby mi tchu, a i tak nie wypowiedziałbym wszystkich.

Rozwiązał podwiązki, ściągnął pończochy. Wszedł do wanny tylko w płóciennych spodniach.

– No już, nalej wody i porozmawiajmy. Widzę, że nie dasz mi spokoju, póki nie będziemy mieli tego za sobą.

– Zdołasz znaleźć spokój, działając wbrew własnym pragnieniom? – Dominie rzuciła mu szmatkę i położyła ręczniki na ziemi. Po chwili dźwignęła jedno z wiader i powoli przechyliła je nad jego głowę.

– A jak myślisz, co robiłem przez ostatnie pięć lat? – Prychnął, kiedy woda spłynęła mu po włosach na twarz.

– W klasztorze nie sprawiałeś wrażenia człowieka, który odnalazł spokój duszy. Poza tym teraz jest inaczej niż wtedy, gdy odchodziłeś. Potrzebujemy cię tutaj. Spytaj mojej matki, ona powie ci to samo.

– Twoja matka? – Kaskady wody na rozpalonym, obolałym ciele były

cudowne. Armand zaczął nacierać się szmatką.

– Uważa, że powinniśmy się pobrać. – Dominie opróżniła wiadro i postawiła je na ziemi. – Gavin też, ale on pewnie już cię o tym poinformował.

– W rzeczy samej.

Czy to możliwe, że mógłby odpokutować swój czyn, biorąc Dominie za żonę? Opiekując się nią i jej rodziną tak, jakby to robił lord Baldwin, gdyby żył? Armand oddałby niemal wszystko, by w to uwierzyć. Cóż to jednak byłaby za pokuta, gdyby zrealizował to, czego tak rozpaczliwie pragnął?

– Jeszcze wody? – zapytała.

Pochylił głowę.

– Poproszę.

Dźwignęła drugie wiadro i zaczęła go polewać.

– Tu jest twoje miejsce, potrzebujemy cię, a poza tym mnie pragniesz, ja ciebie także. Czy mogą istnieć lepsze powody do małżeństwa? Mówiłeś Gavinowi, że w małżeństwie liczy się nie tylko... miłość.

Powinien był przewidzieć, że za tą nagłą chęcią zamążpójścia kryją się praktyczne powody, pomyślał Armand.

– No dalej – ciągnęła. – Podaj mi jakąś przyczynę, dla której nie mielibyśmy wziąć ślubu.

– Bardzo proszę. – Skoro jednym z jej argumentów była miłość, on powinien użyć kontrargumentów lżejszej natury.

– Sama zauważyłaś, że nie postrzegamy świata w ten sam sposób. Zapewne zamęczylibyśmy się nawzajem kłótniami. W odpowiedzi na to Dominie tylko zachichotała.

– A który mężczyzna i kobieta są tacy sami? Wtedy życie byłoby bardzo nudne. Poza tym w ostatnich tygodniach nie kłóciliśmy się ani zbyt często, ani nazbyt zażarcie. Coraz lepiej rozumiem te twoje ideały i je szanuję... w odpowiednim kontekście.

Tym inteligentnym kpinom było jeszcze trudniej oprzeć się niż jej urodzie.

Gdy Dominie opróżniła drugie wiadro, Armand otrząsnął się niczym ogar, który właśnie uciekł przed deszczem.

– W tym jednym na pewno masz rację. – Sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać. – Ale jest jeszcze mnóstwo innych powodów. Także praktycznych.

Dominie odstawiła puste wiadro.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie mam nic – przypomniał jej, wstając z wanny. – Ty w posagu wniesiesz

pokażny majątek. Możesz korzystnie wyjść za mąż, na przykład za kogoś z królewskiego dworu, i wtedy będziesz miała naprawdę łatwe życie.

– Z dworu? Łatwe życie? Wymyśl coś lepszego, Flambard. Mnie się tutaj podoba. I bardzo chętnie podzielę się z mężem, który nie ma własnej ziemi, jeśli tylko pomoże mi na mojej, tak jak ty to robisz.

Ta dziewczyna naprawdę była w stanie go przekonać, jeśli nie będzie miał się na baczości. Najgorzej, że Armand po części bardzo chciał zostać przekonany.

Podniósł z ziemi szorstki lniany ręcznik i owinął go wokół bioder, żeby zakryć mokre spodnie.

– Nie zapominaj, że poprzysiągłem trzymać się z dala od przemocy. Dotychczas mi się to udawało, ale szczęście nie zawsze będzie mi sprzyjać. Nawet jeśli uda nam się pozbyć stąd Euda St. Maura, na świecie istnieje jeszcze mnóstwo innych zagrożeń. Zasłużyłaś na męża, który będzie cię strzegł... Ciebie i twoich dzieci, a nie takiego, który ma związane ręce.

– Gdyby mój ojciec powrócił z bitwy o Lincoln jako kaleka, niezdolny bronić rodziny, powinniśmy go wyrzucić? – Dominie powoli pokręciła głową. – Nawet ja nie jestem taka okrutna. Uzbrojonych ludzi można sobie kupić. Ty udowodniłeś, że potrafisz poprowadzić tłumy, nawet nie wnosząc miecza. To rzadki dar, nie powinien skrywać się w klasztorze.

– Jej słowa przypomniały mu przypowieść o talentach. Czyżby był jak ten niemądry sługa, który zakopał swoją monetę w ziemi, miał ją pomnażać?

Kiedy zastanawiał się nad tym, Dominie zrobiła krok w jego kierunku.

– Być może te wszystkie twoje powody to zwykłe wymówki, Armandzie. Być może wcale ci się nie podobam i nie chcesz mnie za żonę.

Była dojrzała i buzująca życiem niczym letnie pole. Odwrócenie się do niej plecami przypominałoby rezygnację ze skoszenia idealnego, złocistego zboża. Armand usiłował zapanować nad rękami, ale najwyraźniej żyły własnym życiem.

– Podobasz mi się aż nadto. – Przyciągnął Dominie do siebie. Ukrył twarz w jej włosach, a jego dłonie błędziły po kuszącym ciele.

Dominie nie przyjmowała biernie tych hołdów. Przyłgnęła policzkiem do nagiej piersi Armanda.

– Czekałam na ciebie, Flambard. Nawet gdy nie miałam pojęcia, czy żyjesz. Musiałam zbyt długo czekać.

Nie powiedział jej jeszcze o najważniejszym powodzie, dla którego nie mogli być z sobą. Jednak jej pożądanie całkiem go zaskoczyło, jak wtedy, gdy przygwoździła go do kolumny w klasztorze tamtego wiosennego dnia w Breckland.

Nigdy w życiu nikogo ani niczego nie pragnął tak bardzo jak teraz tej kobiety.

Powoli osunął się na kolana i przywarł do Dominie. Obsypywał pocałunkami jej ciało, a ona głaskała go po mokrych włosach.

Nagle usłyszeli na zewnątrz tętent końskich kopyt.

– St. Maur! – krzyknął ktoś. – Atak!

Niechętnie oderwali się od siebie. Dominie rzuciła się do drzwi, Armand zaś z trudem wstał i za nią ruszył.

Na podwórzu ujrzeli kilku mężczyzn zeskakujących z wierzchowców. Większość z nich miała twarze pokryte sadzą, paru krwawiło.

– Co się stało? – Dominie wybiegła im naprzeciw. – Kim jesteście, skąd przyjechaliście? Czy nas zaatakowano?!

Jeden z przybyszów, który wydał się Armandowi znajomy, ze znużeniem pokręcił głową.

– Jeszcze nie, pani. Przybywamy z Cambridge. Wilk i jego wataha najechali nasze miasto i puścili je z dymem!

## Rozdział 12

Kiedy dobiegł ich hałas i przerwali słodkie pieszczoty, Dominie ledwie powstrzymała się od okrzyku niezadowolenia.

Po wahaniu i wielu przemyśleniach w końcu pojęła, czego naprawdę pragnie, i postanowiła walczyć o to z całych sił. Armand zaprezentował godny podziwu opór. Tym bardziej jego prawdopodobna kapitulacja była satysfakcjonująca. Dała Dominie poczucie władzy – tak potężny mężczyzna klęczał przed nią, doprowadzony do tego mocą skrywanej namiętności.

Żarliwie pocałunki rozpały w niej namiętność. Jeszcze niezbyt śmiała, pojawiła się w ich wczesnej młodości, lecz została stłumiona przez jego nagłe odejście i czekała w uśpieniu przez pięć lat. Od tamtego pamiętnego dnia w Breckland znowu wybuchła, nawet mocniejsza.

Teraz, kiedy wreszcie pojawiła się możliwość jej zaspokojenia, zagroziło im niebezpieczeństwo. Gdyby Eudo St. Maur akurat w tej chwili najechał Harwood, Dominie zadusiłaby niegodziwca gołymi rękami!

Popatrzyła na wysmarowaną sadzą twarz mężczyzny, który doniósł im o splądrowaniu Cambridge.

– Godwin Smith, prawda?

– Tak, milady. – Krzepki mężczyzna o płowych włosach ukląkł przed Dominie.

Godwin, syn kowala z Harwood, wyjechał stąd przed trzema laty, by w mieście króla Stefana uczyć się fachu. Od czasu do czasu przyjeżdżał na święta do rodziny.

– Ludzie krążą po mieście, pani. – Jego oczy miały dziwny, nieobecny wyraz, jakby nie widział dziedzińca w Harwood, tylko płonące Cambridge. – Nie wiedziałem, dokąd mam się udać.

– Dobrze zrobiłeś, że przyjechałeś do nas. – Dominie gestem dała mu znak, żeby wstał. – Jesteśmy ci niezwykle wdzięczni, że tak prędko przywiozłeś nam nowiny.

Poczuła, że Armand kładzie jej dłoń na ramieniu. Godwin Smith i inny człowiek z Cambridge patrzyli na niego ze zdumieniem. Nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Ludzie z wioski i zamku zaczęli tłoczyć się na dziedzińcu, niektórzy wciąż mokrzy po kąpieli.

– Edwin, Harry, James! – rozległ się głęboki głos Armanda.

– Bierzcie konie i wystawcie czujki na drogach ze wschodu.

Willu Brewster, zbierz kobiety i dzieci z wioski i przyprowadź je na dziedziniec.

Mężczyźni, do których się zwrócił, ruszyli do okolicznych dworów i do Wakeland.

– A ja, Armandzie? – Gavin, w samej bieliźnie, podbiegł do niego. – Co ja mam robić? Biec po łuk i bronić drogi ze wchodu?

– Przede wszystkim biegnij po ubranie. – Dominie już wyciągnęła rękę, żeby wytargać niesfornego brata za ucho. Nim jednak zdążyła to zrobić, silna dłoń Armanda odciągnęła ją do tyłu.

– Gavinie, bardzo cię potrzebowałem. – Armand wskazał dłonią na zamkową wieżę. – Jak najszybciej biegnij tam i obserwuj drogę od wschodu. Jeśli zobaczysz zmierzającą ku nam grupę ludzi, natychmiast mnie o tym powiadom.

Dominie ledwie powstrzymała się od tego, żeby okręcić się na pięcie i zarzucić Armandowi ramiona na szyję. Postanowił umieścić jej brata w najbezpieczniejszym miejscu w całej posiadłości, jednocześnie dając mu do zrozumienia, że będzie wykonywał niezwykle istotne zadanie.

Armand już miał wydać następny rozkaz, kiedy zauważył, że Gavin wciąż się w niego wpatruje.

– Do roboty! – krzyknął. – Nie ma chwili do stracenia.

Młodzieniec błyskawicznie powrócił do rzeczywistości.

– Jak każesz. – Ruszył ku zamkowi, po czym przystanął na chwilę i zakrzyknął: – Możesz na mnie liczyć, Armandzie!

– I liczę na ciebie. Nie zawieźdź mnie.

Chłopiec wkrótce zniknął z ich pola widzenia, Armand zaś oznajmił:

– Kiedy odjadą jeźdźcy, a wieśniacy będą bezpieczni na dziedzińcu, zamknijcie bramę!

Mężczyźni ruszyli równie dziarsko jak wcześniej Gavin. Nikt chyba nie zauważył, że Armand był praktycznie nagi, taką się cieszył estymą.

Mimo zagrożenia Dominie czuła się bezpieczna, równie silna jak w uścisku Armanda, lecz znacznie bardziej pewna siebie.

Dopilnowawszy najważniejszych spraw, Armand popatrzył na grupkę uchodźców z Cambridge.

– Tych ludzi trzeba nakarmić i напоić, a także opatrzyć im rany.

Zanim wydał nowe rozkazy, Dominie oświadczyła:

– Ja się nimi zajmę. I wieśniakami również.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Uśmiechnął się do niej niewesoło. W



jego oczach dostrzegła bezgraniczne zaufanie.

Przypomniały się jej słowa opata Wilfrida: że kobieta i mężczyzna są w stanie wiele razem zdziałać. W tym momencie czuła się tak, jakby razem z Armandem mogli przenosić góry.

A może nawet pozbyć się uciążliwego Wilka z Fenlands.

Armand zerknął na swoje nogi, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że jest niemal nagi.

– Muszę znaleźć ubranie – powiedział. – Później porozmawiam z Godwinem Smithem o ataku St. Maura.

Dominie stała i przez chwilę tylko na niego patrzyła, kiedy szedł ku zamkowi. Potem odetchnęła głęboko, jakby przygotowując się do tego, co należało zrobić, wdzięczna Armandowi, że zdjął z jej ramion największy ciężar.

– Chodźcie ze mną do zamku. – Machnęła ręką na ludzi z Cambridge. – Zajmiemy się tam wami.

Niektórzy z mieszkańców wsi już zaczęli gromadzić się na dziedzińcu. Dominie dostrzegła dwie starsze kobiety, które znały się nieco na opatrywaniu ran i nie były zajęte dziećmi.

– Mateczko Alfredo, mateczko Margaret! – zawołała. – Pomożecie mi przy tych biedakach?

Podczas gdy Godwin Smith prowadził ludzi z Cambridge ku zwodzonemu mostowi, Dominie podniosła głos, żeby przekrzyczeć hałas na dziedzińcu.

– Poszukajcie sobie jakiegoś wygodnego miejsca, zanim się przekonamy, jak wygląda sytuacja. Trzymajcie dzieci z dala od bramy i od stajni. Każdy, kto mógłby nam pomoc w zamkowej kuchni, będzie mile widziany.

Przez następne kilka godzin nie miała czasu myśleć ani o Armandzie, ani o małżeństwie. Skupiła się wyłącznie na wykonywaniu koniecznych zadań.

Kiedy przemywała i opatrywała rany, kładła ziołowe balsamy i gęsi tłuszcz na oparzenia, wysłuchiwała opowieści ludzi z Cambridge o dniu, który zaczął się jak każdy inny, a skończył pożogą, przerażeniem i ucieczką.

Te opowieści jeszcze mocniej utwierdziły ją w przekonaniu, że powinna wyjść za Armanda. Im prędzej, tym lepiej. W tych niebezpiecznych czasach nie było pewności co do jutra. Powinno się czerpać z życia tyle przyjemności, ile się da. Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, Armand z pewnością się z nią zgodzi.

Zielona suknia, haftowana przez matkę Dominie, znakomicie nada się na weselny strój.

Gdy letni księżyc pojawił się nad spokojnym krajobrazem Wschodniej Anglii, Armand Flambard spoglądał na zachód z wieży obserwacyjnej Harwood. Westchnął ciężko i po raz pierwszy od wielu godzin pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Doszedł do wniosku, że Eudo St. Maur i jego wataha jeszcze ich nie zaatakują.

Zerknął na młodego Gavina, który nadal miał na sobie jedynie płócienne spodnie.

– Dobrze się spisałeś, młodzieńcze. Wątpię, by ktokolwiek nas niepokoił przed świtem. Nocny atak zawsze jest lepszy dla obrońców, gdyż są czujni, jak my teraz. St. Maur może być niegodziwcem, ale nie jest głupcem. Ubierz się i zjedz coś, zanim twoja siostra obsztorcuje mnie za to, że cię postawiłem na warcie.

Chociaż Gavinowi burczało w brzuchu z głodu, nie spieszył się z odejściem.

– Myślisz, że napadną nas jutro, Armandzie?

– Szczerze w to wątpię.

Modlił się w duchu o to, by atak na Cambridge chwilowo zaspokoił żądzę krwi i chciwość St. Maura. Chociaż z dnia na dzień dzięki Armand był coraz bardziej przekonany, że zdołają odeprzeć atak, przetrwanie Harwood zależało również od letnich zbiorów. Póki zboże rosło na polach, było bezbronne wobec ognia, kradzieży czy najazdu.

Pokiwał głową.

– Na razie nie mamy nic wartościowego – rzekł, nie tyle do chłopca, ile do siebie. – Zanim St. Maur dojdzie do wniosku, że warto nas obrabować, większość zdołamy już zabezpieczyć.

Gavin lekko się przygarbił. Być może żałował, że stracił okazję udziału w bitwie.

Gdyby to zależało od Armanda, nigdy by do tego nie dopuścił.

Gavin ruszył po stromych, wijących się schodach do wielkiej sali.

– A ty coś jadłeś? – spytał.

– Nie, zaraz zejść na dół. Chwilowo nasycę się zimnym – nocnym powietrzem.

– Gdyby jeszcze nie czuć w nim było słabego, lecz złowieszczonego zapachu dymu.

– A zatem dobrej nocy.

– Dobrej nocy, Gavinie. Odpocznij. W najbliższych dniach czeka nas mnóstwo pracy.

Chłopiec pokonał kilka schodów, kiedy Armandowi przyszło coś do głowy.

– Kilka akrów zboża jest warte więcej niż całe pole bitwy – powiedział do Gavina. – To właśnie przesądzi o naszej wielkiej bitwie przeciwko Wilkowi z

Fenlands.

– Mimo wszystko wołałbym raczej miotać strzałami, niż kosić zboże.

To nieszczególnie zdumiało Armanda. Prace polowe nużyły i jego, gdy był w wieku Gavina. Najbardziej lubił jeździć konno, polować i uczyć się sztuk wojennych.

Kiwając głową nad szaleństwami młodości, oparł się o mur i wyjrzał w noc.

Czy ktoś wylał wodę z wanny i wiader za stajniami? Miał wrażenie, że był tam przed wieloma tygodniami, a nie zaledwie kilka godzin wcześniej. Przybycie uchodźców z Cambridge uświadomiło mu, że małżeństwo z Dominie to niebezpieczna mrzonka. Musiał znaleźć w sobie siłę, by oprzeć się pokusie. A może powinien przekonać Dominie, by porzuciła jakiegokolwiek nadzieje związane z ich ślubem?

Usłyszał lekkie kroki na schodach.

– Zjedz kolację, Gavinie, i idź wreszcie do łóżka – mruknął cicho.

– Dobra rada, Flambard – odparła Dominie. – Może sam powinieneś się do niej zastosować.

– Smakowity aromat cebuli przypomniał Armandowi, że od dawna nic nie jadł.

Dominie pokonała kilka ostatnich schodków.

– Zostawiłam ci trochę jedzenia z kolacji. – Wyciągnęła przed siebie drewnianą miskę. – Jedz, póki gorące.

– Dziękuję. – Armand włożył do ust łyżkę pełną gęstej potrawy. Poczłł smak króliczego mięsa, fasoli, warzyw i ziół. – Jesteś dziś niesłychanie troskliwa. Przyniosłaś mi piwo, przygotowałaś kąpiel, a teraz do tego jeszcze kolacja.

To, że tak bardzo doglądała jego potrzeb i zadbała o niego, obudziło w Armandzie inny głód. Ponownie zapragnął wziąć Dominie w ramiona. Być może wyczuła to, gdyż podeszła bliżej i stanęła tuż przy nim.

– Jeśli weźmiesz mnie za żonę, spełnię każdą twoją zachciankę, mój panie – szepnęła.

Z przejścia zaschło mu w gardle. Wiedział jednak, że do tego nie dopuści. Cofnął się o krok.

– Nie mów tak. – Te słowa wydobyły się z jego ust wraz z ciężkim westchnieniem. – Proszę. Nie teraz.

– A niby dlaczego nie teraz? – I ona zrobiła krok do tyłu.

Niewiele to pomogło. Wciąż mógł jej dotknąć.

– Tu jest bardzo spokojnie i nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Armand w pośpiechu przełykał potrawkę z królika, jakby jej spożycie było w

stanie uodpornić go na wdzięki Dominie. Znalazł się w niebezpiecznej sytuacji, jednak nie mógł się z tym przed nią zdradzić.

Czekała w milczeniu, aż Armand skończy jeść. Widział jej piękny profil, rysujący się wyraźnie w świetle księżyca. Nagle, niskim szeptem, który wywołał u niego dreszcze, powiedziała:

– Byłeś dziś wspaniały.

Na szczęście Armand zdążył już zjeść kolację, a nawet oblizać łyżkę. Gdyby wciąż jadł, mógłby się zakrtusić, słysząc tę pochwałę.

– Zrobiłem, co trzeba. Tak jak ty pięć lat temu. Tyle że ty poradziłaś sobie lepiej, a nie byłaś do tego szkolona jak ja.

– Nie chodzi tylko o szkolenie, Armandzie. Na pewno to wiesz. Podarowałaś nam coś bardzo cennego.

Ścisnął misę w jednej dłoni, a łyżkę w drugiej, całkiem jak miecz i tarczę.

– Mam jedynie nadzieję, że ten dar i wszystkie inne środki ostrożności, które podejmiemy, wystarczą, by poradzić sobie z Wilkiem i jego watahą. Wstrząsnęła mną opowieść tych ludzi z Cambridge.

– Ja zaś mam wiary za nas oboje, Armandzie. Wierzę, że jesteś wielkim przywódcą, i wierzę również, że okazałbyś się doskonałym mężem.

Powiedz jej prawdę, nakazywało mu sumienie. Gdyby zdawała sobie sprawę z tego, że zabił jej ojca, z pewnością wybiłaby sobie z głowy jakiegokolwiek myśli o tym nedorzecznym małżeństwie.

– Dominie...

– Tak? – Popatrzyła na niego uważnie.

Nie mógł tego zrobić. Ta wiedza zbyt by ją zraniła. Gavina i lady Blanchefleur również. Otworzyłyby stare rany, które niemal się zagoiły. Mimo że nienawidził siebie za zdradę ideałów, teraz mógł chronić tych, którzy byli mu najdrożsi.

Nagle przypomniały mu się słowa opata Wilfrida.

„O ileż łatwiejsze byłoby życie, gdybyśmy mogli wybierać jedynie między dobrem a złem. Zbyt często jednak dane jest nam wejść na ścieżkę między dwoma zupełnie różnymi rodzajami dobra. Albo popełnić niewielki grzech, by uniknąć wielkiego”.

Ceną za tę niejednoznaczność był z pewnością brak spokoju sumienia. Spokój taki brał się z pewności i... może z arogancji. Czy rzeczywiście w klasztorze odnalazł spokój? Dominie twierdziła, że wcale nie. Teraz i Armand zaczął w to wątpić.

A gdyby pozwolił jej wybrać? Gdyby to ona zdecydowała? Wydawała się taka

pewna tego, gdzie jest jego miejsce i jak powinni postąpić. Co do jednej rzeczy Armand nie miał najmniejszych wątpliwości – z pewnością sprawy między nimi były zagmatwane do tego stopnia, że nie dałoby się ich już bardziej skomplikować.

Mógł jej oferować wybór: albo odepchnąłby ją od siebie na zawsze, albo oboje zyskaliby szansę, by odżyło między nimi coś, co dawno utracił i gorzko opłakiwał.

Czy ten człowiek nie zamierzał już nigdy otworzyć ust? Milczenie sprawiało, że z każdą chwilą Dominie niepokoiła się coraz bardziej.

Czy zbytnio napierała, mówiąc o małżeństwie? Czy Armand gotów był zaryzykować i narazić się na niezadowolenie opata, natychmiast powracając do Breckland? Modliła się w duchu, by tak nie postąpił.

W końcu Armand przemówił.

– Kiedy zrezygnowałem ze swoich ziem... i z ciebie, by dotrzymać przysięgi złożonej cesarzowej, powiedziałaś, że nie pozostawiłem ci wyboru. Miałaś rację.

I tyle? Dominie oparła się o murek, gdyż nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa.

– Nie przejmuj się tym, Armandzie. To już przeszłość. Nie powinnam była się nad nią tyle rozwodzić ani tak zgorzknieć.

Wczoraj już nie istnieje. Jutro być może nigdy nie nadejdzie.

Liczy się tylko to, co jest teraz.

Armand pochylił się, by postawić miskę i łyżkę na podłodze wieży. Kiedy się wyprostował, złapał Dominie za rękę i splótł jej palce ze swoimi.

– Bardzo praktyczne podejście – zauważył.

Przemówił kojącem tonem, jakby to była rzadka pochwała, a nie bliska kuzynka grzechu śmiertelnego.

– Może i wczoraj już nie istnieje – ciągnął – ale możemy uczyć się na własnych błędach i starać się za nie odpokutować.

Pięć lat temu nie pozostawiłem ci wyboru, gdyż chciałem cię chronić. Obawiałem się, że gdybyś wybrała mnie zamiast swojej rodziny, mogłabyś tego gorzko pożałować.

Te słowa wstrząsnęły Dominie. Obwiniła go o to, że porzucił ją bez słowa. A gdyby rzeczywiście zaproponował wtedy, by odeszła wraz z nim? Na co by się zdecydowała, jak by żyła?

– Gdybyś pojechała ze mną... – Nie mówił tak, jakby uważał to za prawdopodobne. Gdyby tylko wiedział, co wtedy czuła! – Jakbyśmy żyli, skoro utraciłem ziemię? Nigdy nie poprosiłbym cię o takie poświęcenie.

W Breckland mówił coś o tym opatowi Wilfridowi. Wtedy jednak Dominie była przepelniona niechęcią i nie uwierzyła w ani jedno słowo Armanda.

Teraz poczuła, że jest gotowa mu wybaczyć... i że sama potrzebuje jego wybaczenia.

Niegdyś Armandowi zależało na niej do tego stopnia, że wołał, by go znienawidziła, niż stanęła przed koniecznością wyboru, który mógłby złamać jej serce. Czy była to taka miłość, która, jego zdaniem, uniemożliwiała małżeństwo? Miłość, którą zlekceważyła jako niemądrą zachciankę?

– Chociaż miałem jak najlepsze intencje, widzę, że złądziłem.

– Doprawdy?

– W rzeczy samej. – Delikatnie musnął dłonią jej włosy. – Powinienem był zaufać twojemu hartowi ducha i rozsądkowi. Gdybym pozostawił decyzję tobie, być może nie zmieniłaby przeszłości, ale przynajmniej moje odejście nie doprowadziłoby do tego, że zwątpiłaś w siebie.

Pogłaskał ją po policzku.

– Przecież ty jedna wiesz, że, być może, pomogłabyś mi przełamać impas. Ty dostrzegasz wszystkie te subtelne odcienie między czernią a bielą.

Dominie żałowała, że ona sama nie wierzy aż do tego stopnia w swój zdrowy rozsądek.

– Nie lekceważ siebie. – Przechyliła głowę i ucałowała go delikatnie w dłoń, tuż nad kciukiem. – Ty walczysz o ideały: prawdę, honor, uczciwość, pokój. Dałbyś się za nie pokroić w każdych okolicznościach, za wszelką cenę. Nasz kraj nie byłby teraz targany walkami, gdyby ludzie po obu stronach mieli w sobie tyle hartu co ty.

– Nie chwal mnie nadmiernie. Nie jestem tym samym człowiekiem, którego podziwiałaś jako młoda dziewczyna.

– Wiem przecież. Początkowo mnie to drażniło. Chciałam, byś okazał się dokładnie taki, jakim cię zapamiętałam. Nie chciałam, żebyś się zmienił, mimo że sama się zmieniłam. Byłam taka niemądra.

– Ja okazałem się znacznie bardziej niemądry – przyznał. – Pragnąłem, byś pozostała niewiastą z mojej wyobraźni, ale wcale nie pamiętałem cię prawdziwej. Wymyśliłem sobie całkiem inną Dominie, bo łatwiej się było jej oprzeć niż tej realnej.

Pieszczota jego dłoni i głosu sprawiły, że Dominie ogarnęła błogość, jakiej nie zaznała od dawna. Pomyślała, że powinna dać upust pożądaniu i wykorzystać słabość Armanda, by zmusić go do pozostania w Harwood. Mimo to nie potrafiła

zakłócić magii tej chwili.

– Tym razem wybór pozostawię tobie – powiedział i uściskał jej dłoń. – Obiecuję, że nie będę żywił do ciebie urazy, niezależnie od twojej decyzji.

– Przecież doskonale ją znasz. – Gdyby nie ścisnął jej dłoni tak mocno, zarzuciłaby mu rękę na szyję.

– Tak ci się wydaje – oświadczył. – Wstrzymaj się jednak. Jeśli zostanę i weźmiemy ślub, znowu wrócę do świata. Dopadną mnie z powrotem wszystkie obowiązki.

– Co ty mówisz, Armandzie? – Gdyby zagroził, że zaraz zrzuci ją z wieży, nie czułaby większej trwogi. – Czyżbyś zapomniał, ile kosztowała cię przysięga złożona cesarzowej?

– Jeszcze przed chwilą nie uważałaś moich ideałów za głupie. – Z niechęcią puścił jej dłoń. – Ani mojego pragnienia, by się dla nich poświęcić.

– Teraz to co innego!

– A niby czemu? Bo tamto należy do przeszłości? Bo nic cię to nie kosztowało?

– Nic mnie nie kosztowało? Jak śmiesz tak twierdzić? Twoja decyzja o udzieleniu wsparcia cesarzowej kosztowała mnie znacznie więcej niż ciebie. Płaciłam tę cenę każdego dnia przez pięć lat.

– Być może. Wybacz, że zasugerowałam coś innego. Właśnie cenę, którą zapłaciłaś, najtrudniej było mi znieść. Zwłaszcza że wybór nie należał do ciebie.

Jaki zatem wybór dawał jej dzisiaj?

– Błagam, spróbuj zrozumieć, nawet jeśli nie możesz mnie wesprzeć. Jeśli będę udzielał poparcia i wycofywał je w dowolnym momencie, jak mi akurat będzie pasowało, stracę całą wiarygodność. Całą swoją wartość.

Była taka bliska, by odzyskać to, co utraciła przed pięcioma laty. Tak szaleńczo bliska zdobycia męzczyzny, którego pożądała całą sobą. Teraz, w ostatniej chwili, musiała to odrzucić.

A jednak jakaś część Dominie rozumiała, wbrew jej woli i zdrowemu rozsądkowi, że Armand Flambard, który nie byłby wierny swoim ideałom, nie byłby tym samym Armandem Flambardem, którego znała i podziwiała i na którym tak bardzo jej zależało.

Gdyby próbowała go przekonać, gdy szalały w niej sprzeczne emocje, z pewnością zaczęłaby krzyżeć, tupać albo kłać. Wobec tego zasznurowała usta i skrzyżowała ręce na piersi.

Zaniepokojony jej milczeniem Armand postanowił się wytłumaczyć.

– Król Stefan nie dopuści do tego, by Harwood zarządzał jego przeciwnik.

Pewnie nie wzięłaś tego pod uwagę, kiedy po raz pierwszy ofiarowałaś mi swoją rękę w zamian za pomoc w przegnaniu St. Maura.

– Wzięłam! – Te słowa wyrwały się jej niespodziewanie. Myślałam jednak, że Jego Wysokość będzie zbyt zajęty innymi, ważniejszymi sprawami, żeby przejmować się naszą posiadłością. Sądzę, że Andegaweni zdobędą tron, wstąpi nań syn Maud, Henryk. Moglibyśmy w spokoju doczekać tej chwili.

Twoje oddanie cesarzowej obróciłoby się na naszą korzyść.

Armand nie od razu jej odpowiedział. Wahał się długo, jak zareagować.

– Czy właśnie dlatego pragnęłaś mnie poślubić? – spytał w końcu. W jego głosie pobrzmiwała uraza. – Czy zapragnęłaś być kryta z obu stron, tak by na pewno nie przegrać tej rozgrywki?

Naturalnie, że nie! Przynajmniej nie ostatnio. Jednak wspólna przyszłość wydawała się stać pod znakiem zapytania, a Dominie nie potrafiła zmusić się do zdradzenia Armandowi prawdziwych powodów.

– W twoich ustach brzmi to jak zbrodnia – odparła – a tymczasem nią nie jest. Zbrodnią jest fakt, że ta wojna w ogóle wybuchła. Nie wolno oceniać, jak próbujemy przeżyć i chronić tych, którzy są od nas zależni. A już na pewno sędziami nie powinni być ludzie, którzy nie biorą w ogóle pod uwagę, jaki wpływ będą miały ich szlachetne uczynki na innych.

– Masz rację, nie mnie to oceniać. W ostatecznym rozrachunku twoje postępowanie może sprawić, że ucierpi jak najmniej osób. Jakaś część mnie chciałaby to zaakceptować, jednak nie jestem w stanie tego zrobić.

– Dominie ogromnie pragnęła go objąć, pocieszyć, jednak zabrakło jej odwagi.

– Odejdź już – powiedział. – Robi się późno. Za nami długi dzień, kto wie, jakie problemy przyniesie jutro. Ustalmy to, a potem pogódźmy się z naszym wyborem. Czy poślubiłabyś mnie, ryzykując, że król Stefan pozbawi cię Harwood?

– Dlaczego pytasz? Wiesz, że nie. Co stałoby się z matką i Gavinem, z wasalami i dzierżawcami? Nie mogę ich opuścić.

– Nie możesz. Nie mogłabyś nawet wtedy, gdyby cesarzowa ofiarowała mi piękne ziemie na zachodzie, w zamian za te.

– Nawet wtedy.

W ciemności, w której stał Armand, rozległ się dźwięk, którego Dominie najmniej się spodziewała: cichy chichot zakończony westchnieniem.

– A jednak to wcale nie jest takie znów praktyczne podejście. Kiedyś powiedziałaś mi, że nie masz ideałów, że nie interesuje cię nic, czego nie da się zjeść, wypić, włożyć na siebie ani wydać.



– No i cóż z tego?

Armand pokręcił głową.

– To nieprawda. Masz jeden ideał, może dwa, ważniejsze od wszystkiego na świecie. W ich obronie jesteś gotowa wiele poświęcić.

Już miała mu przykazać, by przestał wygadywać nonsensy, ale jego następne słowa sprawiły, że zamilkła.

– Lojalność i odpowiedzialność. Odpowiedzialność za rodzinę i swoich ludzi. Ja też bardzo sobie cenię lojalność wobec tych, którym przysięgałem. Są znaczniejsi ode mnie. Ty pozostajesz lojalna wobec ludzi, którzy są od ciebie zależni.

To tym bardziej altruistyczne, gdyż ja mogę mieć nadzieję na korzyści, ty nie.

– Nie pochlebiaj mi. Robisz to, żeby mnie osłabić. – Cofnęła się o krok, chociaż Armand nie zrobił żadnego ruchu, by się do niej zbliżyć. – Nie możemy być razem.

– To twój wybór.

Dominie obróciła się na pięcie, chociaż przyjazna ciemność i tak skrywała jej łzy.

– Nie drażnij się ze mną! – Ruszyła po schodach, trzymając się ściany, żeby nie spaść i nie skrócić sobie karku. – Doskonale wiesz, że nie mam wyboru.

– Ja też nie. – Dobięły ją jeszcze jego ciche słowa.

## Rozdział 13

Następnego dnia mieszkańcy Harwood z niejakim przestraczem przystąpili do pracy, przez cały czas wypatrując zagrożenia. Nic się jednak nie działo.

Z Cambridge nadciągnęło jeszcze kilku uchodźców. Donieśli, że ludzie St. Maura powrócili do Fenlands po złupieniu wszystkiego, co dało się złupić, i podpaleniu tego, co pozostało. Mówiono o przybyciu króla Stefana, ale nikt nie wierzył, że władca zdoła powstrzymać potwora, którego sam wypuścił z rąk.

Podczas następnych dwóch dni nikt ich nie zaatakował. Stogi siana wyschły, załadowano je na wozy i zabrano do specjalnego kamiennego spichlerza, który Armand nakazał wybudować na dziedzińcu.

Niektórzy sprzeciwiali się pomysłowi, by trzymać zbiory w Harwood. Nawet po czterech latach sprawiedliwych rządów Flambardów i de Montfordów nie wszyscy saksońscy wasale ufali normandzким panom.

Armand nie pozostawił im zbyt wielkiego wyboru. Mogli powierzyć swoje zbiory zamkowi, skąd zboże miało być im wydzielane co dwa tygodnie. Mogli również zaryzykować utratę całych zbiorów na rzecz łotrów St. Maura. Po tym oświadczeniu nikt nie odważył się trzymać zbiorów u siebie. Gdyby tylko wybór, który pozostawił Dominie, też był taki prosty!

Służba i wasale, nawet jej brat, zapewne nie zauważyli zmiany, jaka się dokonała w Dominie od tamtej nocnej rozmowy w wieży obserwacyjnej. Była nieugięta jak zawsze, ale z jej oczu zniknął blask, a krokom zabrakło zwawości.

Armand oddałby niemal wszystko, by powróciły. Wszystko prócz tego, na czym zależało jej najbardziej.

Gdy nadeszły dożynki, wszyscy w Harwood zajęli się przygotowaniem do uroczystej mszy świętej i ciężkiej pracy. Armand z niepokojem spoglądał w niebo w nadziei, że jeszcze przez pewien czas nie będzie padało. Nasłuchiwał też, czy nie dobiegną go wieści o planowanym ataku.

– Słyszałeś? – Gavin podbiegł do Armanda, gdy ten z ostrożną satysfakcją patrzył na złociste dojrzałe ziarno. – Matka przybywa do nas z Wakeland na dożynki.

– Przynosisz dobre wieści, chłopcze – odparł z nieszczerą wesołością.

Lady Blanchefleur nie ukrywała swoich nadziei na to, że Armand poślubi jej córkę. Wyobraził sobie podyktowane dobrymi intencjami wykłady na temat tego, jak bardzo nie pasuje do klasztoru i jak ogromnie jest potrzebny w Harwood.

Jeśli jednak obecność matki miała poprawić humor Dominie, był gotów to znieść, przynajmniej do chwili, w której zacna dama nie poruszy tematu ewentualnych niezwykle udanych dzieci, które mieliby jej córka i Armand. Tego by już było za wiele.

– Czy wiesz, jak długo wasza matka zamierza tu zabawić?

– zapytał.

Miał nadzieję, że dama przyjedzie wyłącznie na uroczystości. Podczas zbiorów naprawdę brakowało czasu na rozrywki.

Gavin najwyraźniej nie usłyszał pytania. Zamiast odpowiedzieć, patrzył gdzieś na zachód, gdzie wąska droga wiła się między dwoma szerokimi polami, na których rosło dojrzałe zboże.

– Co tam się dzieje?

Armand obrócił się na pięcie i ujrzał konia, który galopował ku zamkowi. Pobiegnął w tamtym kierunku.

– Co się dzieje? – zawołał do Lamberta Millera, gdy ten krzepki młodzieniec wstrzymał spienioną klacz. – Atak?

– Oby nie, panie. Przynajmniej taką mam nadzieję. Zatrzymaliśmy samotnego jeźdźcę, który zmierza tutaj z białą flagą. Oświadczył, że zwie się Roger z Fordham i że musi rozmawiać z lady Dominie.

Roger z Fordham? Armand znał to nazwisko. Mężczyzna ten był jego rówieśnikiem, niegdyś miał ziemię na granicy między tym hrabstwem a sąsiednim Norfolk. Czemu przybywał sam, z białą flagą? I czego mógł chcieć od Dominie?

– Co z nim zrobiłeś?

Lambert kiwnął głową ku drodze z Cambridge.

– Zmierza tutaj, panie. W eskorcie, która go pilnuje. Ja pojechałem przodem, by cię ostrzec. Jakies rozkazy?

– Tak. – Armand zacisnął powieki, żeby się skoncentrować.

– Zawiążcie mu oczy przepaską, by nie widział zbyt wiele z naszych zbiorów ani nie zauważył umocnień.

– Wedle rozkazu, panie. – Lambert zawrócił klacz.

– Jeden człowiek wystarczy, by prowadzić gościa z przepasanymi oczami! – zawołał za nim Armand. – Wyślij innych na stanowiska. Być może to próba odwrócenia naszej uwagi, kto wie, czy za nim nie zmierzają większe siły. Skieruję wszystkich, których mogę posłać, żeby cię wspomogli.

Nagle ujrzał Dominie, biegła w jego kierunku z uniesioną suknią, żeby jej nie przydepnąć.

– Co się stało? – spytała zdyszana. – Słyszałam... jakiś jeździec...

– Na razie wygląda na to, że nic nam nie grozi. – Usiłował ją uspokoić, chociaż wcale nie był pewien, czy się nie myli. – Pewien człowiek, Roger z Fordham, zmierza tu na spotkanie z tobą. Przybywa sam, z białą flagą.

– Roger z Fordham? – Dominie wypowiedziała to imię pełnym wahania, ostrożnym tonem, jakby z obawy, że powie o jedno słowo za dużo.

– Czyżbyś go znała?

– Owszem... Znałam go – odparła. – Wkrótce po twoim wyjeździe zaczął starać się o moją rękę.

– Czyżby? – Armand upomniał się w duchu, że to przeszłość i że nie ma prawa tego komentować. Mimo to z całej siły wbił paznokcie we wnętrze dłoni. – Dlaczego odrzuciłaś jego zaloty?

– A cóż cię to obchodzi?

Czy nadal nic nie rozumiała, nawet po tym, jak wytłumaczył jej, że wybór jest niemożliwy? Nawet jeśli tego nie pojęła, nie była to właściwa pora na wyjaśnienia.

– To może tłumaczyć, czego ten człowiek chce od ciebie teraz.

Zastanawiała się nad tym przez moment, po czym doszła do wniosku, że, być może, Armand ma rację.

– Ojciec go odesłał, skoro musisz wiedzieć. Oznajmił, że nie powinnam się spieszyć, że może zmienisz zdanie i jeszcze do nas powrócisz.

– Rozumiem. – Armand odwrócił się i przysłonił oczy, żeby spojrzeć na zachód. Był to jednak tylko pretekst, musiał ukryć twarz przed Dominie.

Mimo że jego wyjazd spotkał się z bardzo nieprzychylnym przyjęciem, Baldwin de Montford nadal był gotów przyjąć syna marnotrawnego pod swój dach, a nawet zezwolić na ślub z ukochaną córką.

Ta refleksja poruszyła Armanda.

– Słyszałam, że Roger dołączył do St. Maura po tym, jak obaj utracili ziemię. – Dominie skierowała spojrzenie na zachód.

Kiedy Armand zerknął na jej twarz, ujrzał, że w skupieniu marszczy czoło.

– Czego chce tym razem? – wyszeptała.

Kiedy patrzyli na jeźdźca z opaską na oczach, który jechał na koniu prowadzonym przez Lamberta Millera, Dominie zastanawiała się, co sprowadza Rogera z Fordham do Harwood. Ilu ludzi emanowałoby taką arogancką pewnością siebie w równie niesprzyjających okolicznościach?

Czy przyjechał tu, by sprawdzić ich systemy obronne? A może chciał zażądać,

by się poddali? W obu wypadkach odjedzie rozczarowany. Do tego postanowiła sprawić mu niespodziankę, która wyleczy go z arogancji.

Kiedy konie zatrzymały się przed nimi, Armand spytał:

– Co cię tu sprowadza, panie? Czy prawdą jest, że służysz temu zdrajcy, Eudowi St. Maurowi?

Roger z Fordham nie uczynił żadnego gestu, żeby ściągnąć opaskę, jakby sugerując, że zamierza ją nosić aż do chwili, w której zostanie zachęcony do jej zdjęcia.

Na dźwięk głosu Armanda przechylił lekko głowę.

– Odpowiem wyłącznie na pytania pani na Harwood.

– Grzeczniej, człowieku. – W głosie Armanda zabrzmiała irytacja. – Lepiej ochłoń, nim trafisz przed oblicze naszej pani.

Do tej chwili Dominie była wdzięczna Armandowi za to, że zdejmował z jej barków brzemię odpowiedzialności. Tym razem jednak jego zachowanie ją zirytowało.

Jakie miał prawo wtrącać się w sprawy, które mogły mieć wpływ na los jej rodziny i podwładnych jeszcze długo po jego wyjeździe?

Wyprostowała się i przemówiła z pełną godności wyższością, której nie powstydziliby się sama cesarzowa Maud.

– Widzę, że mamy gościa na dożynki. Zapraszamy serdecznie. Wybacz naszą obcesowość, lordzie Fordham, czasy są niebezpieczne. Musimy zachować ostrożność, nawet gdy witamy starych przyjaciół.

Na ustach gościa pojawił się pełen wyższości uśmiezek, zapewne miał znamionować pogardę dla Armanda.

– Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie, pani. Po ucztce porozmawiam z tobą o ważnych sprawach, które dotyczą nas obojga.

– Jak sobie życzysz, panie. – Dominie spojrzała na Lamberta – Millera. – Nakaż, by klacz naszego gościa powędrowała do stajni, a potem zaprowadź go do głównej sali zamkowej. Gdy się już tam znajdzie, pozwól mu zdjąć przepaskę z oczu. Poczęstuj go wszystkim, czego sobie zażyczy, i traktuj go z najwyższą uprzejmością. Bądź w pobliżu, by spełnić każde jego życzenie.

Lambert był bystrym młodzieńcem i doskonale rozumiał, że oznacza to, iż ma pełnić funkcję uzbrojonego strażnika dobrze traktowanego więźnia.

Popatrzył niepewnie na Dominie, potem na Armanda, po czym znów przeniósł spojrzenie na swoją panią. Kątem oka ujrzała, że Armand skinął głową, potwierdzając jej rozkazy. A niechby się ważył je zakwestionować!

Kiedy mężczyźni na wierzchowcach opuścili dziedziniec i znaleźli się na tyle daleko, by nic nie słyszeć, Armand postanowił rozmówić się z Dominie.

– Co ty wyprawiasz? Czyżbyś nie zdawała sobie sprawy z tego, jak niebezpieczny może być ten człowiek? Zapewne przyjechał tu szpiegować!

Od czasów pamiętnej rozmowy w wieży obserwacyjnej Dominie usiłowała zwalczyć pożądanie do Armanda Flambarda. Jak dotąd bez skutku, niestety.

Nawet teraz jego bliskość wywoływała w niej niepokój. Armand był naprawdę przystojnym mężczyzną o szczupłym, muskularnym ciele, błękitnych, głęboko osadzonych oczach i brązowych włosach. Na jego widok jej serce zawsze mocniej biło. Nie mogła również zaprzeczyć, że jego stanowczość również robi na niej wrażenie, chociaż bardzo często ją irytuje.

Armand Flambard wciąż był dla niej atrakcyjny, mimo iż zdołał ją przekonać, że nie czeka ich wspólna przyszłość. Bardzo ją to drażniło.

– Nawet jeśli Roger z Fordham przybył po to, żeby szpiegować, niewiele ujrzy w wielkiej sali zamkowej. Być może nawet dojdzie do fałszywych wniosków wyciągniętych z tego, co pozwolimy mu zobaczyć.

Jeśli oczekiwała, że jej słowa zdenerwują Armanda, była w błędzie. Uśmiechnął się z uznaniem.

– Opat Wilfrid miał co do ciebie rację, Dominie. Rzeczywiście jesteś niezwykłą kobietą.

Lekko zakreśliło się jej w głowie, jakby po kubku grzańca, ale pozostawił on po sobie gorzkawy posmak.

– Oszczędź mi pochlebstw! Jak mam przestać cię lubić, skoro wciąż wygadujesz takie rzeczy?

Armand natychmiast otrzeźwiał.

– A musimy przestać się lubić?

– Tak, jeśli kiedykolwiek chcemy zaznać spokoju. Gdy nadejdzie dzień, w którym postanowisz opuścić Harwood, chcę móc powiedzieć sobie: „A niech odjeżdża z Bogiem!”, a nie...

Umilkła. I tak wyznała więcej, niż należało.

– A nie... co? – zapytał.

A nie odnosić wrażenie, że wyrwałeś mi serce i wziąłeś je z sobą, pomyślała.

– Co ci do tego? Udowodniłeś już, że masz rację. Nie możemy się pobrać, skoro ślubowaliśmy przeciwnym stronom konfliktu.

Armand wyciągnął rękę. Być może pragnął ująć dłoń Dominie. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Uwierz mi, nie czerpię z tego ani przyjemności, ani satysfakcji.

– Wiem. – Pragnienie, które widziała w jego oczach, odzwierciedlało jej własną tęsknotę. Gdyby jego przysięga była równie niekwestionowana jak jej zobowiązania, być może nie potrafiłaby go zrozumieć, ale mogłaby mu współczuć.

– Nie chcę cię przeklinać, jednak trudno mi to zaakceptować. Skupmy uwagę na tym, co trzeba zrobić. Wyrzuty będziemy sobie czynili innego dnia.

Armand znowu się uśmiechnął, ale natychmiast spoważniał.

– Masz rację, musimy być praktyczni. Zaproszę ludzi z wioski i tych przybyszów z Cambridge, którzy tam zamieszkali, żeby dołączyli do nas na obchody dożynek.

Dominie z aprobatą pokiwała głową.

– Zaoptuj tyłu, ilu się uda, w broń. Porozmawiam z kucharzem i jego pomocnikami, zobaczymy, jak damy sobie radę z jedzeniem. Chcę, by Roger z Fordham wyjeżdżał stąd w przekonaniu, że jesteśmy dobrze odżywieni, dobrze uzbrojeni i z łatwością odeprzemy każdy atak.

Armand pokiwał głową.

– Jak każdy wilk, St. Maur chętniej atakuje słabszych.

Mieszkańcy Harwood nie wyglądali na słabeuszy, gdy szli w procesji z kościoła we wsi po tradycyjnej mszy, by pobłogosławić zbiory. Gavin dumnie prowadził wszystkich do zamku, niosąc symboliczny snop zboża, podczas gdy mieszkańcy wioski i część ludzi z okolicznych posiadłości śpiewała dziękczynne pieśni.

Początkowo atmosfera świąt nie była najlepsza. W kierunku gościa Dominie kierowało się wiele niezyczliwych spojrzeń, słychać było gniewne szepty.

Dominie wstała z krzesła i głośno klasnęła w dłonie.

– Niech gra muzyka, podczas gdy my będziemy biesiadowali!

Usiłowała nie patrzeć na Armanda, jednak jej wzrok wciąż wędrował w jego stronę. I choć robiła wszystko, by nie odczuwać radości na jego widok, i tak ją czuła.

Tercet kobziarzy wziął do rąk instrumenty i wkrótce salę wypełniła zwawa muzyka. Gdy przyniesiono potrawy i napoje, ludzie z Harwood zapomnieli o Rogerze z Fordham i postanowili skupić się na zabawie.

Po raz pierwszy od przybycia lady Blanchefleur Dominie czuła, że raduje ją gadatliwość matki. Najwyraźniej jaśnie pani nie słyszała o wątpliwej reputacji Rogera. Na szczęście знаła jego zmarłą matkę, mogła zatem rozmawiać z nim na bezpieczne tematy.

Dominie aż nadto pragnęła przyłączyć się do świętowania. Im więcej dni mijało od najazdu St. Maura na Cambridge, tym głębszą żywiła nadzieję, że może bandyta oszczędzi jednak jej ziemię. Przybycie niespodziewanego gościa podważyło jednak ten nieuzasadniony optymizm.

Kiedy już wszyscy zjedli i wypili, Dominie skinęła na Wata Fitzjohna i wyszeptała mu do ucha:

– Każ muzykom wynieść instrumenty przed zamek. Niech inni podążą za nimi. Muszę na osobności porozmawiać z naszym gościem.

Kasztelan pośpiesznie wypełnił polecenie. Wkrótce wielka sala zamkowa opustoszała. Kiedy przyszły służki, by posprzątać po gościach, Dominie nakazała im przyłączyć się do tańców na zewnątrz.

Potem popatrzyła na kraniec długiego stołu.

– Ty również możesz odejść, Gavinie.

– Mogę też zostać.

Armand popatrzył znacząco na chłopaka.

– Siostra powiedziała, że możesz iść.

Gavin wstał i westchnął demonstracyjnie.

– No dobrze. Nie zapominaj tylko, że za pewien czas będę panem Wakeland. – Spojrzał na siostrę. – Nie podejmuj pod moją nieobecność żadnych decyzji dotyczących moich ziem.

– To nie ma z tobą nic wspólnego.

Dominie modliła się w duchu, by była to prawda. Tak naprawdę nie miała przecież pojęcia, o czym chce z nią rozmawiać Roger z Fordham.

Chociaż słuchała uważnie tego, co miał do powiedzenia podczas posiłku, nie wspomniał ani słowem o niczym istotnym.

Po odejściu Gavina nie mogła już dłużej pohamować ciekawości.

– Panie, po przybyciu oświadczyłeś, że chciałbyś ze mną porozmawiać o istotnej sprawie. Jestem gotowa wysłuchać cię teraz.

Roger wskazał ręką pozostałych przy stole biesiadników – Armanda, lady Blanchefleur, Wata Fitzjohna, ojca Clementa i księdza z Harwood, ojca Dunstana.

– Miałem nadzieję, że odbędziemy naszą rozmowę w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach, ale niech będzie i tak.

Wstał i obszedł stół, po czym zatrzymał się tuż przed Dominie.

– Lady Dominie de Montford z Harwood, przybyłem w nadziei, że zechcesz mi oddać swoją rękę.

Pięć Armanda opadła na blat stołu.



Dominie uświadomiła sobie, że ze zdumienia szeroko otworzyła usta. Zamknęła je z wysiłkiem. Z jeszcze większym wysiłkiem odparła:

– Ale, , ależ... Kilka lat wcześniej prosiłeś o mą rękę, panie.

Odmówiłam.

Najwyraźniej nie był zaskoczony jej reakcją. Chyba nawet rozkoszował się zdumieniem, jakie wzbudził wśród zebranych przy stole.

– Zgadza się, pani. Czasy jednak się zmieniły. Nasz związek byłby zawarty ku obopólnej korzyści.

Obopólna korzyść. Roger z Fordham mówił o praktycznych sprawach. Dominie oświadczyła kiedyś Armandowi, że małżeństwo powinno się opierać na takich właśnie podstawach. Dlaczego zatem nie miała ochoty wysłuchiwać jego propozycji?

– Wybacz, panie, ale czy twoje ziemie nie uległy konfiskacie? I czy nie wszedłeś z sojusz z tym, który niegdyś był earlem Anglii?

Lady Blanchefleur jęknęła cicho, słysząc te śmiałe słowa córki.

Ciemne oczy Rogera załśniły, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Dominie.

– Lubię bezpośrednio niewiasty. To prawda, że król Stefan pozbawił mnie moich ziem i że musiałem przyłączyć się do earla, by bronić swych interesów.

– Czyli najeżdzać cudze włości? – rozległ się nagle dźwięczny głos Armanda.

Roger wyduł wargi.

– Rozmawiam z lady Dominie. Powiem wprost, pani. Walka o tron nie będzie trwała całą wieczność, ja myślę o przyszłości. Jest też pewna niecierpiąca zwłoki sprawa, którą musimy oboje rozważyć.

– Jakaż to niecierpiąca zwłoki sprawa? – Dominie nie przypadło to do gustu.

– Król zainteresował się Cambridgeshire. Zaczął odcinać nam drogi zaopatrzenia. Najazdy mego pana, St. Maura, na posiadłości naszych sąsiadów, były, obawiam się, nieco zbyt skrupulatne.

– Kiedy już złupicie wszystko, sami będziecie głodowali – orzekł Armand.

Roger spiorunował go wzrokiem, ale najwyraźniej postanowił zignorować zaczepkę.

– Mogę dopilnować, by ziemie de Montfordów pozostały...

nietknięte. W zamian za bezpieczną dostawę żywności i twoją rękę, by przypieczętować umowę.

Przez chwilę Dominie nie mogła znaleźć słów. Jeśli nie brać pod uwagę drobnych różnic, mniej więcej to samo zaproponowała Armandowi Flambardowi, gdy zaskoczyła go w klasztorze. A przecież jego współpraca w żadnym wypadku

nie gwarantowała jej bezpieczeństwa Harwood i Wakeland.

Roger z Fordham był na swój arogancki, brutalny sposób przystojny. Nie miał żadnych śladów po ospie ani widocznych braków w uzębieniu. A jednak na myśl o poślubieniu tego mężczyzny Dominie czuła, że przeszywają ją ciarki.

W końcu udało się jej odzyskać głos, nawet przyszła jej do głowy pewna wymówka. Powinna podziękować za nią Armandowi.

– Bardzo ci dziękuję, panie, za twą szlachetną propozycję.

Obawiam się jednak, że gdybyśmy mieli się pobrać, król Stefan odebrałby mi Harwood, tak jak wcześniej odebrał twoje ziemie. Wtedy twoja pozycja się nie poprawi, a moja zdecydowanie się pogorszy.

Mogłaby to zrobić dla Armanda, gdyby czasy były lepsze i bezpieczniejsze i gdyby miała pewność, że król odda Harwood przyzwoitemu panu. Jednak w obecnej sytuacji ludzie Dominie rozpaczliwie jej potrzebowali. Nie mogła odwrócić się do nich plecami i iść za głosem serca.

Roger z Fordham zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią Dominie.

– Masz bystry umysł, pani. Robi równie wielkie wrażenie jak twoja uroda. Sądzę, że zacna byłaby z nas para. Kto wie, jak bardzo pomnożylibyśmy swoje fortuny, gdybyśmy pracowali nad tym ramię w ramię.

Czyżby nie dosłyszał, co przed chwilą powiedziała? Dominie w skupieniu rozważała jego słowa. Mogła sobie wyobrazić, jakimi metodami człowiek tego pokroju próbowałby pomnażać ich majątek – zdrada, oszustwo, bezwzględność. Kiedyś z dumą oświadczyła Armandowi, że brak jej jakichkolwiek skrupułów. Teraz jednak zajrzała w głąb swej duszy i odkryła, że nie miała racji.

Po krótkiej chwili milczenia Roger z Fordham dodał:

– To co twierdzisz, pani, jest prawdą, sądzę jednak, że dałoby się przezwyciężyć ten problem. – Gestem wskazał zebranych przy stole biesiadników.  
– Moglibyśmy nakazać tym ludziom milczenie i trzymać nasze małżeństwo w tajemnicy, póki nie będzie bezpiecznie ogłosić je przed światem.

Dlaczego sama o tym nie pomyślała, kiedy Armand postawił ją przed arcytrudnym wyborem? Było to praktyczne rozwiązanie i nie do końca niehonorowe. Tak jak wiele razy wyjaśniała Armandowi, człowiek, który postępuje w ten sposób, nie kłamie, jedynie nie zdradza całej prawdy. Może faktycznie pasowała do ludzi takich jak Roger z Fordham. Na tę myśl zrobiło się jej słabo.

– Obecnie rzeczywiście nie dysponuję majątkiem ziemskim – ciągnął Roger – ale zebrałem niewielką fortunę dzięki łupom.

Może nam ułatwić życie w nadchodzącej przyszłości.

Dominie była w stanie to sobie wyobrazić. Kościelna taca, przeznaczona do użytku sakralnego, obecnie przetopiona na złoto i klejnoty. Skarby skradzione uczciwym mieszkańcom Cambridge albo z zamków jej sąsiadów. Wolałyby chodzić nago, niż nosić piękne stroje kupione za brudne pieniądze.

Pokiwała głową, by dać do zrozumienia, że dotarły do niej jego słowa. Mogła się tylko domyślić, co Armand sądzi o Rogerze i jego oświadczeniach. Niestety, nie miał dla niej żadnej rozsądnej alternatywy.

– Wy tłumaczyłeś mi korzyści płynące z twojej propozycji, panie. Nie przeczę, że są kuszące. Jeśli jednak odmówię?

– Byłoby to wielce nierozsądne. – Chociaż Roger nie zmienił tonu, doskonale słyszała groźbę w jego głosie. – Wołałbym widzieć, jak Harwood i Wakeland kwitną, a nadwyżki żywności sprzedajecie nam za przyzwoitą cenę.

By Wilk i jego wataha mieli co jeść, kiedy będą napadali mniejsze posiadłości i bezbronne kościoły. Czy mogła bronić swoich ludzi kosztem innych nieszczęśników?

– Jeśli jednak odrzucisz moje oświadczenia, pani, nie będę w stanie zapewnić ci odpowiedniej ochrony – kontynuował Roger. – Nie wiem, kiedy mój pan złoży ci wizytę, zapewniam cię jednak, że z całą pewnością to zrobi. Może wierzysz, że gromada chłopów uzbrojonych w widły i sierpaki powstrzyma nas przed zabraniem tego, co chcemy, i zniszczeniem reszty, ale jeśli naprawdę w to wierzysz, nie jesteś aż tak bystra, jak sądziłem.

– Hańba! – zakrzyknął ojciec Clement.

– Och mój Boże! – Lady Blanchefleur zaczęła wachlować się dłonią. – Co za okropne groźby. Dusza twojej biednej matki, panie, nie zazna spokoju, póki robisz wszystko, by nie dostąpić zbawienia.

– Proszę wybaczyć, pani. – Roger z Fordham złożył jej głęboki ukłon. – Nie zamierzałem cię przygnębiać. Pragnę tylko, by twa urodziwa córka wiedziała, jaki ma wybór. Naprawdę nie chciałbym, żeby stała się wam krzywda, jednak w tak niepewnych czasach człowiek musi przede wszystkim pilnować własnych interesów. Nie wolno mu się cofnąć przed tym tylko dlatego, że coś wydaje mu się odrażające. Cel uświęca środki.

Mimo eleganckiej formy wypowiedzi nie zdołał ukryć szyderstwa w głosie ani też zawołanej groźby. Lady Blanchefleur oddychała coraz szybciej.

– Na Maryję zawsze dziewicę, czuję, że lada moment zemdleję! – zawołała.

Roger z Fordham spojrzał na nią z nieskrywaną pogardą.

– Proszę nam wybaczyć – oświadczyła Dominie. – Muszę zająć się matką.

– Chcę usłyszeć odpowiedź – upierał się Roger z Fordham. – Dość czasu zmarnowałem, patrząc, jak udajecie, że wszystko – jest w porządku i że jesteście przygotowani na atak. Nie dałem się zwieść, i ty, pani, też nie powinnaś, jeśli zależy ci na przyszłości.

Armand zerwał się na równe nogi.

– Uważaj na słowa, łotrze!

– Pani, uspokój tego bezzębnego psa – rzekł Roger z lekceważeniem. – Jego warczenie mnie drażni.

– Błagam, Armandzie. – Popatrzyła na niego, milcząco prosząc, by nie pogarszał tej i tak okropnej sytuacji. Potem spojrzała na starszego z duchownych. – Ojczye elemencie, czy odprowadzisz moją matkę do komnaty i dopilnujesz, by zadbano tam o jej potrzeby?

Dominie pomogła lady Blanchefleur wstać z krzesła.

– Proszę, nie wprowadzaj się sama w taki stan – dodała. – Idź z ojcem, napij się nieco wina i wypocznij. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Jak może być dobrze, moja droga? – Lady Blanchefleur nie czuła się tak fatalnie od dnia, w którym doszły ją wieści spod Lincoln, że zarówno jej małżonek, jak i syn, zginęli na polu walki. – Nie wolno ci wyjść za tego łotra, nawet jeśli mowa jego jest gładka. Twój ojciec nigdy go nie szanował. – Przycisnęła palce do zarumienionych policzków. – Co się jednak z nami stanie, jeśli go odtrącisz? Och, biada nam, biada!

Dominie popatrzyła matce prosto w oczy i odezwała się najspokojniejszym i najbardziej stanowczym tonem, na jaki było ją stać w tej sytuacji. Czuła się zupełnie roztrzęsiona, nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

– Zaufaj mi. Potrafię podjąć właściwą decyzję. Zrobię to, co będzie najlepsze dla nas wszystkich.

Czyli co?

Gdyby tylko sama wiedziała.

Lady Blanchefleur wydawała się nieco spokojniejsza.

– Jesteś córka swojego ojca, najdroższa. – Ujęła ojca Clementa pod ramię. – Pomodłę się, by Pan pokierował twoimi czynami.

Potrzeba mi raczej cudu, pomyślała Dominie. Ostatnio jednak zdarzało się zadziwiająco niewiele cudów.

Choć kroki matki i duchownego ucichły, Dominie nadal stała nieruchomo. Zamknęła oczy i w duchu zaczęła się modlić tak żarliwie, jak nie modliła się od dnia, w którym porzucił ją Armand Flambard. Modliła się o to, by tym razem Bóg

jej pomógł.

Tak naprawdę przecież nie miała wyboru, prawda? Często w młodości złościło ją, że mężczyźni dysponują znacznie większą władzą niż kobiety, że to oni podejmują decyzje, one zaś niewiele mają do powiedzenia. Teraz uświadomiła sobie, że wybór może być również przekleństwem, nie przywilejem. W tej sytuacji zły wybór mógł się odcisnąć piętnem nie tylko na jej życiu, ale i na życiu bardzo wielu innych ludzi.

Musiała się zgodzić na małżeństwo z Rogerem z Fordham. Tak podpowiadała jej praktyczna natura. Tylko w ten sposób Dominie mogła zapewnić swym wasalom i ziemiom bezpieczeństwo. Nagle, z przerażającą jasnością, uprzytomniła sobie, że nigdy nie zależało jej na żadnym mężczyźnie tak bardzo jak na Armandzie Flambardzie. Skoro nie mogli być razem, powinna poślubić kogoś, kto z pewnością nie zajmie w jej sercu miejsca Armanda.

Nagle ciszę w pomieszczeniu przerwał głos Rogera.

– Cierpliwie czekałem na twoją odpowiedź, pani, ale dłużej już nie mogę pozwalać sobie na zwłokę. A zatem co wybierasz: dostatek i władzę czy też zniszczenie?

Chociaż Dominie otworzyła oczy, nie mogła nie myśleć o tym, że stoi na skraju przepaści.

– Ja... – Gdyby tylko nie musiała wypowiadać tych słów!

Drgnęła, słysząc nagle skrzypnięcie krzesła. Odwróciła się i ujrzała, że Armand wstał.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, a on wypowiedział tylko jedno słowo:

– Czekaj!

## Rozdział 14

– Czekaj! – To słowo mogło równie dobrze odnosić się do niego samego jak i do Dominie lub Rogera z Fordham.

Co zamierzał zrobić? Nawet nie chciał o tym myśleć z obawy, że mógłby się wycofać. Cóż by to oznaczało dla Dominie? Dla mieszkańców Harwood?

Odkąd Roger z Fordham otworzył usta, Armand przez cały czas walczył z sobą. Każde słowo z ust barona-bandyty utwierdzało go w przekonaniu, że Dominie nie może kupczyć swoją przyszłością ani też duszą. Nie wolno jej poślubić tego człowieka i stać się współniczką jego zbrodni.

Cóż mógł jednak na to poradzić?

Zabronić jej? Nie był ani jej ojcem, ani bratem, chociaż niegdyś liczył na to, że połączy ich małżeństwo. Nie był również panem Harwood, nawet jeśli Dominie twierdziła, że jest władcą prawem serca.

Wątpił, by dawało mu to prawo do wypowiedzania się w tej kwestii, niezależnie od tego, co na ten temat sądził. A bardzo mocno to przeżywał, chyba mocniej niż wszystko dotychczas.

Nie mógł patrzeć na to, jak Roger z Fordham usiłuje wykorzystać Dominie i zagarnąć Harwood.

Czy jednak Armand mógł poświęcić honor i ideały, żeby powstrzymać tego niegodziwca i szantażystę?

Wszystkie te sprzeczne z sobą myśli krążyły w jego głowie i odbierały mu spokój. Potem Roger z Fordham postawił Dominie ultimatum i Armand nie miał się już nad czym zastanawiać. Musiał przemówić, musiał działać.

Słowo „czekaj!” wyrwało mu się z ust przede wszystkim po to, by jeszcze przez chwilę opóźnić podjęcie decyzji.

Spojrzenia wszystkich zebranych w sali skierowały się ku niemu. Ludzie czekali, a na ich twarzach widniały rozmaite emocje, od nadziei i wiary, po nieufność i wzgardę. To właśnie oblicza tych pierwszych niepokoiły go bardziej niż tych drugich, gdyż pojął, że obarczają go oni odpowiedzialnością, której, być może, nie zdoła udźwignąć. Zaczął się modlić w duchu o wskazówki, chociaż nie czuł się godzien odpowiedzi.

– Trzymaj się od tego z daleka, Flambard! – ostrzegł Roger z Fordham. – To sprawa między tą damą a mną. Ty nie masz tu nic do powiedzenia.

– Niech mówi. – Dominie uniosła dłoń. – De Montfordowie i Flambardowie są

sprzymierzeńcami od niepamiętnych czasów. Chociaż nie ma tu mojego ojca, który mógłby mi doradzić, jestem pewna, że chciałby, abym wysłuchała rady Armanda.

Może, stojąc przed tak okropnym wyborem, i ona liczyła na to, że coś go opóźni?

Nie istniało dobre rozwiązanie, pozostawał jedynie wybór mniejszego zła. Właśnie od takich sytuacji Armand usiłował uciec, gdy wstąpił do zakonu. I z taką sytuacją, jak twierdził opat Wilfrid, musiał się skonfrontować.

– Lady Dominie nie może cię poślubić, panie. – To byłoby największe zło. Armand rozumiał, że musi wziąć na siebie odpowiedzialność za mniejsze, które zaraz popełni, by zapobiec najgorszemu. – Ja mam pierwszeństwo ustanowione przez jej zmarłego ojca. Zamierzam je teraz wykorzystać... jeśli naturalnie lady Dominie mi na to pozwoli.

Wcale nie był pewien, czy Dominie się zgodzi. Nie po tym wszystkim, co zaszło. Jeśli mu odmówi i przyjmie oświadczyzny Rogera z Fordham, zrobi to, gdyż uzna takie postępowanie za mniejsze zło. Z pewnością rozumiała, że Roger obroni jej ludzi. Przy Armandzie nie mogła mieć takiej pewności.

– Oszalałeś? – spytał Roger. – Co niby masz jej do zaoferowania? Modły? Pobożny mamrot?

Pięć lat temu Armand wyzwałby go na pojedynek za obelgi, które usłyszał dziś pod swoim adresem.

– Dominie będzie potrzebowała nie tylko moich modłów, jeśli twój podły szantaż odniesie skutek! – odparł tylko.

– Dość! – Dominie przycisnęła palce do skroni. – Przestańcie obaj! Niby jak mam pomyśleć, kiedy wrzeszczycie na siebie?

Roger z Fordham nisko się uklonił.

– Proszę mi wybaczyć, pani.

Nieznaczna zmiana w jego tonie uświadomiła Armandowi, że Roger nie jest pewien wyboru Dominie. Może jednak Wilk z Fenlands nie był taki niezwyciężony, jak wszyscy sądzili, skoro członkowie jego watahy zabezpieczali sobie tyły, gotowi skryć się, gdy fortuna odwróci się od ich pana.

Dominie uprzejmie skinęła głową, dając Rogerowi do zrozumienia, że mu wybaczają.

– Czy mogę zamienić słowo na osobności z lordem Flambardem? – zapytała nieoczekiwanie. – Chciałabym dobrze zrozumieć warunki jego oświadczyzny.

– A dlaczego ja musiałem składać ci propozycję publicznie?

– Roger najwyraźniej poczuł się urażony. – Flambardowi wolno wyszeptać

swoją w sekrecie?

Armand postanowił, że tego nie skomentuje, nie wytrzymał jednak.

– Może dlatego, iż udowodniłem, że lady Dominie nie musi się mnie obawiać.

– No jasne – prychnął Roger. – Nie musi się nawet obawiać, że skorzystasz z okazji i ją zniewolisz, mnichu!

Gdyby tylko wiedział! Gdyby znał prawdę! Na myśl o tym, z czym wiązałoby się małżeństwo z Dominie, Armand poczuł, że zalewa go fala gorąca. Zaczął się też zastanawiać, czy oby na pewno składa jej tę propozycję wyłącznie ze szlachetnych pobudek.

Czy nie mógł pozwolić, by Dominie ściągnęła na siebie hańbę, wychodząc za tego bandytę? Czy też po prostu nie mógł znieść myśli, że trafiłaby w ramiona innego mężczyzny?

Kiedy Dominie usłyszała, że Armand proponuje jej małżeństwo, przyszło jej do głowy, że śni. Albo że może raczej nagle otrząsnęła się ze straszliwego koszmaru, z którego od lat, bez powodzenia, usiłowała się wyzwolić.

Czy jednak to będzie ucieczka? Wszystko zależało od tego, na jakich warunkach pragnął jej Armand. Swoich czy jej?

Jeśli wciąż upierał się przy przysiędze złożonej cesarzowej, to poddani Dominie nie odnieśliby z takiego mariażu żadnych korzyści. A właściwie byłoby im jeszcze gorzej, niż gdyby postanowiła poślubić Rogera z Fordham.

Kiedy obaj mężczyźni zaczęli na siebie warczeć niczym ogary nad smakowitą kością, miała ochotę złapać ich za karki i trzasnąć jedną rozpaloną głową o drugą. Zażądawszy, by powściągnęli języki, napawała się poczuciem władzy, ale prośba o chwilę rozmowy z Armandem sprawiła, że awantura wybuchła na nowo. Oskarżenie Rogera, że Armand nie byłby w stanie jej zniewolić, głęboko dotknęło Dominie.

Zanim Armand zdołał cokolwiek odpowiedzieć, chwyciła go za przegub.

– Chodź! – Pociągnęła go za sobą. – Musimy porozmawiać... ponownie.

– Byle szybko! – zawołał za nimi Roger. – Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia i nie będę tracił czasu przez niemądre gierki.

– Mogę sobie wyobrazić, jakie sprawy ma do załatwienia ten łotr – wymamrotał Armand cicho, by usłyszała go jedynie Dominie. – Założę się, że zamierza najechać Harwood.

Było to bardzo prawdopodobne. Na myśl o tym Dominie poczuła, że wszystkie smakołyki z uczyty podchodzą jej do gardła. Czy jej rozrzucone, niewielkie



posiadłości byłyby w stanie wytrzymać najazd, skoro poddało się nawet takie potężne miasto jak Cambridge?

Nawet jeśli na czele jej ludzi stanąłby Armand Flambard?

Kiedy dotarli do alkowy, odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że zamierzasz mnie poślubić? – spytała pełnym napięcia szeptem. – Czy był to tylko podstęp, żeby zwieść Rogera i żebym go odprawiła?

Musiała to wiedzieć. Armand ujął jej rękę.

– Dobrze wiesz, że nigdy nie żartuję w takich sprawach.

Ciepło i dotyk jego ręki sprawiły, że złość Dominie się ulotniła. Chociaż jego poglądy i zapatrywanie na świat nie zawsze jej odpowiadały, wiedziała, że może mu ufać, że Armand mówi to, co myśli, a co najważniejsze – dotrzymuje obietnic.

– Wiem. – Ucisnęła jego palce. – Ale jak to możliwe, że mówisz poważnie? Chyba już wolę wyjść za tego diabła... – skinęła głową w kierunku sali – niż stać z boku i patrzeć bezradnie, jak odbierają mi Harwood, by podarować je komuś, kto, być może, nawet nie będzie umiał go strzec.

– Wcale ci się nie dziwię. – Armand wydawał się bardzo smutny, ale i pogodzony z losem. – Nie musisz się jednak niczego obawiać. Nie zamierzam wykorzystywać swojego pierwszeństwa, by zaproponować ci gorsze warunki niż nasz wróg. Zrobię, co będzie trzeba, byś nie wypadła z łask króla przez to, że ofiarowałaś mi swą rękę.

Dominie zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno się nie przesłyszała.

– Nie zamierzasz dotrzymać przysięgi złożonej wcześniej cesarzowej?

Armand skinął głową.

– Jeśli będzie trzeba. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, jeśli jednak tak się stanie, masz moje słowo, że zrobię wszystko, by strzec i ciebie, i Harwood.

– I będziesz się potem zastanawiał, jak żyć z sobą, jeśli faktycznie to zrobisz?

Jej pytanie sprawiło, że z ust Armanda dobiegł niewesoły śmiech, zakończony westchnieniem.

– Zapewne. – Natychmiast jednak spoważniał. – Będzie mi znacznie łatwiej żyć z sobą, jeśli złamię przysięgę na wierność cesarzowej, niż jeśli przystanę na to, byś ty razem z Harwood wpadła w łapy tego drania.

Mimo wyjątkowo niesprzyjających okoliczności Dominie poczuła się pokrzepiona. Zatem Armand wyżej sobie cenił lojalność niż honor, który był mu tak drogi. Rozumiała, że niełatwo podjąć taką decyzję.

Czy gdyby znajdowali się w odwrotnej sytuacji, ona zapomniałaby o honorze i

swoich obowiązkach, by zrobić dla niego to samo?

Armand wpatrywał się w nią badawczo.

– Nie mogę cię jednak oszukiwać i zapewniać, że Harwood z pewnością będzie bezpieczne. Zrobię, co w mojej mocy, by chronić twe ziemie, gdy St. Maur zaatakuje, co bez wątplenia nastąpi. Mam nadzieję, że zdołam przekonać mieszkańców Harwood, by poszli za mną. To jednak może nie wystarczyć.

– Wiem – wyszeptała.

Martwiło ją, że nie umie ślepo zaufać Armandowi i zdać się na niego. Przez wiele, wiele lat wierzyła, że potrafi on niemal wszystko. Nawet gdy odszedł i próbowała go znienawidzić, nie mogła przestać myśleć o nim jak o bohaterze.

Jej podziw nie miał wcale swojego źródła w innych uczuciach, które do niego żywiła. Teraz zresztą wcale nie była pewna, co to za uczucia. Podpowiadały jej, by bez zastrzeżeń przyjęła oświadczenia Armanda, podczas gdy rozum sugerował, że nie jest to najpraktyczniejsze wyjście i że w ten sposób niekoniecznie zapewni bezpieczeństwo swoim ludziom.

– Kiedyś powiedziałaś – zaczął Armand – że aby uratować siebie i poddanych, zrobiłabyś to, co uznałabyś za słuszne, i zapomniała o jakichkolwiek skrupułach.

Dominie pokiwała głową. To rzeczywiście były jej słowa. Znowu pomyślała o tym wiosennym dniu, gdy po raz pierwszy padły z jej ust. Wtedy naprawdę w nie wierzyła, bez zastrzeżeń.

– Teraz dobrze rozumiem, co miałaś na myśli – powiedział Armand. – Jesteś gotowa bardzo wiele poświęcić dla dobra tych, którzy są od ciebie zależni. To rozumiałe. W kwestii mojego przywiązania do ideałów... Obawiam się, że często byłem zbyt dumny i samolubny. Nie poświęciłem ani jednej myśli cenie, jaką inni płacą za to, by mój honor pozostał niesplamiony, a sumienie czyste. – Na jego przystojnej twarzy pojawił się żal i zmiękczył nieco ostre męskie rysy. – Teraz jednak chodzi o coś więcej niż tylko o perspektywę przetrwania. Jeśli przystaniesz na ten pakt, nawet kierując się jak najszlachetniejszymi pobudkami, obawiam się, że splamisz swoją duszę i dusze tych, którzy na tobie polegają.

Nadal trzymając Dominie za rękę, Armand przyklęknął przed nią.

– Zaklinam cię, podejmij ryzyko. Obiecuję, że poruszę niebo i ziemię, byś nigdy nie pożałowała swojego wyboru.

– Wystarczy! – krzyknął Roger z Fordham. – Dałem wam dość czasu. Teraz domagam się odpowiedzi.

– Dostaniesz odpowiedź, panie. – Lekko skinęła głową, by Armand wstał. – Obaj dostaniecie.

Podjęła ostateczną decyzję. Teraz musiała wziąć pod uwagę konsekwencje.

Kiedy Dominie równym krokiem i ze stanowczym wyrazem twarzy powróciła do stołu, Armand szedł tuż za nią, usiłując przygotować się na wysłuchanie oświadczenia. Przynajmniej rozumiał teraz żal, który do niego żywiła przez te wszystkie lata. Pomyślał, że zachował się arogancko, podejmując decyzję, która miała tak głęboki wpływ na życie tej dziewczyny, a nawet nie posłuchał jej rady ani nie wytłumaczył się słowem.

Teraz, gdy znaleźli się w odwrotnej sytuacji, ona poświęciła mu znacznie więcej uwagi niż on jej pięć lat wcześniej. Co jednak nie oznaczało, że łatwiej byłoby mu znieść jej odmowę.

Dominie dygnęła przed Rogerem z Fordham.

– Bardzo ci dziękuję za cierpliwość, panie – oświadczyła.

Armandowi ścisnęło się serce. Żadna kobieta nie okazywałaby takiej uprzejmości adoratorowi, którego postanowiła odprawić z kwitkiem.

Najwyraźniej Roger doszedł do tego samego wniosku. Na jego wyniosłej twarzy pojawił się uśmiech.

– Ufam, że podjęłaś rozsądną decyzję, na której wszyscy skorzystamy.

– Podjęłam jedyną decyzję, z którą będę w stanie żyć.

Mimo iż Armand głęboko potępiał to, co zamierzała uczynić, poczuł nagle współczucie dla Dominie.

– Chociaż twoja propozycja niezmiernie mnie kusi, panie, lord Flambard ma jednak pierwszeństwo. Obawiam się, że muszę ci odmówić.

Początkowo jej słowa nie dotarły do Armanda. Zrozumiał, co to oznacza dopiero wtedy, gdy Roger z gniewem skoczył ku stołowi.

– Głupia dziewczko! Odrzucasz mnie dla tego piewcy psalmów?

Na szczęście dla wszystkich młody Lambert Miller zachował przytomność umysłu. Stał na drodze Rogera i wyciągnął sztylet.

– Stój, łotrze!

Wat Fitzjohn podniósł się z krzesła.

– Pojmać go!

Ludziom z Harwood nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W drzwiach pojawili się strażnicy i po chwili otoczyli Rogera, który nie stawiał szczególnego oporu.

Może wcale nie zamierzał obrażać Dominie i czynić żadnych niepokojących gestów. Najwyraźniej jednak jej odmowa wytrąciła go z równowagi, gdyż liczył na

przychylność i małżeństwo.

– Puście mnie, głupcy! – wrzasnął. – Z pewnością nie wyrządziłbym waszej pani takiej krzywdy, jaką ona sama zamierza wyrządzić sobie i wam wszystkim. Przemówcie jej do rozumu albo będzie z wami naprawdę źle.

Armand zaczął się zastanawiać, czy mieszkańcy Harwood woleliby służyć Rogerowi z Fordham niż jemu. A gdyby zwarli szyki i postanowili przekonać Dominie do zmiany decyzji, czy by ich posłuchała?

– Trzymaj język za zębami! – warknął Wat Fitzjohn.

Armand odniósł wrażenie, że strażnicy jeszcze mocniej chwycili więźnia. Wdzięczność za ich lojalność walczyła w nim z niepokojem o to, ile ich będzie kosztował ten opór.

Fitzjohn odwrócił się do stołu. W jego głęboko osadzonych oczach pojawił się dziwny błysk.

– Pani, może powinniśmy nieco dłużej zatrzymać naszego gościa? – zaproponował. – Dzięki temu jego pan dwa razy się zastanowi, nim dojdzie do wniosku, że pragnie odebrać nam zbiory.

– To ciekawa propozycja – przytaknęła Dominie, zanim Armand zdążył zaprotestować.

– Przybyłem tu nieuzbrojony, na negocjacje! – Twarz Rogera była blada jak płótno.

Armand pomyślał, że St. Maur z pewnością okazałby się znacznie groźniejszy od wszystkich tu zebranych, gdyby dowiedział się, co też knuł Roger z Fordham za jego plecami.

Po raz pierwszy, odkąd Dominie zdradziła swoją decyzję, Armand poczuł, że może mówić.

– Ten człowiek ma rację. Przybył tutaj w pokoju. Okrylibyśmy się hańbą, gdybyśmy przetrzymywali go wbrew jego woli. Skoro chce odejść, niech odejdzie.

– Hańbą? – Dominie popatrzyła na niego z błyskiem w oku. – Czyżbyś przypuszczał, że St. Maur będzie przejmował się takimi błahostkami? Jeśli wysłemy do tego szubrawca emisariusza, bardzo prawdopodobne, że odeśle go nam w kawałkach, a na sam początek dostaniemy odciętą głowę.

Mieszkańcy Harwood zgodnie pokiwali głowami, nie wyłączając księdza. Wyraz twarzy Rogera również świadczył o tym, że baron-bandyta powątpiewa w honor swego pana.

Armand pokręcił głową.

– Wątpię, by St. Maur przestrzegął konwenansów. I właśnie dlatego my

musimy. Jeśli pozwolimy, żeby to on dyktował nam normy postępowania, wtedy dopuścimy do tego, by ukraść coś więcej niż tylko zbiory.

Patrzył, jak zastanawiają się nad jego słowami. Wiedzieli, że mówi prawdę, jednak nie mogli jej zaakceptować.

– A co gorsza, w ten sposób staniemy się jego współnikami – dodał.

Kiedy spojrzął na Dominie, pomyślał z obawą, że być może to, co za chwilę musi powiedzieć, sprawi, iż utraci wszystko, co zdołał tak nieoczekiwanie zyskać. Nauczył się od niej, że moralność ma rozmaite odcienie, jednak pewne rzeczy wciąż pozostają czarne i białe.

A to była jedna z takich rzeczy.

– Jeśli mam zostać twoim mężem i panem Harwood – zacisnął pięść i delikatnie postukał kostkami o blat stołu – nalegam, żebyśmy zachowali się w tej sprawie z honorem. Jeśli Roger z Fordham nie odjedzie stąd wolno, wtedy... ja będę musiał odjechać.

– Do licha, Flambard! – Dominie aż się zatrzęsła ze złości. – Nigdy nie bywasz bardziej denerwujący niż wtedy, gdy masz rację.

Niektórzy szeroko otworzyli usta ze zdumienia. Armand był jednym z nich.

– Tak, dobrze słyszałeś – warknęła. – Nie nadużywaj mojej cierpliwości, nie zamierzam się powtarzać.

Może dlatego, że nie była w stanie na niego patrzeć, spojrzała na innych mężczyzn, w tym na swojego wroga.

– Uszanowanie dla zasad rozejmu i negocjacji to coś więcej niż górnolotna zasada. To po prostu rozsądek.

Próbowała przekonać innych czy też samą siebie?

– Nawet wśród wrogów – ciągnęła, z każdą chwilą coraz pewniej – muszą istnieć warunki porozumienia i zaufanie w najpilniejszych kwestiach. Eudo St. Maur może sobie nie przestrzegać zasad, jeśli jednak my pierwsi je złamiemy, zaprzepaścimy jakąkolwiek szansę na negocjacje, kiedy ta szansa będzie nam potrzebna.

Nawet z cnoty potrafiła uczynić powinność! Armand z trudem ukrył uśmiech. Obawiał się, że jeśli Dominie zauważy jego rozbawienie, będzie z nim źle.

Roger z Fordham nie był aż tak dyskretny. Uśmiechnął się szeroko.

– Niezwykła z ciebie kobieta, lady Dominie. Zaczyna byłaby z nas para. Jeszcze nie jest za późno, możesz zmienić zdanie.

Jeśli dojdiesz do wniosku, że nie chcesz wychodzić za lorda Cnotę, daj mi znać. W innym wypadku pozostaje obawa, że nasze następne spotkanie odbędzie

się w mniej serdecznych okolicznościach. – Jego uśmiech zmienił się w nieprzyjemny grymas. – Wołałbym raczej widzieć cię w małżeńskim łóżu niż na ostrzu sztyletu, gdy twój zamek będzie płonął.

Armand poczuł, że zalewa go fala gorąca. Nim zdołał pomyśleć, powściągnąć złość, jego dłoń chwyciła za rękojeść miecza. Jeszcze chwila, a wyzwąłby szubrawca na pojedynek, zanim jednak zdążył złamać przysięgę, przemówiła Dominie. Nie raczyła zareagować na obrzydliwą groźbę Rogera. Zamiast tego wskazała mu ręką wyjście, jakby pragnęła oczyścić salę z jego odrażającej obecności.

– Przewiążcie mu oczy opaską, posadźcie go na konia, zawieźcie w to miejsce, w którym się na niego natknęliście, i puśćcie go wolno.

Kiedy Lambert Miller niedelikatnie wiązał ciemną szmatkę na oczach Rogera, Dominie po raz ostatni odezwała się do niechcianego gościa.

– Spróbuj tylko podpalić mój zamek, nie mówiąc już o nadziewaniu mnie na sztylet, a sam się przekonasz, jaka jestem niezwykła.

Armand rozluźnił palce zaciśnięte na rękojeści miecza, ale nie mógł się uwolnić od niepokoju. A jeśli zawiedzie Dominie i Harwood? Jeśli Roger z Fordham spełni ohydny groźbę?

Lambert i inni wypchnęli gościa z zawiązanymi oczami. Armand pozostał sam na sam z kobietą, z którą już po raz drugi się zaręczył.

W pomieszczeniu, tak nagle wyludnionym, zapadła nienaturalna cisza. Dominie nie wydawała się już władczą, jedynie błada i zamyślona. Z westchnieniem opadła na stojące najbliżej krzesło.

– O niebiosa – wymamrotała i powoli pokręciła głową. Mam nadzieję, że słusznie postąpiliśmy.

Armand położył ręce na jej ramionach, po czym pochylił się i oparł policzek na czubku jej głowy.

– Tylko czas pokaże, czy należało się tak zachować, najdroższa. Ja jednak ufam całym sercem, że postąpiliśmy słusznie.

– Chyba masz rację. – Nie wydawała się przekonana, jednak pochyliła głowę i oparła ją na jego ramieniu. – Pewnie będzie to niewielka pociecha, kiedy nasze nozdrza wypełnią się dymem z płonącego drewna.

– Nie dopuszczę do tego. – Armand przyklęknął obok krzesła. – Przysięgam ci, zrobię wszystko, co zdołam...

Nim skończył, uniosła dłoń i delikatnie dotknęła czubkami palców jego ust.

– Nie składaj przysięg pozostających w sprzeczności z tymi, które już mi

złożyłeś. W takim wypadku będziesz się czuł rozdarty, bez powodzenia usiłując ich dotrzymać.

Popatrzyła przenikliwym wzrokiem na Armanda. Dostrzegła wszystkie jego wady i słabości i je akceptowała.

– Rób, co możesz, i bądź wierny sobie. To mi wystarczy.

Nigdy, nawet gdy przybył do klasztoru, mając na sumieniu śmierć Baldwina de Montforda, Armand nie czuł się aż do tego stopnia nic niewart.

Oderwała palce od jego ust.

– Powinniśmy wezwać moją rodzinę i poprosić ojca Clementa, by był świadkiem naszej przysięgi małżeńskiej. Tak byłoby najrozsądniej, w końcu to dzięki niemu do nas powróciłeś.

Jakże kusząca propozycja! Kilka słów wypowiedzianych w obecności poczciwego ojca i już Armand mógłby spędzić ze swą wybranką dzisiejszą noc. Pragnął jej równie mocno jak tamtego dnia na dziedzińcu, gdy pożądanie sprawiło, że rzucił się jej do stóp. Jednak od tego czasu zakwitło w nim także inne uczucie. I właśnie ono sprawiło, że powiedział:

– Nie śpieszmy się. Zdobędę twoją rękę w bitwie przeciwko St. Maurowi. Wtedy uczymy to weselem.

Prawdziwy powód opóźnienia zatrzymał dla siebie. Jeśli miał zginąć w walce z Wilkiem, nie chciał, by Dominie musiała tłumaczyć się przed obliczem niezadowolonego króla, dlaczego poślubiła wroga.

## Rozdział 15

– Jeśli St. Maur zamierza przypuścić na nas szturm, to niechże wreszcie bierze się do roboty i nie trzyma nas dłużej w niepewności – powiedziała Dominie, spoglądając na wschód z wieży obserwacyjnej zamku Harwood.

Zdawało się, że nawet pogoda wstrzymuje oddech.

Dotąd lato było słoneczne i suche, tylko czasami przerywane krótkotrwałymi, lecz intensywnymi ulewami, często w nocy. Słowem, wymarzona pogoda dla rolników.

Tego dnia nad okolicą zawisła gęsta mgła, a nieznośny upał pozbawiał sił życiowych zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Tylko muchy zdawały się rozkoszować skwarem. Ciężkie powietrze oklejało wszystkie przedmioty i tłumilo odgłosy z dołu. Na pastwisku w oddali było legło na brzuchach i machając ogonami odpędzało natrętne muchy, które stadami siadały na szerokich grzbietach ofiar.

– Czy tu na górze jest chłodniej? – Kilka ostatnich stopni Gavin pokonał ciężkim krokiem.

Dominie pokręciła głową.

– Nie na tyle, by zadawać sobie trud i tutaj przychodzić – zapewniła go z westchnieniem. – Lepiej może być w Wakeland, ostatecznie tam jest wyżej.

– Na pewno nie na tyle chłodniej, by się fatygować. – Gavin uśmiechnął się łobuzersko i oparł o niską barierkę, która okalała szczyt wieży. – Daj spokój, siostro. Nie dam się wygonić do Wakeland wtedy, gdy zaczyna być ciekawie.

– Atak St. Maura nie zapowiada się na interesujące zdarzenie, wierz mi – zapewniła go i rękawem otarła czoło. – Wszyscy będą się bili, krew poleje się strumieniami.

Chociaż chciała, by zabrzmiało to groźnie, jej brat sprawiał wrażenie rozentuzjasmowanego.

– Prawie całe zboże jest już w spichlerzach. Na co więc czekają?

– Niech czekają! – wrzasnęła Dominie, zapominając, że jeszcze niedawno życzyła sobie jak najrychlejszego ataku. – Nie śpieszy mi się do spotkania i ty też powinienes pohamować zapał. Dobrze wiesz, że gdyby coś ci się stało, mama by tego nie przeżyła.

– Co mogłoby mi się stać? – zachnął się. – Jestem łucznikiem. Armand powtarzał nam po tysiackroć, że gdy tylko rozpęta się bitwa, łucznicy mają się ukryć i razić wroga z bezpiecznych stanowisk.



– Wszystko to bardzo piękne. – Dominie chwyciła brata za rękę. – Musisz mi jednak obiecać, że w razie odwrotu pozostaniesz w kryjówce i nie ruszysz do boju. Ewentualnie uciekniesz, aby nas ostrzec.

– Zrozumiano – odrzekł niezadowolony. – Au! Nie ściskaj tak mocno! – zawołał, a gdy poluzowała chwyt, momentalnie jej się wyrwał. – Jak możesz mówić, że nastąpi odwrót, skoro naszym – dowódcą jest Armand Flambard? Wiesz co, siostrze, brakuje ci wiary w narzeczonego. Kiedy zamierzacie wziąć ślub?

Sama się nad tym głowiła. Matka wielokrotnie sugerowała, że najwyższy czas na zawarcie małżeństwa, aż w końcu dała za wygraną i wróciła do Wakeland.

– Gdy przyjdzie stosowna pora – oświadczyła Dominie wyniośle, nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

Dostrzegła dobre i złe strony ślubu z Armandem, i wyczekiwała uroczystości zarazem pełna entuzjazmu i obaw.

Konfrontacja z Rogerem z Fordham głęboko ją poruszyła. Wiedziała, że gdy Armand zostanie jej mężem i panem na Harwood, ona i jej wasale będą rządzili silną ręką człowieka o wzniosłych ideałach, gotowego realizować zamierzenia bez względu na koszty. Obiecał jej, że ani ona, ani jej poddani nie ucierpią z powodu jego dawnej przysięgi. Problem w tym, że w nadchodzących latach mogły się pojawić jeszcze tysiące innych niepokojących spraw.

Wiosną odszukała Armanda i zaproponowała mu małżeństwo. Postąpiła tak dlatego, że uważała go za jedyne gwaranta bezpieczeństwa jej oraz jej bliskich i poddanych. Teraz wyczuwała, że Armand może się stać źródłem zagrożenia, niemniej był jej zbyt drogi, aby z niego zrezygnować.

– Dominie?

Natychmiast przygotowała się do udzielenia zdecydowanych odpowiedzi na kolejne natrętne pytania Gavina.

– Co znowu?

Gavin wyciągnął rękę.

– Co to takiego?

Po grzbiecie Dominie przeszły ciarki.

– Tam? – Wbiła wzrok w kierunku wskazanym przez brata. Nie dostrzegła nic nadzwyczajnego.

– Tuż za wzniesieniem. Dym... Może kurz...

Kurz. Teraz wyraźnie dostrzegła to, czego wypatrywała. W oddali, zza niewielkiego pagórka, wzbijał się tuman szarobrazowego pyłu. Wyteżyła wzrok, jej oczom ukazała się niewyraźna sylwetka. Kłusował ku nim koń, w pośpiechu

niezwykłym jak na tak leniwy dzień.

Dominie zamarła. Zwierzę szybko zbliżało się do wioski, lecz na jego grzbiecie nie widziała jeźdźca. Po chwili jednak dostrzegła drobną postać, kurczowo przytuloną do szyi rumaka. Wewnętrzny głos podpowiedział Dominie, że to sygnał, którego wyczekiwała i który napawał ją lękiem.

Ponownie uściśnieła bratu dłoń, tym razem z jeszcze większą siłą.

– Biegnij po Armanda! – rozkazała stanowczo.

Puściła chłopca, a on momentalnie wystrzelił przed siebie niczym strzała. Nogi niosły go błyskawicznie po schodach, w pośpiechu pokonywał po trzy, cztery stopnie naraz.

Dominie popędziła za nim, podnosząc wysoko rąbek sukni. Za grubymi, drewnianymi ścianami zamku, panował względny chłód, lecz nie on sprawił, że zadrżała.

– Armand!

Gdy usłyszał, jak rozgorączkowany Gavin wykrzykuje jego imię, poczuł na plecach ciarki.

Momentalnie przerwał rozmowę z młynarzem.

– Co jest, młodzieńcze? – spytał krótko.

– Koń... – Gavin dyszał ciężko, a jego klatka piersiowa gwałtownie się unosiła i opadała. – Cwałuje... od północy. Dominie... mnie przysłała... żebyś przyszedł.

Armand spojrzał na drogę w samą porę, by ujrzeć konia pociągowego, przemierzającego galopem wieś. Na grzbiecie zwierzęcia siedział chłopiec młodszy od Gavina. Wasale Dominie właśnie w taki sposób mieli przekazać wiadomość, że ich posiadłości znalazły się w niebezpieczeństwie.

Armand rzucił się pędem w kierunku zamku, lecz w pewnej chwili nieco zwolnił i obejrzał się na chłopca i młynarza.

– Zawiadomcie wszystkich we wsi! – krzyknął. – Niech mężczyźni zbiorą się na dziedzińcu!

Do zamku ciągnęły już grupy gotowych do walki mężczyzn. Najwyraźniej wieśniacy również zauważyli posłańca i wiedzieli, co w związku z tym czynić.

Dominie zastała go przy bramie. Jej grube, kasztanowobrzazowe warkocze były upięte na głowie niczym miedziana korona. Twarz miała bladą, oczy błyszczące ze strachu, lecz mocno zaciśnięte usta świadczyły o zdecydowaniu.

– Które? – spytał zwięźle.

– Harrowby – odparła błyskawicznie. Wymieniła nazwę jednego z trzech lenn, zdaniem Armanda najbardziej narażonych na atak. – Młody Robert Bybrook.

Chłopak najadł się strachu, to oczywiste, ale nie jest ranny. Wszystko wskazuje na to, że to ostrzeżenie.

Armand ponuro skinął głową.

– Zatem musimy pośpieszyć im z pomocą. Wyślijcie jeźdźca do Wakeland, aby sprowadził jak najwięcej wolnych mężczyzn.

– Umyślny już siodła konia.

Jakżeby inaczej. Dominie o wszystkim pomyślała.

Ufali sobie. Wierzyli w siebie. Nawzajem troszczyli się o swoje bezpieczeństwo. Oboje pragnęli choćby jeszcze jednej godziny, którą mogliby spędzić na rozmowie o tym, o czym dotąd nie mówili. Kto wie, przecież następnego dnia taka okazja może się nie nadarzyć.

Chciałby tak stać i patrzeć jej w oczy całymi godzinami. Jednak wzywały ich powinności.

– Pora przywdziać zbroję – rzekł z westchnieniem Armand. Chętniej stawiliby czoło tysiącowi wrogów, niż rozstał się z Dominie.

– Pomogę ci. – Złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku dziedzińca, gdzie trwały gorączkowe przygotowania.

Niebezpieczeństwo sprawiło, że leniwy dzień odszedł w zapomnienie.

Mężczyźni kręcili się przy kuźni, pobierali broń. Inni zajęli się siodłaniem wierzchowców, a pozostali wkładali grubą, skórzaną odzież i żelazne hełmy. Nikt im nie musiał przypominać, że każda zmarnowana chwila może zaowocować niekorzystną zmianą przebiegu bitwy.

– Zajmij się swoim koniem! – zawołała Dominie, usiłując przekrzyczeć harmider. – Ja pójdę po zbroję.

Umknęła tak szybko, że nie miał czasu na wątpliwości. Czar jej bliskości przysł. Armand poszedł do stajni.

Dominie błyskawicznie była z powrotem, obładowana...

– Ta zbroja nie należy do mnie – oświadczył stanowczo. W jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– Nic nie szkodzi, ta jest lepsza – zapewniła go Dominie.

– Mówiła stanowczo, tonem nieznoszącym sprzeciwu. Solidna kolczuga z żelaznej siatki głośno zadźwięczała, gdy Dominie wręczała ją Armandowi. – Masz, przymierz.

– Ale przecież... – zaprotestował nieśmiało. – To własność twojego ojca.

– Nie przeczę. Przyniosłam ci jego drugą ulubioną zbroję. Pancierz twojego ojca byłby dla ciebie za ciasny, lepiej się nada dla kogoś z innych wojowników.

– Niewykluczone, niemniej...

– Nie trać czasu na przypominanie mi, jak pokłóciłeś się z moim ojcem. Dość powiedzieć, że wiem, iż chciałby ci ofiarować tę zbroję.

Nie czekając na odpowiedź Armanda, Dominie nasunęła mu jeden z rękawów na ramię.

Następnie przyciszyła głos, aby jej słowa dotarły wyłącznie do jego uszu.

– Jeśli nie zamierzasz dobywać miecza, to musisz dysponować jak najlepszą ochroną. To najdoskonalszy pancerz, jakim dysponujemy. Zapomnij o dumie i o wyrzutach sumienia.

Zrób to. Przywdziej zbroję. Dla mnie. Zapewnisz mi choć trochę spokoju, a tego mi teraz najbardziej potrzeba.

Miał zbyt ściśnięte gardło, aby odpowiedzieć. Skinął tylko głową i szeroko się uśmiechnął.

Nie ulegało wątpliwości, że Dominie spodziewała się większego oporu z jego strony.

– A jednak jesteś zdolny do racjonalnych zachowań – pochwaliła go z lekkim przekąsem.

Pomimo licznych obaw Armand uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– I nieoczekiwanych – dodał z humorem, gdy pomagała mu wkładać kolczugę.

– Tego nie powiedziałam. – Pomimo niewątpliwego strachu jej oczy załśniły.

– Ale pomyślałaś, prawda? – Ich pogawędka wyraźnie rozluźniła atmosferę niespokojnego wyczekiwania.

– Niewykluczone – przyznała i popatrzyła na Armanda z czułością. Zrozumiał, że jej na nim zależy, choć dzielą ich tak ogromne różnice. Przyszło mu do głowy, czy ich odmienności przypadkiem się nie przyciągają.

Wkrótce stał w pełnej zbroi, podobnie jak większość jego ludzi. Nie śmiał przedłużyć pożegnania z Dominie, choć ogromnie pragnął spędzić z nią więcej czasu. Wsunął dwa palce do ust i donośnie gwizdnął.

W jednej chwili harmider na dziedzińcu ustał i oczy wszystkich skierowały się na Armanda.

– Ci, którzy są gotowi, na koń! – zawołał. – Zbiórka za murami!

Ponownie rozległ się gwar, kiedy zbrojni stopniowo opuszczali plac. Konie stępa miały bramę, niektóre prowadzone za uzdę, inne z jeźdźcami w siodłach. Na części wierzchowców zasiedli dodatkowi wojownicy, drobniejszej budowy. Armand nie zwracał jednak uwagi na wyruszających w bój ludzi.

W tym momencie interesowała go wyłącznie Dominie. Chwycił ją w ramiona i

pocałował w usta, głęboko i mocno.

Drgnęła zaskoczona. W następnej chwili objęła jego twarz dłońmi. Wyczuł na sobie zaciekawione spojrzenia. Miał świadomość, że postępuje wbrew zasadom, że nie powinien tak zaborczo całować Dominie na oczach licznie zgromadzonych poddanych. Jej dotyk, zapach i smak sprawiły jednak, że zapomniał o obyczajności.

Czy to możliwe, że to cudowne niepohamowanie było swoistą cnotą? Ta myśl poruszyła Armanda do głębi, niczym lśniący promień słońca, zawierający w sobie całą energię świata.

– W drogę. – Usta Dominie wykrzywiły się buntowniczo, gdy wypowiadała te dwa słowa, które teraz wydały się jej okropne. Na szczęście poczucie obowiązku i siła woli nie osłabły w niej ani trochę. – Już pora.

Powiedziała to bardziej do siebie niż do Armanda.

Dla dobra wszystkich w Harwood i Wakeland musiała wyzwolić się z bezpiecznej przystani objęć Armanda i wysłać go razem z przypadkową zbieraniną wojowników, aby przeciwstawili się bandzie okrutnych, bezlitosnych łotrów.

Przypomniała sobie, jak przekonał ją do odłożenia ślubu, i poczuła przykrą gorycz. Dostałaby za swoje, gdyby teraz pojechał do boju i nie wrócił.

Postawił ją na ziemi i wypuścił z rąk.

– Rzeczywiście nie mogę zwlekać.

Pochylił się, aby złożyć pocałunek na jej policzku.

– Nie zamierzam uchybiać twojej godności, recytując litanie wszystkiego, co musisz robić, gdy odjedziemy. Doskonale znasz swoje obowiązki.

Wiara Armanda ją wzruszyła, lecz najchętniej wysłuchałaby wszystkich jego rad od pierwszej do ostatniej. Co z tego, że je znała, skoro pragnęła rozkoszować się brzmieniem jego głosu jeszcze przez wiele godzin?

– Bez obaw. Będę doglądała spichlerzy i zadbam o każdego, kto poprosi mnie o pomoc i wsparcie. Gdy wrócisz, sam się przekonasz, jak dobrze sobie radziłam.

– Nie wątpię – mruknął.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, zjawił się Gavin, z łukiem i kołczanem przewieszonymi przez ramię. Jego lekka zbroja wyglądała tak, jakby wkładał ją w pośpiechu.

– Armandzie, przepraszam, że kazałem ci czekać. – Chłopak był zadyszany, widać było, że odkąd Dominie odesłała go z wieży obserwacyjnej, bez przerwy biegał. – Zawiadomienie wszystkich ludzi na polach musiało trochę potrwać.

– Nie kazałeś mi czekać, sam zwlekałem z wyruszeniem w drogę – zapewnił go Armand. – A teraz koniecznie musimy jechać, nim Wilk i jego wataha przybędą

tutaj, by wzniecić pożogę.

Wspiał się na siodło i wyciągnął ręce do Gavina, aby go posadzić za sobą. Dominie pomyślała, że pewnie potrafi czytać w jej myślach, bo powiedział:

– Przywiozę dzieciaka z powrotem do domu, całego i zdrowego. Bez obaw – dodał.

Potrząsnął wodzami, a rumak spokojnie ruszył w kierunku bramy, którą mijali ostatni zbrojni.

Dominie uniosła suknię, aby jeszcze przez chwilę biec u boku Armanda i brata.

– Masz dbać o siebie! – krzyknęła do Armanda. – Niech nic ci się nie stanie, bo musisz sprowadzić mojego brata! Rozumiesz, co mówię, Flambard?

Skinął głową i uśmiechnął się półgębkiem. Doskonale wyczuwał ironię w jej głosie.

– Rozumiem cię wybornie – potwierdził. – O mnie się nie martw.

– Będę się martwiła, kiedy zechcę i z każdego powodu, jaki mi przyjdzie do głowy. – Chciała, by jej głos zabrzmiał hardo, lecz słabość do Armanda złagodziła jej ton.

Armand i Gavin zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Nieopodal płytkiej fosy otaczającej Harwood zebrała się mała grupa wioskowych chłopców, mniej więcej w wieku Gavina. Wszyscy oni przybyli po to, by obserwować, jak ich ojcowie, wujowie i bracia wyruszają do boju z bandytami St. Maura.

Dominie przywołała ich skinieniem ręki.

– Czeka nas nawał pracy – oznajmiła. – Nie mamy czasu do stracenia. Chcę, byście zebrali jak najwięcej przyjaciół, których matki nie potrzebują pomocy, i sprowadzili ich tutaj. Musimy działać, póki nie jest za późno. Ty i ty – wskazała palcem dwóch najwyższych i najmocniej zbudowanych młodzików. Jeden z nich miał krótkonogiego psa, który przycupnął u jego stóp. – Idźcie po bydło oraz owce, i sprowadźcie je wszystkie do zamku. Robocze woły umieśćcie w pustych stajniach. Tylko spiszcie się dobrze, to odpowiedzialne zadanie.

– Tak jest, jaśnie pani! – zakrzyknęli chłopcy zgodnym chórem i pognali do pracy.

– Reszta zbierze świnie z całej wsi i ukryje je w lesie – zakomenderowała. – Potem pośpieszcie z powrotem do zamku.

Jeden z chłopców wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, być może zachwycony perspektywą ganiań za trzodą chlewną, czynnością dotąd surowo zakazaną.

– Jaśnie pani – odezwała się jakaś szczupła dziewczynka. – A co z gęsiami i kurczakami?

– Bystra mała – pochwaliła ją Dominie. – Gęsi zagnajcie razem ze świniami, jeśli się uda. Kurczaki zostawcie, niech się same bronią. – Dominie porozumiewawczo mrugnęła okiem.

– Za dużo z nimi zachodu.

– Tak jest, jaśnie pani. – Dziewczynka się odwróciła i pobiegła za przyjaciółmi, którzy przepychali się energicznie przez tłum wieśniaków, szukających schronienia w zamku.

Na widok rozbrykanych dzieci jedna ze staruszek zmarszczyła brwi i z niezadowoleniem pokręciła głową.

– Ach, ta młodzież – wymamrotała. – Dla tych dzieciaków wszystko jest tylko przygodą, głuptasy. Strach pomyśleć, ale nie minie wiele dni i będą tonęły we łzach.

Dominie wzięła starowinkę za pomarszczoną rękę.

– Mateczko, czyż nie lepiej dla nich, że się śmieją i cieszą życiem, póki mogą? – spytała rozsądnie. – Wystarczy, że my, dorośli, rozumiemy powagę sytuacji i możemy się modlić o bezpieczeństwo dla nas wszystkich.

– Tak, tak, trzeba się modlić – przytaknęła staruszka, przeżegnała się wolną ręką i ze smutkiem pokręciła głową. – Tylko to nam zostało, skoro wysoko urodzeni toczą z sobą boje.

– Wszyscy w Harwood i Wakeland ruszyli do boju z St. Maurem i jego siepaczami – zauważyła Dominie. – Każdy walczy najlepiej, jak potrafi. Czy zechcesz wdrapać się na wieżę i tam spędzić dzień, czy też raczej wolisz ukryć się na murach?

Stara wieśniaczka uniosła palec i wycelowała go w kuźnię.

– Syn mojej siostrzenicy jest kowalem – oznajmiła. – Na pewno chętnie mnie przyjmie pod swój dach.

Dominie pomogła jej pokonać resztę drogi do domu kowala.

– Lord Flambard od dawna pracowicie się przygotowywał na ten dzień – zapewniła starowinkę i zastanowiła się, kogo chce przekonać: ją czy raczej siebie? – Nie obawiaj się. On wie, co uczynić, by zwyciężyć.

– Zasługuje na zwycięstwo – odparła kobieta. – To pewne. Ale przez te wszystkie lata zbyt często widywałam łotrów na tronach i ucziwych ludzi w nieszczęściu.

Zanim Dominie zdołała odpowiedzieć coś sensownego, kobiecina kilka razy

pociągnęła nosem, jakby węszyła.

Niebo pociemniało, odkąd Dominie zeszła z wieży obserwacyjnej. Ile czasu minęło? Co najmniej godzina.

Dominie odniosła wrażenie, że kilka dni.

Przez ten czas upał nie zelżał, choć pojawił się lekki, ale wyczuwalny wiatr.

– W powietrzu unosi się dym – zakomunikowała starucha złowróbnym, ponurym głosem – i woń krwi.

Żona kowala stanęła na progu domu, a gdy rozpoznała starą ciotkę męża, podbiegła, by pomóc jej przekroczyć próg. Dominie rozstała się z nią bez żalu.

Pomyślała, że zasiane przez starowinkę ziarno strachu, które szybko kielkowało, można zdusić wyłącznie ciężką pracą.

Przez kilka następnych godzin pilnie i energicznie wykonywała swoje obowiązki, aż w końcu owce i krowy kręciły się po dziedzińcu, a budynki w obrębie murów po brzegi wypełniły się ludźmi, tak samo przerażonymi i przejętymi jak ona.

Przez wzgląd na załęcznionych poddanych, na wszelkie sposoby usiłowała poprawiać atmosferę i rozładowywać napięcie. Zapewniła wieśniaków, że niebezpieczeństwo wkrótce minie. Na każdym kroku dawała im do zrozumienia słowem, spojrzeniem i gestem, że niedługo będą mogli powrócić do własnych domów i skupić się na przygotowaniach do zimy, bezpieczni i pewni, że choć Eudo St. Maur jest draniem, nie będzie aż tak głupi, by ryzykować następną potyczkę z gospodarzami z Harwood i Wakeland.

W końcu, gdy wszyscy byli już nakarmieni, każdy znalazł zakątek do spania, a z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, zmordowana Dominie z trudem weszła na wieżę obserwacyjną.

Na widok swej pani młody strażnik wyprężył się jak struna.

– Jakies istotne wieści? – spytała.

– Nic, jaśnie pani. Jakiś czas temu wydało mi się, że na północy widzę dym, ale równie dobrze mogły to być tylko ciemniejsze chmury.

Dominie miała taką nadzieję. Teraz, gdy zabrakło jej pracy, naszły ją ponure myśli na temat przygnębiających uwag staruszki o dymie i zapachu krwi w powietrzu.

– Zejdź i przynieś sobie coś do jedzenia – poleciła strażnikowi. – Zastąpię cię, choć w deszczową noc nie ma czego wypatrywać.

– To prawda, jaśnie pani. – Chłopak ruszył po schodach. – Zaraz wrócę, abys mogła udać się na spoczynek.



Dominie nie odpowiedziała. W głębi serca czuła jednak, że nie spocznie, póki na własne oczy nie ujrzy Gavina i Armanda, całych i zdrowych.

A jeśli ten czas nigdy nie nadejdzie? Umysł płał jej figle, drwił z niej. Powinna była uczynić wszystko, co w jej mocy, aby skłonić Armanda do ślubu przed wyjazdem na bitwę.

Przynajmniej trafiłaby do jego łóżka.

## Rozdział 16

Armand pierwszy wyczuł woń dymu.

Wszystkie zmysły mu się wyostrzyły. Momentalnie dostrzegł kłęby dymu na stalowoszarym niebie i zorientował się, że ogień musiał szaleć nie dalej niż półtora kilometra stąd. Jego spojrzenie powędrowało po rzędach drzew wzdłuż drogi i wkrótce spoczęło na niewyraźnych postaciach mężczyzn, którzy opuszczali kryjówkę, aby się z nim spotkać.

Armand podniósł rękę.

– Jesteś szybki jak błyskawica, jasnie panie! – zawołał Harold Bybrook. – Jeszcze przez pewien czas nie spodziewaliśmy się ciebie.

– Twój chłopak świetnie sobie poradził. Dotarł do nas w okamgnieniu. Ktoregoś dnia będzie zeń pierwszorzędnym rycerz. – Armand skinął głową w kierunku ognia. – Jakie wieści?

– Wszystko przebiega zgodnie z twoim planem, jasnie panie. – Pomimo faktu, że płonąć musiała jego stodoła albo dwór, Harold przemawiał z ponurą satysfakcją. – Ktoś mógłby pomyśleć, że wydałeś ludziom St. Maura odpowiednie instrukcje, które teraz sumiennie wykonują.

– Czy St. Maur osobiście poprowadził atak?

– Tego nie wiem, jasnie panie. Gdy zabrzmiał sygnał alarmowy, uczyniłem wszystko, co mi przykazałeś. Kazałem osiodłać najszybszego konia i niezwłocznie wysłałem do Harwood chłopaka, a za nim resztę rodziny.

Armand pokiwał głową.

– Spotkaliśmy ich na drodze – potwierdził. – Do tej pory powinni już dotrzeć na miejsce.

– Puściliśmy wolno zwierzęta – ciągnął Bybrook. – Potem wraz z ludźmi zebrałem broń i podążyłem do lasu. Dołączyli do nas inni, z sąsiednich majątków. Wszystko wskazuje na to, że wataha Wilka rabuje resztki, których nie wywieźliśmy lub nie ukryliśmy.

– Miejmy nadzieję, że postanowili posmakować piwa. – Armand zaśmiał się z zadowoleniem.

Był to jeden z chytrych pomysłów Dominie, która postanowiła uzupełnić plan Armanda o własny, przebiegły wkład. Baryłki mocnego, wyrazistego w smaku trunku rozwieszono do najbardziej narażonych na atak posiadłości. Rzecz jasna, alkohol zawczasu zaprawiono pewnym zielem, niebywale cenionym ze względu na

silne właściwości przeczyszczające.

Gdy Armand zaprotestował, przekonany, że uczciwa walka rządzi się innymi zasadami, Dominie zauważyła z przekąsem:

– Niekiedy się zastanawiam, czy jest dla ciebie choćby cień nadziei, Flambard. Przecież nie przyłożysz tym ludziom sztyletów do gardeł i nie zmusisz ich do picia. Sprawa jest prosta:

jeśli postanowią spożyć to, co zagrabią, sami będą sobie winni.

A ty skorzystasz na tym, że przeciwstawia ci się pijani wrogowie z opuszczonymi spodniami.

Armand wybuchnął śmiechem tak silnym, że rozboleły go boki. Musiał przyznać Dominie rację.

Harold Bybrook popatrzył na niego z błyskiem w oku.

– Sądzę, że nie oparli się pokusie – oświadczył rozpromieniony.

– Zatem ruszajmy do boju, póki jeszcze nie zaszło słońce i możemy odróżnić jednego bandytę od drugiego.

Jego rozkaz pośpiesznie powtórzono i mężczyźni oraz chłopcy, którzy jak Gavin jechali z kimś na doczepkę, zaczęli zeskakiwać z koni i szykować broń. Wszyscy zgromadzili się wokół Armanda, aby w milczeniu wysłuchać, jak powtarza plan bitwy, który wielu z nich potrafiłoby wyrecytować z pamięci w środku nocy. Tymczasem Armand spoglądał w twarze podkomendnych i zastanawiał się, ilu z nich zginie lub odniesie rany w ciągu najbliższych godzin.

– Bierzcie do niewoli każdego, kto się podda – przykazał zbrojnym. – Niech ucieka każdy, kto zechce powrócić do Fenlands. – Odwrócił się do Gavina i pozostałych łuczników. Łucznicy, nie wychylajcie się spoza kryjówek i strzelajcie tylko wtedy, gdy cel będzie wyraźnie widoczny. Oslaniajcie się nawzajem. Walczcie mężnie i honorowo. Niech Bóg ma was wszystkich w opiece.

Większość zebranych pośpiesznie się przeżegnała i rozeszła na wyznaczone stanowiska.

Armand poprowadził swoją kolumnę konnicy. Jechali drogą, by zatrzymać się jak najbliżej majątku, ale jednocześnie pozostawać poza polem widzenia. Z oddali dobiegały donośne śmiechy i krzyki. Znowu pomyślał z czułością o Dominie, która wpadła na pomysł z piwem.

Teraz nie pozostało im nic innego, jak tylko zaczekać na łuczników i piechurów. Nie śmiał myśleć, co mogłoby się stać, gdyby on i jego ludzie ustąpili pola najeźdźcom. Jak jednak należałoby interpretować zwycięstwo? Czy powinien to odebrać jako oznakę przychylności bożej? Formę odkupienia? Im dłużej

rozważał tę ewentualność, tym bardziej prawdopodobna mu się wydawała. Nic dziwnego, że tracił cierpliwość. Wyczekiwanie go męczyło, chciał już działać.

Dręczyła go tylko jedna wątpliwość. Był absolutnie pewien, że jeśli ulegnie pokusie i złamie przysięgę, obligującą go do unikania przemocy, wówczas zaprzepaści wszelkie szanse na przyszłość z Dominie.

Nagle zabrzmiał dźwięk rogu – sygnał dla łuczników z Harwood, by wystrzelili pierwszą salwę. Skończył się czas na przemyślenia. Kilka koni za plecami Armanda zarżało i ruszyło naprzód.

Momentalnie odwrócił się w siodle.

– Czekajcie na róg, niech weń zadną po raz drugi – uprzedził najbardziej skorych do bitki. – Niech łucznicy mają szansę wykonać swoją robotę.

Operację należało starannie rozłożyć w czasie. Gdyby koni nadciągnęli zbyt szybko, utrudniliby zadanie łucznikom. Jeśli zwlekaliby zbyt długo, wówczas bandyci mogliby zagrozić lekkozbrojnym strzelcom.

Sygnalista ponownie zadał w róg, a gdy wysoki, czysty dźwięk dotarł do Armanda, ruszył on pędem do boju, a za nim pogalopowała reszta konnych. Wszyscy się zorientowali, że zew był zdecydowanie za krótki i gwałtownie się urwał.

– Do ataku! – ryknął Armand na wypadek, gdyby przerwany sygnał dezorientował jego podkomendnych.

Wzniósł miecz i poprowadził szarżę. Jednocześnie modlił się, by Bóg dał mu siłę i pozwolił powstrzymać się przed zadaniem ciosu wrogowi. Złamanie ślubu było przecież jednoznaczne z narażeniem duszy na jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo.

W następnej chwili stało się jasne, że ta bitwa niczym się nie różni od żadnej innej, w której uczestniczył. Panował chaos. Ludzie się miotali, bili, wrzeszczeli, ryczeli.

Tego dnia Armand odparował wiele ciosów, jednocześnie zmagając się z dusznościami spowodowanymi dymem z płonącego drewna oraz strzech. W pewnym momencie był bliski zadania ciosu jednemu z napastników, bo śmierć zajrzała mu w oczy, lecz w ostatniej chwili powstrzymał rękę. Jednocześnie usłyszał świst strzały i dobrze wycelowany grot powalił łotra. Ani ludzie St. Maura, ani podkomendni Armanda nie zorientowali się, że pozostając w samym środku batalii, Armand nie robi nikomu krzywdy.

Po pewnym czasie stało się jasne, że w bitwie zyskują przewagę mieszkańcy Harwood.

Nic w tym dziwnego – tworzyli przecież wytrwałą gromadę, gotową bronić domów i zbiorów. Armand podejrzewał jednak, że napastnicy muszą być coraz bardziej wygłodniali po tym, jak puścili z dymem i zrujnowali okoliczne wsie. Liczebność stron pozostawała zbliżona, lecz lud z Harwood uczył się bitewnego rzemiosła tylko przez ostatnie miesiące. Agresorzy zgłębiali tajniki walki przez całe życie i nic innego nie potrafili. Dodatkowo byli uzbrojeni po zęby, niektórzy z Harwood zaś dysponowali co najwyżej kosą na sztorc, kijem lub widłami do przerzucania siana.

Już dawno temu ludzie St. Maura przyzwyczaili się do tego, że na ich widok ofiary z reguły biorą nogi za pas. Ta sytuacja zdecydowanie rozleniwiła niegodziwą watahę i odebrała jej czujność. Podkomendni Armanda dodatkowo korzystali ze starannie opracowanego i wyuczonego planu ataku.

Nie sposób też nie wspomnieć o tym, że zbójce dali się zaskoczyć w sytuacji przewidzianej przez Dominie: z opuszczonymi spodniami.

Mimo tych przeciwności rzucili się do boju z zapałem, zapewne rozwścieczeni faktem, że ofiary mają czelność im się przeciwstawić. Armand nigdzie nie dostrzegł samego Euda St. Maura. Być może jego łotry obawiały się tego, co im grozi, jeśli powrócą z pustymi rękami.

Bez względu na to, co powodowało napastnikami, nie zamierzali ustępować pola. Mimo zajadłości nieprzyjaciela mężczyznom z Harwood stopniowo udawało się zdobywać przewagę. Armand nabrał przekonania, że jeśli utrzymają dotychczasową siłę natarcia, wówczas szala zwycięstwa zdecydowanie przechyli się na ich stronę.

Armand odparował cios maczugi jakiegoś krępego łotra i oddalił się, by nie kontynuować wymiany ciosów, gdy nagle zerknął w bok i ujrzał Rogera z Fordham, który uważnie mu się przyglądał. Błysk satysfakcji w oku Rogera nie pozostawił Armandowi cienia wątpliwości. Wróg poznał jego pilnie skrywaną słabość.

Rezultat takiego obrotu zdarzeń mógł być tylko jeden: nieprzyjaciel skutecznie wykorzysta tę wiedzę tak, aby Armand Flambard poniósł druzgoczącą klęskę.

Zostali pokonani. Wszystko przepadło.

Dominie ogarnął strach, gdy ujrzała w oddali mężczyzn z Harwood, wlokących się do domu po bitwie. Nawet z wieży obserwacyjnej mogła stwierdzić, że ich krok jest chwiejny i ociężały, jakby każdy pokonany metr drogi musieli okupić trudnym do zniesienia wysiłkiem. Wielu wlokło za sobą broń.

Także konie sprawiały wrażenie wyczerpanych. Już nie niosły ludzi na

grzbietach – zaprzężono je do prowizorycznych sań, na których złożono rannych... lub poległych.

Dominie pośpiesznie odmówiła modlitwę w intencji szczęśliwego powrotu Gavina i Armanda.

Następnie zrobiła to, czego z pewnością oczekiwałby od niej Armand. Zapomniała o desperacji i ruszyła na dziedziniec, gdzie wydała kilka krótkich rozkazów. Chciała, aby bydło i owce natychmiast powróciły na pastwiska.

Zakładała, że jeśli bandyci nie depczą po piętach zmordowanym obrońcom Harwood, to może starczy czasu na przeprowadzenie zwierząt do Wakeland. Póki co, należało zrobić w zamku miejsce dla ludzi.

– Przynieście miotły i łopaty! – zawołała. – Trzeba uprzątnąć łajno.

Posłała kilka kobiet po jedzenie i piwo, parę innych po lecznicze zioła, gorącą wodę i materiał do owijania ran. Każdy, kto pojawił się w zasięgu jej wzroku, otrzymywał pracę do wykonania. Doświadczenie nauczyło ją, że odpowiedzialność to najlepsze antidotum na rozpacz i depresję.

Gdy nie przychodziły jej do głowy już żadne obowiązki, którymi mogłaby się zająć, i zabrakło poddanych gotowych przystąpić do pracy, Dominie straciła resztki cierpliwości. Wyczekiwanie na wieści o powracających ją męczyło i nie dawała sobie rady ze świadomością, że mogło im się przytrafić najgorsze.

Już wcześniej nakazała otwarcie bram, a łucznikom osłanianie uciekinierów. Teraz wymknęła się z zamku i pobiegła na spotkanie powracających mężczyzn.

Na skraju wioski leżącej w sąsiedztwie zamku napotkała kasztelana, Wata Fitzjohna.

– Wielu ludzi straciliśmy? – Dominie przygotowała się na najgorsze.

– Mnóstwo naszych jest rannych – odparł cichym, bezbarwnym głosem. – Ale żaden nie zginął... póki co.

– Chwała Bogu! – wykrzyknęła Dominie. – Zatem jeszcze zdołamy stanąć na nogi. Nie wolno wam się obwiniać. Jestem pewna, że walczyliście jak lwy, lecz co robić, kiedy natrafi się na przeważające siły... Nasz wróg jest dobrze uzbrojony i zajadły jak najkrwawsze bestie.

Jeśli ktokolwiek powinien wziąć na siebie winę za klęskę, to z pewnością ona. Roger z Fordham dał jej szansę uniknięcia dramatu. Jego warunki wydały się jej odrażające, niemniej, być może, powinna była je przyjąć.

Tak bardzo skupiła się na potępianiu siebie, że ledwie dotarły do niej słowa Wata.

– Tak, racja – potwierdził. – Krwiożercze z nich bestie, ale daliśmy im tęgiego

łupnia i zmykali co tchu, gdzie pieprz rośnie!

– Co takiego? – Oslupiała Dominie chwyciła Wata za ramiona. – Pokonaliście ich? Zmusiliście do odwrotu?

– Do tego stopnia oswoiła się z myślą o klęsce, że wiadomość o zwycięstwie wprawiła ją w oszołomienie.

Przyjrzała się uważnie powracającej kolumnie i w ostatnich jej szeregach dostrzegła spętanych z sobą nieznanym. Więźniowie? Wielkie nieba, to musiała być prawda!

Wyczerpany Wat z trudem skinął głową.

– Pani, nie każ mi się zatrzymywać, bo jeśli przystanę, nie dam rady zrobić następnego kroku.

Dominie puściła jego prośbę mimo uszu i rzuciła się go wyściskać. Po jej policzkach spływały łzy.

– Jeśli upadniesz, sama zaniosę cię do zamku. Na własnych plecach – dodała.

Łucznicy, przyglądający się im z bramy, usłyszeli okrzyk Dominie:

– Zwycięstwo! Wilk uciekł z podkulonym ogonem! Jesteśmy ocaleni!

Strzelcy momentalnie przekazali dobre wieści załodze zamku. W następnej chwili na dziedzińcu zabrzmiał donośny okrzyk radości. Wszyscy uciekinierzy: kobiety, dzieci, starcy, szerokim strumieniem wylali się z zamku, wiwatując, śmiejąc się i płacząc ze szczęścia. Wkrótce obiegli kolumnę wybawicieli, aby szukać krewnych, ofiarować im jedzenie, picie i gorące uściski.

– Dominie!

Na dźwięk głosu brata odwróciła się i nagle Gavin na nią wpadł. Zderzenie omal nie zważyło Dominie z nóg, lecz chłopak w ostatniej chwili otoczył siostrę ramionami. Po raz pierwszy poczuła, jak nabrał sił po szkoleniu łuczniczym.

Odwzajemniła jego krzepki uścisk. Nie posiadała się z radości, a ulga dodawała jej mocy.

– Dotrzymałeś słowa? – Odsunęła go na wyciągnięcie ramion i uważnie obejrzała od stóp do głów. – Jesteś ranny?

– Mam tylko siniaka albo dwa – odparł Gavin pogodnie. – Umieram z głodu, mógłbym połknąć jeża z kolcami. Poza tym czuję się jak nowo narodzony. Ale to była bitwa! Żałuj, że jej nie widziałas. Armand spisał się na medal. Mógłbym przysiąc, że walczył w trzech miejscach jednocześnie. I jeszcze zagrzewał nas do walki, kiedy byliśmy bliscy odwrotu!

– Gdzie jest Armand? – Dominie się rozejrzała, ale go nie dostrzegła wśród rozentuzjasmowanego, świętującego tłumu. Dziwne, przecież powinien prowadzić

swoich ludzi z powrotem do Harwood, podobnie jak wiódł ich do boju.

– Pewnie gdzieś z tyłu, tak myślę. – Gavin otarł czoło rękawem. – Nie przypominam sobie, bym go widział od zakończenia bitwy, ale jestem pewien, że idzie z nami.

Idzie? Pieszko? Czemu nie jedzie konno? – zastanawiała się Dominie. Popatrzyła na zakrwawione szmaty na ręce jednego z rannych. Może rana uniemożliwia mu jazdę? Dlaczego zatem nie leży na saniach? A jeśli broczy i ma połamane kości?

– Idź coś zjeść i wypić – zachęciła brata i pchnęła go ku zamkowi. Potem odwróciła się i ruszyła drogą, pod prąd, rozpychając się między powracającymi wieśniakami i ich rozradowanymi rodzinami.

Przy każdym kroku jej niepokój wzrastał.

Nagle go ujrzała. Górował nad tłumem, który podążał do wsi. Dostrzegła, że idzie pieszko i kurczowo trzyma się uprzęży, najwyraźniej uwieszając się na niej, by nie stracić równowagi.

Chwiejnym krokiem ruszyła ku Armandowi; gdyby był jedynym człowiekiem, który powrócił żywy, Dominie z pewnością czułaby tę samą nieokiełznaną radość.

Popelniła fatalny w skutkach błąd, lekceważąc miłość. Nie chciała dostrzec tego, co było tak oczywiste. Jej uczuciami nie powodował kaprys lub lekkomyślność. Miłość do tego mężczyzny okazała się tak samo realna i niezbędna do życia jak światło, powietrze lub wiara, których przecież nie sposób zjeść, nosić lub wydać.

Armand podniósł wzrok, kiedy się do niego zbliżyła.

– Zrobiłem to, po co mnie tutaj sprowadziłaś – oznajmił.

Mówił chrapliwym, zmęczonym głosem, w którym jednak pobrzmiwała nuta satysfakcji.

Dominie szeroko rozłożyła ramiona.

– Byłabym tak samo szczęśliwa z twojego powrotu, gdybyś tego nie uczynił – odparła żarliwie.

Zmarszczył brwi, wpatrując się w nią wzrokiem pełnym zdumienia i zachwyty.

– Naprawdę? – spytał cicho, niepewnie.

Dominie skinęła głową. Tylko tak potrafiła mu odpowiedzieć. Liczyła na to, że Armand dostrzeże w jej zamglonym spojrzeniu i łagodnym uśmiechu prawdę o uczuciu, którego nie chciała i nie mogła już dłużej przed nim skrywać.

Podszedł bliżej i dopiero wówczas dostrzegła kroplę, opadającą na ziemię. Przez moment była pewna, że ciemna plamka na ziemi to deszcz.

Po chwili pojęła prawdę. To nie był deszcz, lecz krew. Krew Armanda.



Krzyknęła, gdy osunął się w jej ramiona.

– Na pomoc! Niech ktoś mi pomoże! Lord Flambard jest ranny!

Armand poruszył się niespokojnie. Rana rwała go nieporównanie mocniej niż wtedy, gdy miecz Rogera przeszywał jego ciało. Armand wiedział, że gdyby nie kolczuga lorda Baldwina, z pewnością nie przeżyłby tak silnego ciosu, zadanego od tyłu, w lewy bok. Ranny utwierdził się w przekonaniu, że wczorajsza bitwa nie toczyła się tylko o przetrwanie Harwood. Stawką w tej wojennej grze była także przyszłość z Dominie.

Wczorajsza bitwa? Właściwie jak długo spał?

I co mu zrobili? Rozcięty bok bolał tak przeraźliwie, że Armand mimowolnie jęknął.

– Już prawie skończyłam – powiedziała Dominie. – Postaraj się jeszcze nie budzić choć przez chwilę, najdroższy.

Gdzie był? Usiłował się zmusić do podniesienia powiek, lecz tak bardzo mu ciążyły, że nie dawał rady. Czy jego ranni podkomendni zostali opatrzeni? Czy zapewniono im odpowiednią opiekę? Czy wszyscy przeżyli? Czy ludzie St. Maura pobierali się po haniebnej ucieczce? Czy szykują zemstę?

Ponowny atak bólu. Tym razem Armand gwałtownie się odsunął.

– I już – obwieściła Dominie, zupełnie jakby wiedziała, że ją słyszy. – Skończyłam. Śmiem twierdzić, że świetnie mi poszło. I pomyśleć, że w dzieciństwie nienawidziłam szycia.

Szycie... ból... Teraz wszystko układało się w sensowną całość. Z minuty na minutę Armand myślał coraz trzeźwiej. Ponownie spróbował otworzyć oczy i zorientował się, że idzie mu lepiej niż poprzednio.

– Podejrzewałam, że lada chwila się ockniesz. – Dominie łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem odsunęła mu z czoła kosmyk. – Przepraszam, jeśli przysporzyłam ci bólu. Tę ranę należało jednak zszyć, więc uznałam, że lepiej będzie doprowadzić sprawę do końca, nim odzyskasz świadomość.

Armand uśmiechnął się bez przekonania.

– Gdzie jestem? – spytał słabym głosem.

– W moim łóżku – padła odpowiedź. Dominie wypowiedziała te słowa tak, jakby nie było w tym nic dziwnego.

Może przypomniała sobie jego sprzeciwy i wzmianki o skromności, wygłaszane w dniu, w którym sprowadziła go z klasztoru, bo wbiła w Armanda surowe spojrzenie.

– Tu będziesz spał do czasu całkowitego wyzdrowienia oświadczyła głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Bez dyskusji.

Armand musiał przyznać, że jej łóżko jest o wiele wygodniejsze niż słomianka na podłodze w wielkiej sali.

– A ty? – zainteresował się. – Gdzie zamierzasz spać?

Dominie wzruszyła ramionami.

– Tu jest mnóstwo miejsca – odparła z dużą pewnością siebie.

– Być może będziesz chciał, żebym coś ci podała w nocy, więc wolę pozostać w pobliżu. Ostatecznie jesteśmy zaręczeni.

– Jak zwykle sypiesz praktycznymi uzasadnieniami jak z rękawa. Jestem zdany na twoją łaskę i niełaskę. Mam dość rozumu, by wiedzieć, kiedy powinienem poddać się z honorem.

– Czyżby? – spytała rozbawiona i ze stolika przy łóżku podniosła kielich wina oraz lnianą ściereczkę. Po zanurzeniu jej w płynie przyłożyła materiał do rany Armanda. Bolesne pieczenie sprawiło, że głośno syknął. – Przynajmniej to łóżko będzie wygodniejsze od jamy, którą niegdyś dzieliliśmy.

– Odstawiwszy kielich, wzięła do ręki miseczkę i przystąpiła do oblepiania rany świeżym, kurzym białkiem. Kleista substancja sprawiła, że ciało Armanda przeszło dreszcz, wiedział jednak, że dzięki temu rana szybko się zasklepi.

– Możesz usiąść? – spytała Dominie. Odstawiła miseczkę na stół i wzięła do ręki długi pasek bielonej, lnianej szmatki.

– Łatwiej byłoby mi obwiązać ci ranę.

– Spróbuję. – Armand zapał się łokciami na materacu i zacisnął zęby.

Lewy bok zabolął go tak mocno, jakby ktoś przyłożył mu do rany rozżarzony do czerwoności pręt. Komnata zawirowała Armandowi przed oczami, o mało ponownie nie stracił przytomności.

Dominie chwyciła go w ramiona.

– Wybacz, nie powinnam była namawiać cię do ruszania się z miejsca – powiedziała pośpiesznie. – Nic dziwnego, że jesteś oszołomiony i kręci ci się w głowie. Straciłeś przecież mnóstwo krwi.

Armand zacisnął powieki. Jednocześnie przycisnął dłonie do materaca. Włosy Dominie połaskotały go w policzek, a piersi przywarły do jego nagiego torsu po tej stronie, gdzie nie odniósł ran.

Jej zapach i dotyk okazały się najlepszym sposobem na uspokojenie. Armand zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że niegdyś postanowił wieść skromne i czyste życie mnicha.

Dominie, osoba do szpiku kości praktyczna, momentalnie skorzystała z okazji, aby owinąć bandażem tors rannego, zanim ten ponownie opadnie z sił.

– Gotowe – oświadczyła na koniec. – Może nie jest to dzieło przesadnie gustowne, niemniej póki co musi wystarczyć.

Pomogła mu położyć się na łóżku. Gdy już bezpiecznie spoczywał na wznak, nie odsunęła się. Jej włosy opadły niczym welon wokół twarzy.

– Skoro już oddaliliśmy niebezpieczeństwo związane z St. Maurem, nie będę się upierał przy odwlekaniu ślubu.

– Doprawdy? – Zrobiła wielkie oczy. Dostrzegł w nich psotny błysk. Cofnęła dłoń z karku Armanda i koniuszkami palców zaczęła gładzić go po ramieniu. – Jesteś mój i zabieram to, co do mnie należy – oświadczyła i przesunęła palec wskazujący w dół, aby znalazł się bezpośrednio nad mostkiem. – Serce – ciągnęła, sunąc palcem niżej – i ciało. Ach, i jeszcze jedno – dodała, jakby coś jej się przypomniało. – Jeśli nie zachowasz wyjątkowej ostrożności, mogę nie czekać do oficjalnego ślubu z zagarnięciem tego, co jesteś mi winien.

Zwycięstwo sprawiło, że Armand przestał czuć się winnym śmierci Baldwina de Montforda. Musiał przecież istnieć kres tej pokuty!

A może się mylił?

## Rozdział 17

Wszystko, czego pragnęła od życia i o co z takim trudem walczyła, wreszcie miało się ziścić. Gdy Dominie poruszyła się, by zmniejszyć i tak niewielki dystans, dzielący usta jej i Armanda, popatrzyła mu głęboko w oczy.

Eudo St. Maur został rozgromiony. W stodołach i spichlerzach, rozsianych na obszarze wszystkich jej ziem, przechowywano najlepsze zbiory od lat. Dominie planowała wkrótce oddać Armandowi dziewictwo, które zachowała dla niego, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Gdy Armand lekko się przesunął, z jego ust wydobył się bolesny jęk. Ranione ciało nie wytrzymało napięcia.

Dominie natychmiast odsunęła się od narzeczonego, zła na siebie.

– Wybacz – poprosiła. – Nie powinnam cię tak kusić, wiedząc, że ledwie przeżyłeś groźny cios i doskwiera ci poważna rana. Biedaczysko!

Chwyciła kubek.

– Musisz się tego napić – oznajmiła. – To mieszanka wina i naparu z ziół. Złagodzi ból.

Jedną ręką pomogła mu unieść głowę, drugą przystawiła naczynie do ust Armanda, który z rozbawieniem i udawaną podejrzliwością popatrzył na Dominie.

– Jesteś absolutnie pewna, że to nie jest piwo z ziołami? – spytał.

– Piwo? Skąd! – Dominie roześmiała się tak gwałtownie, że kilka kropli trunku spłynęło Armandowi po brodzie. – Dotarły do mnie słuchy, że bandyci zaspokoili pragnienie niedługo przed bitwą. Dużo bym dała, aby móc to zobaczyć. Nie mówiłam ci? Nie da się jednocześnie walczyć i biegać za potrzebą.

Rozbawionemu Armandowi udało się przełknąć kilka łyków i nie zakrztusić napojem.

– Nie przeczę, miałaś słuszość – potwierdził, gdy odsunęła kubek z winem. – To nam dało dość nieznaczną, lecz istotną przewagę w potyczce. Ten pomysł świadczy o twojej nieprzeciętnej inteligencji. Pamiętasz, co opat Wilfrid powiedział tuż przed skłonieniem mnie do wyjazdu z Breckland?

Dominie pokiwała głową, a łzy szczęścia zalśniły w jej oczach.

– Nigdy tego nie zapomnę. Powiedział nam, że kiedy mężczyzna i kobieta o nieprzeciętnych możliwościach połączą siły, mogą wiele osiągnąć. Nie zaprzeczysz, całkiem odmiennie patrzymy na świat, a jednak współpracowaliśmy z sobą nadzwyczaj zgodnie. Zgadza się?

– O tak. – Armand wziął ją za rękę. – I dużo osiągnęliśmy. Moim zdaniem, opat wiedział już wtedy, że nie powrócę do Breckland.

– Mam myśl! – wykrzyknęła nieoczekiwanie. – I to jaką! – W nagłym przypływie zapału ścisnęła rękę Armanda znacznie – mocniej, niż zamierzała, lecz nie wydawał się tym przejęty. – Poślijmy do Breckland po ojca Wilfrida, aby celebrował uroczystość naszych zaślubin.

Armand przez moment rozważał ten pomysł, aż wreszcie powoli skinął głową na znak aprobaty.

– To byłoby całkiem stosowne dopełnienie ceremonii – przyznał. – Opat dużo uczynił, aby nas skojarzyć, i zapewne będzie zadowolony, widząc, że jego swaty się powiodły.

– Zatem to ustalone. Jutro pošlę ojca Dunstana, który doręczy zaproszenie. Po tym, jak dałeś ludziom St. Maura potężne baty, droga do Breckland z pewnością będzie równie bezpieczna jak królewskie trakty. Na wszelki wypadek wyślę też małą zbrojną eskortę.

Pomogła Armandowi uraczyć się jeszcze jednym łykiem wina.

– Zanim opat dotrze do Harwood i zjadą się pozostali goście, powinieneś być już na tyle zdrowy, aby na stojąco złożyć ślubowanie.

– Bóg da, że będę. – Najwyraźniej wino już zaczynało robić swoje. Napięcie, utrzymujące się w mięśniach Armanda, zwłaszcza w okolicach ust, wyraźnie ustąpiło.

Po kilku dalszych haustach poczuł się przyjemnie oszołomiony. Gdy przystąpił do snucia planów związanych ze ślubem i późniejszym życiem małżeńskim, Dominie nie miała pewności, czy te marzycielskie pomruki są kierowane pod jej adresem, czy też świadczą o tym, że ranny śni na jawie.

– Miło będzie ponownie ujrzeć opata – powiedział po pewnym czasie Armand.  
– To zacny człowiek. Zawsze go lubiłem, choć nie chciał zezwolić na to, bym złożył śluby wieczyste.

Dominie uśmiechnęła się do siebie i położyła na łóżku obok narzeczonego.

– Jestem mu za to winna dodatkowe podziękowanie. Ponieważ naszym wasalom nie grozi już głód, być może powinniśmy zapewnić braciszkom zakonnym z Breckland zastrzyk finansowy i poprosić ich o odprawienie większej liczby mszy za dusze mojego ojca i Denysa.

Nie odpowiedział od razu, więc Dominie zajrzała mu w oczy, myśląc, że może w końcu zasnął. Miał uniesione powieki, choć jego wzrok wydawał się nieobecny i zatroskany.

– I za dusze twoich rodziców, rzecz jasna – dodała, przekonana, że pominięcie przez nią jego bliskich sprawiło mu przykrość.

– Jeszcze jeden niezły pomysł – odrzekł i wyciągnął prawą rękę, aby objąć Dominie i przyciągnąć ją do siebie. – Z przyjemnością ponownie spotkam się z opatem i porozmawiam z nim przed ślubem. – Armand mówił dalej, choć jego głos zdawał się dobiegać z oddali, a słowa nie miały sensu dla Dominie. – On zrozumie... może nawet lepiej niż ja sam. Powie mi, co powinienem uczynić.

– Jestem pewna, że tak właśnie się stanie – odparła, nie zważając na to, że nie ma pojęcia, o czym mówi Armand.

Poprzedniej nocy ani na moment nie zmrużyła oka, a przez poprzedni tydzień nie spała prawie wcale. Przy Armandzie i ze świadomością, że niebezpieczeństwo im nie zagraża, po raz pierwszy od wielu miesięcy mogła się odprężyć. Momentalnie zasnęła.

Minęło kilka dni. Armand poruszył się niespokojnie we śnie i poczuł przytuloną do niego Dominie. Miała na sobie wyłącznie halkę, która na dodatek podciągnęła się jej tak wysoko, że odsłaniała rozkosznie długie nogi oraz kuszące krągłości bioder.

Leżeli blisko siebie, on na plecach, ona wtulona w niego, z głową na jego ramieniu. Armand przypomniał sobie pierwszą noc, którą spędzili we własnych objęciach, w lesie Thetford. Wypchany pierzem materac był nieporównanie wygodniejszym miejscem do spania niż poprzecinany korzeniami skrawek ziemi pomiędzy dwoma wysokimi dębami. Poza tym nie istniało niebezpieczeństwo śmiertelnego wychłodzenia.

Niewykluczone, że Armanda obudziła bliskość i ciepło Dominie. Ulewa, która rozpętała się w noc bitwy, sprowadziła zmianę pogody, lecz wewnątrz panowało przyjemne ciepło.

W ciągu poprzednich nocy nie zwrócił na to uwagi, mocno uśpiony ziołowym winem Dominie. Jego rana goiła się jednak dobrze, więc już wczoraj poszedł spać, nie pijąc wina.

Teraz leżał w ciemności i delectował się zapachem włosów Dominie. Jej bliskość była dla niego błogosławieństwem. Gdyby mógł każdej nocy zasypiać z nią w ramionach, a rankami budzić się i nadal widzieć ją u swego boku... Nie wyobrażał sobie, by w niebie istniały większe rozkosze.

Nie obchodziło go, że takie myślenie jest bliskie bluźnierstwu. Musiał się jednak pohamować, przynajmniej na razie. Wolał raczej cierpieć i znosić tortury

niezaspokojonej żądz, niż obudzić Dominie, pogrążoną w tak spokojnym śnie.

W pewnej chwili drgnęła lekko i przytuliła się jeszcze bardziej. Nagie udo przesunęło się po jego nodze. Musiał zacisnąć zęby, aby powstrzymać okrzyk. Nie wiedział, co z sobą zrobi, jeśli Dominie się nie uspokoi.

Niemal z radością poczuł ukłucie bólu, gdy jej palce zawędrowały zbyt blisko rany. Nie potrafił się opanować i gwałtownie drgnął.

– Armand? – spytała sennym szeptem. – Nie śpisz, kochany? Zrobiłam ci krzywdę?

– Obudziłem się jakiś czas temu. – Odetchnął z ulgą, że wreszcie może jej dotykać bez obawy, że ją obudzi. – Moja rana nadal jest dość wrażliwa, ale nie zrobiłaś mi nic złego.

– Cieszę się. – Ziewnęła. – Lżej mi na duszy, jak słyszę, że od kilku nocy sypiasz mocno i zdrowo. Bywały momenty, że pragnęłam bliżej się zapoznać z twoim doskonałym ciałem. Z najwyższą trudnością udało mi się jednak pohamować – wyznała.

Armand zatrzęsł się od stłumionego śmiechu.

– Co ci jest, najdroższy? – Uniosła się na łokciu i przyłożyła dłoń do jego policzka. – Źle się poczułeś?

Armand usiłował nie wybuchnąć śmiechem, który z całą pewnością obudziłby wszystkie służące, śpiące w sąsiednich komnatach. Energicznie potrząsnął głową, lecz dopiero po chwili udało mu się zapanować nad wesołością.

– Przeciwnie, wszystko dobrze. Jestem już prawie zdrowy. Przyznam, że kusisz z nie lada siłą.

– To czemu nie rozbudziłeś mnie pocałunkiem, głuptasie?

– Woląłem dać ci spać. Ofiarowałaś mi tę samą możliwość – przypomniał jej i ściszył głos do czułego szeptu. – To właśnie jest miłość, Dominie. Nie zachcianka, nie chęć zaspokojenia naturalnej potrzeby ciała, której nie zamierzam już dłużej potępiać. Jesteśmy dwojgiem ludzi gotowych nawzajem troszczyć się o bezpieczeństwo i przedkładać komfort partnera nad własny.

– Dominie uniosła rękę i położyła ją na sercu. Armandowi przeszło przez myśl, że chciałby wyczuć dłonią jej puls.

– Przemawiasz jak osoba na wskroś praktyczna – zauważyła z przekornym uśmiechem.

Drażniła się z nim. Miał świadomość, że będzie się tak zachowywała jeszcze przez długie, spędzone z nim lata. Za każdym razem, gdy z jej ust padną żartobliwe słowa, będzie się cieszył jak dziecko. Wiedział to doskonale.

– Dla mnie to brzmi jak niedościgniony ideał. Czy oskarżysz mnie o to, że przemawiam jak mnich, kiedy powiem, że „miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”?

– Przeciwnie – zaprzeczyła. Przeciągnęła się i pocałowała Armanda. Chciała musnąć ustami jego wargi, a tymczasem dotknęła brody. – Powiedziałabym raczej, że przemawiasz jak kochanek.

– To, co usłyszałaś, to ledwie wstęp – zapewnił i zrobił to, co pragnął uczynić od chwili, w której się obudził. Sięgnął do piersi Dominie i zaczął je czule pieścić przez na wpół przezroczysty materiał halki. – Zaczekaj, aż przejdę do Pieśni Salomona. Biedni nowicjusze się kulili, kiedy wysłuchiwalismy pewnych fragmentów.

Dominie mimowolnie westchnęła z rozkoszą, a zaraz potem zaśmiała się psotnie.

– A co z pewnym niedoszłym braciszkiem, Armandem Flambardem? Czy wzdrygnąłeś się, słysząc te lubieżne słowa?

– Ja? – Armand udał urażonego, a następnie roześmiał się i wyznał prawdę: – Wzdrygnąłem się jak ktoś, kto ma głodnego węża w spodniach.

– Teraz oboje zgodnie trzęśli się z tłumionego śmiechu, od którego Armanda ponownie rozboleła rana.

– Wąż w spodniach? – Dominie sięgnęła ręką tam, gdzie grzeczne dziewczęta nie powinny nawet spoglądać.

Niedoszły zakonnik niemal stracił nad sobą panowanie. Kiedy mógł ponownie zaufać własnemu głosowi, delikatnie szarpnął rąbek halki Dominie.

– Posłuchaj, dziewczyno, masz nade mną wyraźną przewagę – zauważył. – Żaden wojownik nie dopuści do takiej sytuacji, jeśli będzie miał na to jakikolwiek wpływ.

– I co teraz zamierzasz uczynić, jaśnie panie wojowniku? – Dominie przesunęła mu po rękę palcem wskazującym i środkowym. – Wyzwiesz mnie na ubitą ziemię czy też może raczej wypowiesz wojnę, aby mnie zmusić do pozbycia się halki?

– Czyżbyś chciała narażać mnie na kontuzję podczas walki o twoje względy? Wiem dobrze, że jeśli postanowisz mi się przeciwstawić, wówczas znajdziesz we mnie bardziej zajadłego oponenta niż członkowie przypadkowej bandy łotrów.

Zraniony bok przeszył zaledwie nieznaczny ból, kiedy dźwignął się na łokciu i musnął językiem aksamitną szyję Dominie, która, zaskoczona, cicho jęknęła.

– Zdradź, panie, jakie jeszcze masz maszyny oblężnicze na podorędziu?

– Och, własne usta, rzecz jasna.



– Zastanawiam się, jak długo będę potrafiła przeciwstawiać się takiemu napastnikowi. – Zadowolona Dominie westchnęła. – Czuję, że wkrótce otworzę przed nim bramy – dodała.

– Czy jesteś gotów wyruszyć na podbój mojego ciała? Armand zachichotał, uradowany jej bezwstydną.

Nie należał do specjalnie doświadczonych kochanków.

– Nie poddawaj się zbyt szybko – poradził szeptem, kęsając delikatnie płatek jej ucha. – Nieznacznym, lecz odpowiednio przemyślany opór sprawi, że na koniec poddasz się z jeszcze większą słodyczą... Dla dobra nas obojga.

Dominie zdrzała. Dlaczego mężczyźni tracili czas na toczenie wojen, skoro istniało tyle przyjemniejszych rozrywek? Mogliby przecież z pożytkiem dla siebie i innych skupić uwagę na innym rodzaju podbojach.

– Jeśli ustąpię ci w sprawie halki, panie, czy będę mogła oczekiwać łagodnego traktowania i dobrych warunków? – spytała niewinnie.

– W rzeczy samej.

Odszukał jej usta i złożył na nich długi, powolny pocałunek. Gdy Armand w końcu się odsunął, Dominie kręciło się w głowie tak, jakby wirowało w niej oszalałe wrzeciono.

– Jakich warunków oczekujesz? – spytał Armand.

Dominie uwolniła się z halki.

– Pomyślałam, że może chciałbyś zbadać terytorium, które jesteś gotów przejąć, aby sprawdzić, czy odpowiada twoim wyobrażeniom.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Armand przesunął dłonią po jej obfitych piersiach. – Niemniej chętnie zapoznam się bliżej z każdym centymetrem.

Dominie nie wiedziała i nie chciała zgadywać, jak długo trwała ich miłosna gra, w której napięcie wznosiło się i opadało, aby po chwili ponownie osiągnąć niespotykaną siłę. Toczyła miłosne zmagania, wiedząc, że ich wynikiem będzie obustronne zwycięstwo i wzajemna uległość.

Na koniec, kiedy płonęła z pożądania, Armand przycisnął wargi do jej ust i posiadł ją pewnie, lecz delikatnie. Nie zdążyła krzyknąć, gdy odbierał jej dziewictwo.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci zbyt dużego bólu, kochana – szepnął, ocierając się o jej policzek.

– Skąd! – Westchnęła rozmarzona i przytuliła się do niego. – Cierpiałam już znacznie bardziej i w zdecydowanie mniej wartych tego sytuacjach.

– Nieujarzmiona! – wyszeptał z podziwem. – Jesteś gotowa kontynuować?

– Marzę o tym – odparła pośpiesznie i poruszyła biodrami, by poprzeć słowa czynem.

– Masz pojęcie, co przy tobie czuję?

– Jeśli jest ci choć w połowie tak dobrze jak mnie, to z pewnością czujesz zniewalającą rozkosz – odparła.

– Zniewalająca rozkosz – powtórzył zachwycony.

Następnie z długo tłumioną niecierpliwością zaczął rytmicznie poruszać biodrami, doprowadzając Dominie do ekstazy.

Zatopiona w burzy pulsującej rozkoszy, zachowała tylko tyle przytomności umysłu, by wyczuć ostatnie, mocne pchnięcie Armanda, po którym znieruchomiał zadyszany i drżący.

Przytulili się do siebie, wymieniając delikatne pocałunki i szeptane, ledwie zrozumiałe wyznania. Czuli, że stali się jednością; połączyli ciała i dusze.

## Rozdział 18

W konsekwencji przysięgi złożonej cesarzowej Armand doznał w życiu wielu strat. Żadna z nich nie była jednak tak gorzka i dotkliwa jak to, że Dominie nie została jego żoną.

Teraz, gdy leżeli w swoich objęciach, powinien być najszczęśliwszym i najgłębiej spełnionym mężczyzną w królestwie.

Jednak nie był.

Znajome poczucie winy na pewien czas ustąpiło, by teraz zaatakować go ze zdwojoną siłą. Armand nie wykluczał takiej ewentualności, lecz nie podejrzewał, że jego wróg przybierze nową, straszniejszą postać.

Zorientował się, że ma coś do stracenia.

Gdy Dominie po raz pierwszy spotkała się z nim w klasztorze, starał się robić dobrą minę do złej gry, ale i tak wzdragał się na myśl o konieczności wyjawienia Dominie prawdy. Ponoślił odpowiedzialność za śmierć jej ojca. Czuł się z tym fatalnie.

Wielokrotnie nadarzały się okazje, by przyznać się do winy, lecz zawsze szukał powodów, dla których powinien zachować milczenie. Honor nakazywał mu jednak wystąpić z otwartą przyłbicą.

Odebrał jej cnotę, musieli zatem stanąć na ślubnym kobiercu. Ich małżeństwo przypominałoby jednak misternie skonstruowany kamienny zamek wzniesiony na niebezpiecznym mokradle. Ta myśl burzyła jego spokój. Czuł, że popełnia grzech, uspokajając sumienie kosztem Dominie.

Armand nigdy wcześniej nie stawiał czoła problemowi, który był tak trudny do rozstrzygnięcia. Na dodatek elementy dobra i zła w jego życiu spłotyły się i wymieszały do tego stopnia, że nie potrafił ich skutecznie rozdzielić.

W jego skłębione myśli nagle wdarł się zmysłowy głos Dominie.

– Czy nasza miłość pogorszyła stan twojej rany, najdroższy?

– spytała niespokojnie. – Powinnam była zaczekać, aż całkiem wyzdrowiejesz... Ale przecież zwlekaliśmy już tak długo...

Nie chciał psuć tej chwili szczęścia, nawet jeśli miałby smażyć się w piekle za kłamstwo, którego musiał się teraz dopuścić.

– Odnosiłem już gorsze rany. – Mocniej przytulił Dominie.

– Zatem co cię trapi, jeśli nie rana? – zatroskała się. – Czy dałam ci mniej, niż oczekiwałbyś od żony? Czy kobieta powinna uczynić więcej, aby

usatysfakcjonować swego mężczyznę? Jeszcze przed chwilą wydawałeś się zadowolony, podobnie jak ja.

– Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógłby być bardziej usatysfakcjonowany niż ja! – oświadczył Armand stanowczo, zły na siebie, że dał Dominie powody do wątpliwości. – Czemu sądzisz, że coś mnie trapi?

Bał się, że wyczyta prawdę w jego oczach, lecz w półmroku niezbyt dobrze widziała jego twarz.

– Westchnąłeś – wyjaśniła. – Poza tym tak mocno zaciskasz mięśnie, a moje są jak z waty.

Pomyślał, że Dominie jest niebywale uważnym obserwatorem. Nie umykała jej żadna zmiana jego samopoczucia, żadna reakcja. Jakże mógłby wyjawić jej prawdę? Mimo to nie chciał kłamać, bo nie znosił matactw, nawet drobnych i pozornie niegroźnych.

Musiał przedstawić jej wiarygodne wyjaśnienie, w przeciwnym razie Dominie przejrzałaby go na wylot.

– Przyszło mi do głowy, że może powinniśmy byli poczekać na legalizację naszego związku. Przecież małżeństwo to sakrament.

Włosy Dominie otarły się o jego policzek, gdy potrząsnęła głową.

– Och Armandzie. Dlaczego od razu nie wpadłam na to, że wyleczenie cię z zakonnego myślenia nie jest takie proste? Z pewnością nie wystarczą do tego jednorazowe czułości. Nie staraj się wszędzie dopatrywać własnej winy.

Nie karz się. To nie jest przelotny romans, tylko dopełnienie czegoś, na co od dawna czekaliśmy. Początek nowego życia, które razem rozpoczniemy. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, aby znaleźć drogę do siebie, dobry Bóg z pewnością okaże łaskę i wybaczy nam, że tym razem zachowaliśmy się nieco pochopnie – dodała. – Jeśli to ma ci zapewnić spokój sumienia, możemy zawsze spróbować postu lub odmówić mnóstwo zdrowasiek.

Gdyby głódówka i modlitwa mogły oczyścić jego ręce z krwi Baldwina de Montforda, z ochotą odmawiałby sobie jedzenia, aż zmieniłby się w chodzący szkielet, i klęczał tak wytrwale, aż z kolan pociekłaby krew.

– Bez wątpienia masz rację, moja ukochana.

Zmusił się do uśmiechu. Jeśli nie chciał, by Dominie odgadła jego tajemnicę, powinien nauczyć się ukrywać poczucie winy, które ciążyło mu bardziej niż kiedykolwiek.

– Oczywiście – odparła. – Jeśli nie wierzysz mi na słowo, spytaj opata Wilfrida, gdy przyjedzie pobłogosławić nasz związek.

– Czemu miałbym wątpić w słuszość twych słów? – Armand złożył pocałunek na czubku głowy Dominie. – Mówisz rozsądnie, jesteś wrażliwa. Dlatego chętnie skorzystam z twojej rady i porozmawiam z opatem.

Opat, człowiek mądry, mógł dopomóc Armandowi w znalezieniu drogi wśród moralnych rozterek, w które zabrnął. Zwłaszcza że groziło mu zagubienie się w nich na zawsze... O ile już się nie zagubił.

Czy naprawdę tylko to doskwierało Armandowi? Dominie zadała sobie to pytanie następnego dnia, kiedy ukochany przystąpił do wykonywania codziennych obowiązków. Nieuzasadnione poczucie winy, bo oboje ulegli pożądaniu na parę dni przed ślubem? Wydawało się, że to błahostka, a jednak wyraźnie się zmartwił.

Co z tego, że dokładał wszelkich starań, aby ukryć przed Dominie swoje przemyślenia. Znała go od lat i potrafiła wyczuć, w jakim jest nastroju.

Do pewnego stopnia oburzała ją świadomość, że Armand wolałby unikać kochania się z nią, bez względu na powody. Była jednak skłonna przyznać mu rację: nie powinien rezygnować z ideałów, które uważał za wyjątkowo wzniosłe. Przecież nie zaszkodziłoby odrobinę zaczekać, aby mogli skonsumować związek z kościelnym błogosławieństwem.

Tyle że Dominie dręczyło wewnętrzne przekonanie, że Armand borykał się z innym poważnym problemem, niezwiązanym z uprawianiem miłości.

O co mogło mu chodzić? I co się z nim działo? Przecież kiedy go spytała, nie unikał odpowiedzi. Nienawidził każdej formy kłamstwa i oszustwa, nawet pozornie błędnego i nieszkodliwego. Nigdy by jej nie okłamał.

A może jednak?

Dominie, jak to miała w zwyczaju, rzuciła się w wir pracy, aby oczyścić umysł z wszelkich wątpliwości, które ją gnębiły. Bez trudu znalazła sobie zajęcia.

Pod jej opieką znajdowało się jeszcze kilku mieszkańców Harwood, którzy odnieśli rany poważniejsze niż Armand. Poza tym pozostawała do rozstrzygnięcia sprawa więźniów wziętych do niewoli podczas bitwy. Należało zadecydować o ich przyszłości. Dominie wolałaby zatrzymać ich jako zakładników, aby zapobiec nowemu atakowi St. Maura. Armand nalegał, by przekazać mężczyzn szeryfowi Cambridge albo nawet samemu królowi Stefanowi.

Rodzina Bybrooków i ich wasale wymagali wsparcia, opracowywano też plany odbudowy tego, co bandyci puścili z dymem. Te i liczne inne konsekwencje ataku St. Maura wymagały pilnie jej uwagi: musiała też dopilnować, aby z lasów przyprawiono małe zwierzęta hodowlane, należało uporządkować zamkowy

dziedziniec zanieczyszczony przez bydło i owce, nadeszła pora na uzupełnienie zapasów w spiżarni.

Najważniejszym ze wszystkich obowiązków było jednak przygotowanie się do ślubu. Dominie musiała sprowadzić matkę z Wakeland, zaprosić gości z dalej położonych miejsc. Zamek czekało wielkie sprzątanie, należało też przygotować żywność i napoje, zwłaszcza że wesele będzie połączone z ucztą z okazji zwycięstwa nad Eudem St. Maurem.

Chociaż obowiązki przykuwały uwagę Dominie, nie mogły jej całkowicie uspokoić. Za każdym razem, gdy patrzyła na Armanda, a on o tym nie wiedział, uprzytomniała sobie, że skrywa on jakąś tajemnicę.

Gdy ją dostrzegał, z wyraźnym wysiłkiem próbował okazywać entuzjazm, lecz jego sztuczny uśmiech w żaden sposób nie mógł usmierzyć jej niepokoju ani rozwiązać podejrzeń.

Czyżby miłosne wyznania Armanda nie były tak szczerze, jak zakładała? Może usiłował przekonać sam siebie, że jego odczucia są czymś więcej niż tylko potrzebami ciała i w końcu uznał, że się pomylił? Im więcej o tym myślała, tym bardziej prawdopodobne wydawało się to rozwiązanie... i tym boleśniej przeżywała tę sytuację.

Dominie powiedziała sobie, że nie powinna być niemądra. Nie wychowano jej w oderwaniu od rzeczywistości, jej głowy nie wypełniały romantyczne marzenia. Należała do kobiet twardo stąpających po ziemi, przez ostatnie pięć lat zajmowała się dwiema zagrożonymi atakiem posiadłościami. Ze względów praktycznych potrzebowała męża takiego jak Armand.

Gdyby dodatkowo oboje czerpali satysfakcję, dzieląc małżeńskie łóżko, tym lepiej. Nie trzeba było niczego więcej, aby stworzyć udany związek. Dodatkowe czynniki mogłyby wręcz zaszkodzić powodzeniu małżeństwa.

Serce odmówiło jednak uznania praktycznych argumentów rozumu. Pragnęła miłości Armanda, do licha! Obawiała się, że nie spocznie, póki nie zdobędzie jej na zawsze.

Gdy szła przez dziedziniec, sprawdzając, czy wszystkie prace przebiegają zgodnie z zaleceniami, z wartowni dobiegł ją krzyk, który momentalnie wyrwał ją z rozważań.

– Samotny jeździec! – wołał strażnik. – Pędzi co koń wyskoczy!

Dominie uniosła lekko suknię i ruszyła do bramy.

Z przeciwnej strony nadbiegł Armand. Pierwszy dotarł na miejsce i wspiął się na mur, by sprawdzić, kim jest nieznany jeździec.

Niemal natychmiast zabrzmiał jego dźwięczny głos.

– Otworzyć bramę! – krzyknął.

Strażnicy momentalnie wykonali rozkaz i wpuścili na dziedziniec jabłkowego rumaka, którego Dominie pamiętała ze stajni w Harwood. Zaniepokojona, rozpoznała też młodego człowieka, który leżał na szyi wierzchowca. Z ramienia jeźdźca sterczała strzała. Młodzieniec uczestniczył w wyprawie, którą wyekspediowała do klasztoru, z zaproszeniem dla opata.

Pobiegła do rannego, jednocześnie żądając wody, wina i odzieży.

– Napadnięto nas... na starej drodze... trzy kilometry stąd.

– Młodzieniec wyglądał tak, jakby miał lada moment zemdleć, lecz z zaciśniętymi zębami, kurczowo bronił się przed utratą przytomności. – Wysłano mnie przodem, po pomoc...

– Dobra robota, młody człowieku – pochwalił go Armand.

Ledwie zdążył zamknąć usta, gdy ranny przewrócił oczami i zaczął się osuwać na ziemię.

Armand zerknął na Dominie.

– Zajmiesz się nim, prawda? – spytał.

Zaufanie w jego oczach dodało Dominie otuchy. Nie traciła czasu na gadanie. Energicznie skinęła głową i złapała młodego człowieka w chwili, gdy spadał z siodła.

Armand odwrócił się szybko, przekonany, że jego wybranka doskonale sobie poradzi. Nakazał wszystkim wolnym mężczyznom gotować się do wyjazdu. Sam wskoczył na siodło, zwolnione przez rannego młodziana.

– Armandzie, nie! – krzyknęła Dominie z przestachem. Twoja rana jeszcze się nie zagoiła. Nie włożyłeś zbroi!

Nie zamierzał się tłumaczyć. Jego spojrzenie spoczęło jednak na ukochanej, gdy poganiał zmęczonego konia i kierował go do bramy.

Zawiniłem.

Armand, galopując, wyrzucał sobie zaniechanie, które może mieć tragiczne konsekwencje. Wiatr chłostał mu włosy, a za każdym razem, gdy kopyta konia uderzały w ziemię, czuł tępy ból w boku.

Powinien był się domyślić, że po pierwszej porażce Eudo St. Maur nie umknie z podkulonym ogonem w przeświadczeniu, że jego rządy terroru dobiegły końca. Gdyby tak uczynił, wywołałby nową falę oporu, a nie mógł sobie na to pozwolić.

Dominie bardzo pragnęła uwierzyć, że jedno zwycięstwo na zawsze uwolni

Harwood od niebezpieczeństwa. Armand nie potrafił się zdobyć na to, by rozwiać jej nadzieje. Pozwolił sobie za to na marzenia, w zniszczenie których chciał wierzyć.

Jeśli coś złego przytrafiłoby się opatowi Wilfridowi, Armand musiałby wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Krew tych ludzi splamiłaby jego ręce tak, jak to się stało w przypadku lorda Baldwina.

Nie odjechał daleko. Ledwie stracił zamek z pola widzenia, dostrzegł konie. Trzech zakonników gnało w środku ciasnej gromady jeźdźców, ich czarne sutanny powiewały za nimi niczym chorągwie, kiedy na zmęczonych wierzchowcach umykali pogoni. Pół tuzina zbrojnych pędziło po obu bokach duchownych oraz za nimi, aby w miarę możliwości jak najlepiej chronić ich przed bezpośrednim atakiem.

Po piętach uciekinierom deptała znacznie liczniejsza gromada, a poszczególni napastnicy groźnie wymachiwali mieczami. Kilku konnych łuczników od czasu do czasu posyłało pojedyncze strzały, z oddali rażąc wysłanników Armanda. Jeden rzut oka wystarczył, by mieć pewność, że to ludzie St. Maura. Jak liczne siły zgromadził ten łotr?

Gdy Armand popędził konia, wyjęci spod prawa przyspieszyli i rozdzielili się na dwie grupy. Zamierzali z dwóch stron wyprzedzić uciekinierów niewątpliwie po to, by ich otoczyć i zmusić do zatrzymania. Konsekwencje tego manewru musiały być tragiczne.

Armand nie wiedział, kiedy nadciągną posiłki z zamku. Wątpił jednak, czy przybędą na czas i w dostatecznej liczbie, aby skutecznie przeciwstawić się bandytom.

Gdyby potrafił mocą myśli wydawać swoim ludziom rozkazy, wówczas powiedziałby strażnikom mnichów, aby nie pędzili prosto do zamku, lecz rozjechali się na boki i w ten sposób uniemożliwili pogoni zbliżenie się do eskortowanych zakonników. Albo jego ludzie nie uświadamiali sobie niebezpieczeństwa, albo mieli nadzieję, że dotrą do Harwood, nim zostaną otoczeni.

Armand doskonale wiedział, że są w błędzie.

W takiej sytuacji pozostało mu tylko jedno. Musiał odciągnąć pościg, przynajmniej z jednego skrzydła, aby opat z resztą grupy mógł uciec.

Jego koń opadał z sił, lecz obie grupy pędziły w tak zawrotnym tempie, że wkrótce musiał się z nimi spotkać. Armand ocenił sytuację z dystansu i postanowił ruszyć na pierwszego złoczyńcę z prawej.

Bandyta mógł być nazbyt zajęty pościgiem, by dostrzec Armanda, a może nie



wierzył, że samotny jeździec odważy się przypuścić bezpośredni atak na tak liczną gromadę. W ostatnim momencie zerknął na Armanda i otworzył usta ze zdumienia. Starcie było nieuniknione, w żaden sposób nie mógł już się przed nim uchronić.

Wierzchowiec bandyty dostrzegł niebezpieczeństwo. Zarył kopytami w ziemię i stanął dęba. Armand przywarł do szyi swojego konia i wbił się klinem pomiędzy dwie grupy nadciągających jeźdźców.

Następne zdarzenia rozegrały się w okamgnieniu. Choć wszystkie wypadki zaszły niemal jednocześnie, Armand odniósł wrażenie, że tamten moment dramatycznie rozciągnął się w czasie.

Stojący dęba koń zrzucił jeźdźca, zmuszając bandytów do wykonania gwałtownego skrętu i skrócenia kroku.

W gromadzie uciekinierów rozległ się krzyk. Armandowi przeszło przez myśl, że to zapewne głos opata. Pomodlił się w duchu, aby ten wrzask oznaczał, iż jego sojusznicy ujrzeli wyłom z prawej strony i ruszyli przezeń tak, aby uchronić się przed okrażeniem.

Gdy tylko pokrzyżował bandytom szyki, obrócił konia i pognał przed siebie. Poczł ulgę, kiedy się zorientował, jakie rezultaty przyniosła jego desperacka szarża.

Podkomendni Armanda z rozerwanej, lewej flanki niezwłocznie się rozproszyli, podobnie jak ich towarzysze z prawej strony. Innymi słowy, stało się dokładnie tak, jak sobie tego życzył Armand.

Przed jeźdźcami piętrzył się zamek Harwood, a jego brama była otwarta akurat na tyle szeroko, by zmieściła się w niej kolumna jeźdźców, jeden za drugim. Armand nie miał złudzeń: posiłki musiały być skromne, lecz ludzie St. Maura nie mogli o tym wiedzieć. Równie dobrze zza murów mogło się wyłonić pół setki zbrojnych, gotowych rozgromić złoczyńców, a raczej pozostałości ich watahy, której już raz spuszczone lanie.

Na sygnał pierwszego jeźdźca z prawej pozostali ściągęli wodze i skręcili, a opat i jego towarzysze popędzili prosto ku bezpiecznym murom zamku.

Nagle Armandowi przyszło do głowy, że słońce zajaśniało intensywniej złocistym światłem. Nidoszły mnich roześmiał się mimowolnie. Nawet tępy ból w boku był mu miły, gdyż świadczył o tym, że ranny wciąż żyje.

Za późno zrozumiał, że uciekający bandyci skierowali się wprost na niego. Podjął desperacką próbę wciśnięcia się w szczelinę pomiędzy jeźdźcami, lecz jego koń był zbyt zmęczony, aby wykonać zadanie. Armand pojął, że niepotrzebnie chwalił dzień przed zachodem słońca. Był otoczony.

Podjechał do niego kościsty mężczyzna o zaniedbanej brodzie, przetykanej siwymi pasemkami. Trójka łuczników, wśród nich Roger z Fordham, zbliżyła się, biorąc Armanda na cel. Brodaty złoczyńca uśmiechnął się rozbajająco i wówczas Armand rozpoznał w nim byłego earla Anglii.

– A niech mnie, jeśli to nie młody Flambard! – wykrzyknął Eudo St. Maur, jakby byli kuzynami, którzy spotkali się po latach rozłąki. Bandyta podjechał bliżej. – Doszły mnie słuchy, że poległeś w Lincoln, młodzieńcze. – W jednej chwili jego zdumiewająco przychylny uśmiech zmienił się w agresywny grymas. – Szkoda, że tak się nie stało!

Następnie uderzył Armanda w ucho z taką mocą, że nieszczęśnik niemal spadł z siodła. Jak na starszego człowieka, St. Maur zachował zadziwiającą krzepę.

– Co ty sobie wyobrażasz? – wykrzyknął. – W ubiegłym tygodniu zastawiłeś pułapkę na moich ludzi!

Armand się wyprostował i potrząsnął głową, aby odzyskać zdolność widzenia. Świat wirował mu przed oczami.

– Twoi siepacze napadli i splądrowali Harrowby – przypomniał rozmówcy. – Odkąd to przestępstwem jest obrona własnej ziemi przez najeźdźcą?

– Kto przemawia do mnie takim tonem, zasługuje na śmierć! – St. Maur zamachnął się ponownie, lecz tym razem Armand zawczasu się zorientował, co mu grozi, i uchylił głowę, dzięki czemu pięść bandyty trafiła w powietrze.

– Zamierzasz mnie zabić? – spytał rzeczowo.

St. Maur ponownie się uśmiechnął, jakby w przypiływie dobrego humoru. Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie potrafiłby tak płynnie zmieniać nastroju, z radosnego na pełen wściekłości.

Mrugnął okiem do Armanda i wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo – mruknął.

Zanim Armand zdążył zdecydować, co się kryje pod tymi słowami, łotr wyrwał mu wodze z dłoni. Następnie zawrócił wierzchowca z powrotem do Harwood i pociągnął jeńca za sobą.

– Cofnąć się! Wstrzymać ogień! – wrzasnął do ludzi Armanda. – Pojmaliśmy Flambarda. Jeden niewłaściwy ruch wystarczy, abyśmy ponadziewali mu grzbiet strzałami. Chyba nie chcecie, by wyglądał jak jeź, co?

Wizja Armanda w roli jeża najwyraźniej niesłychanie go rozbawiła, bo wydał z siebie donośny rechot.

Opat Wilfrid, który zdołał już znaleźć schronienie za murami, postanowił przemówić ze strażnicy.

– Daj swej nieśmiertelnej duszy choć cień szansy na odkupienie, Eudzie, synu Godfreyu! – zawołał.

St. Maur zaśmiał się jeszcze głośniejszym śmiechem zdawał się kaleczyć uszy.

– Już jestem ekskomunikowany, ojczu – oświadczył donośnie. – Czyżbyś sądził, że grozi mi podwójne potępienie? Gdzie jest ta dziewczucha Baldwina de Montforda? Roi się jej, że jest panią tego miejsca, więc będę pertraktował tylko z nią i z nikim więcej.

Pertraktował? Armanda oblał zimny pot.

W strażnicy rozległ się głos Dominie.

– Puść lorda Flambarda wolno, St. Maur! – krzyknęła.

Bandyci ciasniej otoczyli więźnia, a ludzie Armanda trzymali się na ostrożny dystans.

– Chętnie! – odwrzasnął łotr. – Ale co za niego dostanę?

– Pojmaliśmy pięciu twoich ludzi, którzy przypuścili atak na Harrowby. Zwróć ci ich, jeśli wydasz mi Armanda Flambarda.

– Pięciu za jednego? – St. Maur pogłaskał się po rzadkiej brodzie. – Niejeden nazwałby tę propozycję podejrzenie hojną. Czyżby aż tyle dla ciebie znaczył?

– Na nic mi twoje sługusy, chcę się ich pozbyć – wyjaśniła zdecydowanym tonem. – Żal mi jedzenia na ich karmienie, a na dodatek śmierdzą jak potępiency.

– Więc ich zabij – zaproponował. – Skoro dowiedli swej nieporadności, pozwalając się schwytać, to nie będę miał z nich żadnego pożytku.

– Nie mówisz poważnie.

– Sprawdź – burknął. Mówił tak zimnym, opanowanym głosem, jakby chodziło mu o pięć owiec albo kurcząt, a nie ludzi, którym przewodził. – Ściągnij ich tu, poderżnij im gardła jednemu po drugim i przekonaj się, czy kiwnę palcem, aby cię powstrzymać.

– Czego zatem żądasz? – spytała Dominie. W jej głosie pobrzmiwało niedowierzenie.

Armand nie wiedział, co robić.

– Okup. – Usta Euda St. Maura wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu. Doskonale wiedział, że może dyktować warunki.

– Zatrzymam pod swoją pieczęią młodego Flambarda i dobrze o niego zadbam... pod warunkiem, że co miesiąc przekażesz mi odpowiednią opłatę.

Następnie zaprezentował swoje oczekiwania. Ich lista okazała się długa i zawiła, niemniej sprowadzała się do tego, że Harwood i Wakeland muszą każdego miesiąca ofiarowywać mu haracz. Jego wypłata oznaczałaby ruinę de Montfordów

i głód wszystkich mieszkańców obu posiadłości.

– Nie zgadzaj się, Dominie! – wrzasnął Armand.

– Milczeć! – St. Maur trzasnął go w twarz. Armand poczuł, że po brodzie spływa mu krew.

– Jeszcze jedno słowo, Flambard, i jesteś trupem – przestrzegł go łotr.

Armand uniósł dłoń do twarzy, aby powstrzymać krwotok. Wątpił, by St. Maur spełnił groźbę, gdyż w ten sposób pozbawiłby się cennego argumentu przetargowego. Należało jednak mieć na względzie, że Wilk nieraz dowiódł, że jego czynami kieruje nienawiść.

– Nie możemy ofiarować tyle za jednego człowieka – oznajmiła Dominie.

Armand miał ochotę bić jej brawo.

– Dasz sobie radę – zapewnił ją St. Maur bez cienia wątpliwości w głosie. – Znajdziesz pieniądze, bo po każdym miesiącu zwłoki będę ci przysyłał jakiś ucięty fragment Flambarda. Chyba zacznę od ucha... a może od palca?

Ostatecznie człowiek ma tyle części ciała, doskonale nadających się do obciążenia. Z pewnością sprawię mu ból, ale nie pozbawię go życia.

St. Maur zarechotał okrutnie, Armanda zaś ogarnął lęk, którego nigdy nie odczuwał podczas bitwy. Wiedział, że jego wróg nie blefuje. St. Maur już w przeszłości stosował tortury, aby wymusić haracz.

– Dam ci dwa dni do namysłu – zapowiedział łotr i wyjaśnił, gdzie Dominie ma złożyć okup. – Jeśli mnie zawiedziesz, zacznę odsyłać twojego ukochanego do domu. Kawalek po kawalku. A jeśli przyjdzie ci do głowy coś tak idiotycznego, jak zastawienie pułapki na moich ludzi, których przyślę po daninę, zacznę od tej części ciała, która zapewne budzi twoje największe zainteresowanie.

Gdyby Dominie przystała na warunki St. Maura, sprowadziłaby katastrofę na Harwood i Wakeland, zaś Armand i tak zginąłby w cierpieniach. Najbardziej się obawiał, że z miłości do niego Dominie mogłaby przyjąć te podłe warunki.

Musiał ją powstrzymać.

W tej chwili uświadomił sobie pewien fakt i cały jego lęk, całe poczucie winy i niezdecydowanie ustąpiły, pozostawiając jedynie słodko-gorzką satysfakcję, że spędził z Dominie jedną, doskonałą noc miłości.

– Pomyśl uważnie, moja panno! – zawołał St. Maur. – I nie popełnij błędu: źle wyjdiesz na próbach oszukiwania mnie.

Zawrócił konia i wydał swoim ludziom rozkaz powrotu do Fenlands. Następnie rzucił jednemu z pachołków wodze wierzchowca Armanda.

W momencie zamieszania Armand dostrzegł szansę dla siebie. Zatopił pięty w

żebrach rumaka i przywarł do jego grzywy.

Zwierzę rzuciło się przed siebie, wrywając wodze z dłoni bandyty.

Armand nie miał złudzeń: żywy nie mógł dotrzeć do zamku.

Potrzebował jednak uwolnić się choć na moment, nim dosięgnie go strzała jednego z siepaczy i uciszy na zawsze.

Na wypadek, gdyby strzała go nie zabiła, o co się modlił, postanowił uczynić to, co od dawna go dręczyło. Chciał, aby Dominie znienawidziła go do tego stopnia, aby bez żadnych wyrzutów sumienia pozostawić go w rękach okrutnego St. Maura.

– Zabiłem... lorda Baldwina! – ryknął z całej mocy. – W Lincoln... zabiłem go.

Usłyszał za plecami tętent kopyt, lecz go zignorował. Przez lata skrywał prawdę w głębi serca. Choć teraz skazał się na pewną śmierć, jego duszę ogarnęła euforia.

W następnej chwili poczuł straszliwy ból. Raz jeszcze pośpiesznie pomodlił się o rychłą śmierć.

## Rozdział 19

Dominie ze zgrozą patrzyła, jak jeden z podkomendnych St. Maura rzuca się ku Armandowi i z całej siły uderza go w tył głowy rękojeścią miecza. Chwilę wcześniej słowa ukochanego sprawiły jej podobny ból.

Bandyci przegrupowali się i odjechali galopem, zabierając z sobą nieprzytomnego Armanda. Eudo St. Maur jeszcze odwrócił się ku zamkowi.

– Nie zwracaj uwagi na jego szaleńcze zachowanie! – krzyknął. – Ten szlachetny dureń wykrzykuje bzdury, bo nie chce, byś pragnęła go uwolnić. Pomyśl lepiej, czy opuścisz mężczyznę, który uczynił to dla ciebie?

W jego pytaniu pobrzmiwała źle skrywana drwina.

– Jaśnie pani, czy mamy wysłać pościg? – zawołał Wat Fitzjohn.

Dominie miała ochotę odizolować się od wszystkiego i wszystkich, aby mogła przemyśleć to, co usłyszała i ujrzała. Należało jednak podjąć decyzje, i to nie byle jakie. Doświadczenie nauczyło ją, że nie warto i nie wolno uchylać się od rozwiązywania problemów.

– Nie. – Wypowiedzenie zaledwie jednego słowa nigdy dotąd nie sprawiło jej tyle trudności. – Jest was zbyt mało. Nie powtórzy się sytuacja z Harrowby. Tym razem wróg jest dobrze uzbrojony i ma się na bacności. Te łotry zabiłyby lorda Flambarda i Bóg wie, kogo jeszcze.

Ten wybór był dla niej bolesny, lecz dzięki niemu otrząsnęła się z desperacji.

– Przygotujcie się na ewentualny atak, chociaż wątpię, by St.

Maur próbował otwarcie zdobyć coś, co chce przejąć zdradą.

W razie potrzeby znajdziecie mnie w kaplicy.

Musiała się zaszyć w spokojnym miejscu, aby pomyśleć. Mogła nawet się pomodlić, chociaż żywiła prawie absolutną pewność, że Bóg i jego anioły śpią snem sprawiedliwych.

Opat Wilfrid i przeor Gerard wkrótce ją znaleźli.

– Moje dziecko. – Opat westchnął, otoczył jej twarz zimnymi dłońmi i złożył na jej czole pocałunek. Pokręcił głową.

– Nawet nie podejrzewasz, jak bardzo boleję nad tym, że ja i moi bracia przyczyniliśmy się do zła, które cię dzisiaj spotkało.

– To nie twoja wina, ojcze. Jestem pewna, że St. Maur prędzej czy później znalazłby sposób, aby wywabić Armanda z zamku. – Przycisnęła palce do skroni. – St. Maur miał rację, prawda? Armand kłamał, zgadza się? Powiedział, że zabił

mojego ojca, bo nic gorszego mu nie przyszło do głowy, aby skłonić mnie do pozostawienia go w rękach oprawcy. Czy tak?

Nie znajdując potwierdzenia w obliczu opata, skierowała wzrok na przeora Gerarda.

– Nigdy dotąd nie złamałem tajemnicy spowiedzi, moje dziecko. – Dostrzegła w jego oczach żal. – W tym wypadku jestem pewien, że Armand by sobie tego życzył. To on zadał twojemu ojcu śmierć w Lincoln. Z tego powodu ukrył się w klasztorze. Szukał tam odkupienia, lecz go nie znalazł.

Łagodne słowa mnicha wydały się Dominie bolesne niczym silny cios. Chciała ich nie słuchać, lecz nie potrafiła. W świetle tej nowej prawdy dostrzegła rozwiązanie wielu tajemnic. Pojęła, czemu Armand poprzysiągł nie stosować przemocy, dlaczego ruszył na ratunek Harwood. Zrozumiała nawet to, skąd się u niego wzięły wyrzuty sumienia po tym, jak spędził z nią miłosną noc.

– W bitewnym zamęcie Armand nie zorientował się, że walczy z twoim ojcem – wyjaśnił duchowny. – Odkrył ten fakt dopiero później i gorzko tego żałował.

– I słusznie! – Dominie poczuła, jak zaczynają w niej kipieć długo tłumione emocje. – Armand mógł nie chcieć śmierci mojego ojca, ale kiedy dołączył do cesarzowej, powinien był przewidzieć, że przyjdzie mu stanąć przeciwko de Montfordowi. Gdyby nie stał się z moim ojcem, zapewne napotkałby na swej drodze serdecznego przyjaciela, Denysa. Mimo to dołączył do wrogów.

Od powrotu Armanda do Harwood Dominie usiłowała nie myśleć o przeszłości. Najwyraźniej jej starania zakończyły się niepowodzeniem, skoro teraz ogarnęła ją fala niepohamowanej wściekłości.

– Skoro tak uważasz, dziecko, to będziesz wiedziała, co robić – rzekł opat Wilfrid.

Wraz z ojcem Gerardem ukląkł przed skromnym ołtarzem, aby zmówić cichą modlitwę.

Oczywiście, że wiedziała, co zrobić! Miała ochotę wykrzyknąć te słowa opatowi w twarz. Przecież nie było wyboru!

Życie jednego człowieka – albo jego długotrwała śmierć w męczarniach – za cenę istnień tylu innych ludzi? Jak mogłaby odzyskać spokój sumienia, gdyby zlekceważyła obowiązki względem wasali?

Gdy jednak rozmyślała o Armandzie i jego zasługach, o tym, jak ogromnie jest jej bliski, doszła do wniosku, że nie może zostawić go na pewną śmierć. Wszystko jedno, co uczynił. Gdyby go odtrąciła, poczucie winy gryzłoby ją przez resztę jej dni. Cierpiałaby tak jak on.

Osunęła się na kolana przed duchownym.

– Ojczy, błagam – wyszeptwała. – Wiem, co muszę zrobić, ale czy nie ma innego sposobu? Jesteś mądrym człowiekiem, Armand ci ufa. Czy zechcesz udzielić mi rady?

Opat otworzył oczy i popatrzył na nią ze współczuciem.

– Jedyne rady, która mi przychodzi do głowy, może nie zadowolić tak praktycznej i rzeczowej kobiety jak ty, moje dziecko. Poszukaj wsparcia, którego osobiście nie potrafisz ci udzielić, w modlitwie.

– Skąd mogę mieć pewność, że Bóg mnie wysłucha? Wszystkie ostatnie zdarzenia każą mi myśleć, że postradał słuch.

Opat tylko pokręcił przecząco głową.

– Większość wydarzeń ostatnich dni wynika z tego, że ludzie nie słuchają woli niebios. Bóg nie zawsze podsuwa nam odpowiedzi w takiej formie, w jakiej chcielibyśmy je otrzymać, ale jeśli zechcemy go słuchać i podążać tam, dokąd zaprowadzi nas wiara, wówczas wszystko będzie dobrze.

Czy miała taką wiarę? Dominie nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Pilnie uczestniczyła w mszach świętych, pościła w wyznaczone dni, wspierała ubogich datkami, przestrzegała większości przykazań. Jej praktyczna natura sprawiała, że trudno jej było ufać Najwyższemu, którego nie mogła zobaczyć, usłyszeć ani dotknąć. Tym bardziej nie potrafiła przekazać mu kontroli nad własnym życiem.

Teraz była zdecydowana zrobić wszystko. Wszechmogący z pewnością nie pochwaliby jej za to, gdyby uznał ją za godną wysłuchania.

Machinalnie wypowiedziane słowa „Zdrowaś Maryjo” i „Ojczy nasz” nie mogły wystarczyć, więc Dominie próbowała samodzielnie ułożyć modlitwę i przelać w nią cały swój lęk i bezsilność, a także dezorientację, gorycz i złość.

Gdy w końcu dźwignęła się z kolan, odkryła, że są obolałe i sztywne. Dziwne, nie podejrzewała, że tak długo się modli. Opat Wilfrid i przeor Gerard przerwali własne medytacje i popatrzyli na Dominie.

– Czy uzyskałaś odpowiedź, dziecko?

Dominie zastanowiła się przez chwilę.

– Tak, ojczy, chyba uzyskałam – potwierdziła.

Godzinę wcześniej nie sądziłaby, że to możliwe, lecz teraz ogarnął ją spokój.

Jej uwagę przykuł ruch w głębi kaplicy. Przyszła jedna z jej służących.

– Jasne pani, przysłano mnie po ciebie. Matka jasne pani przybyła z Wakeland.

– Matka? – Dominie przycisnęła dłoń do czoła. – Wielkie nieba, oczywiście. Na



ślub. Słyszała nowiny?

– – Tak, jasnie pani, na dziedzińcu wszyscy mówią tylko o tym. Właśnie dlatego przysłano mnie po ciebie. Matka jasnie pani źle to przyjęła.

Dominie westchnęła.

– Nic dziwnego – zauważyła. – Za moment się zjawię.

Jak miałyby się czuć lady Blanche fleur na wieść o tym, co zaplanowała jej córka?

– Posłucham – szepnęła do Boga. – Przysięgam, że posłucham, tylko daj mi siłę... albo wsparcie. Jakiegokolwiek...

Było już ciemno, kiedy Armand nagle ocknął się pod wpływem bólu.

Bok już mu nie doskwierał, a może Armand tego nie czuł, bo potwornie bolała go głowa. Momentalnie przypomniał sobie, gdzie jest i jak się tu dostał. Raz jeszcze pożałował, że żyje.

Znalazł się w niewoli: sam, bezbronny, ranny, otoczony bezwzględny wrogami, gotowymi dla uciechy zamęczyć go na śmierć. Wszędzie wokoło rozpościerały się zdradzieckie rejony Fenlands, skutecznie odgradzając go od przyjaciół i ewentualnych wybawicieli. Na dodatek zamknął sobie drogę powrotną, kiedy wyznał Dominie to, za co musiała go znienawidzić.

Choć jego sytuacja wydawała się beznadziejna, nie mógł zaprzeczyć, że odczuwa zastanawiającą lekkość w sercu. Nie miał pewności, czy to prawda go wyzwoliła, ale gdy rozmyślał o przeszłości, widział wyraźnie, że pozostawał niewolnikiem kłamstwa.

Armand postanowił się rozejrzeć, aby odwrócić uwagę od tępego bólu w czaszce. Leżał na stercie słomy o odrażającym zapachu, zapewne pełnej robactwa. Kiedy sprawdził, czy jest w stanie poruszać kończynami, odkrył, że prawa kostka jest otoczona ciężką bransoletą z doczepionym nie mniej ciężkim łańcuchem. Kompletnie sobie nie przypominał, żeby go zakuwano w żelastwo.

Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest spragniony. W mroku po omacku zaczął szukać czegoś do picia, lecz nic nie wpadło mu w rękę. Trudno się było dziwić: po co Eudo St. Maur miałby o niego dbać, skoro zamierzał odebrać mu życie, kawałek po kawałku, w męczarniach. Pozostanie żywym było dla Armanda jedynym dostępnym sposobem przeciwstawienia się łotrowi, postanowił zatem za wszelką cenę uniknąć śmierci.

Przez cały następny dzień symulował senne oszołomienie za każdym razem, gdy podchodzili do niego ludzie St. Maura. Kiedy odchodzili, uważnie patrzył i

nasłuchiwał, aby jak najlepiej poznać miejsce niewoli. Ku swojemu zaskoczeniu i zarazem obrzydzeniu, odkrył, że bandyci urządzili sobie obóz w małym klasztorze na wyżej położonym, suchym skrawku ziemi pośrodku bagnistej krainy. Podejrzał, że istniało praktyczne uzasadnienie takiego rozwiązania, bo budynek zbudowano na potrzeby grupy mężczyzn.

Tyle że mnisi nie wiedli nikczemnego życia.

Z klasztornej kaplicy, w której niegdyś odśpiewywano święte msze, dobiegały teraz ryki i śmiechy pijanych łotrów. Z kapitułarza, swojego czasu wykorzystywanego jako pomieszczenie do czytania Pisma Świętego, dolatywały gniewne okrzyki.

Armand z najwyższym trudem rozpoznał mały pokój, dawniej przeznaczony na zakrystię. Misternie rzeźbiony sekretarzyk, niegdyś służący do przechowywania trybularzy oraz poświęconych naczyń ze złota i srebra, został otwarty i splądrowany. Niektórzy bandyci zdążyli wyryć w drewnie ordynarne rysunki. Armand wzdrygnął się na myśl o tym, jak upiornie musiały zostać zbezczeszczone inne części tego świętego domu.

Słyszając stukot kroków i głosy nadchodzących ludzi, Armand rozpląszczył się twarzą na sianie, aby przekonująco udawać, że jest nieprzytomny.

– Nadal nieprzytomny, jak widzę – rozległ się głos. Armand rozpoznał Rogera z Fordham. – Eudo powinien był dwa razy pomyśleć, zanim trzasnął go tak mocno w głowę. A jeśli wyzionie ducha? Jak się wtedy będziemy targowali?

Drugi mężczyzna prychnął z lekceważeniem.

– Jeśli nie będzie nam wlaził w paradę, to sami weźmiemy sobie z posiadłości to, na co nam przyjdzie ochota – oświadczył zdecydowanie.

– Niby co? – burknął Roger. – Nie widziałeś? W ostatnim miejscu mieli zapasy, które wystarczyłyby ledwie na tydzień. Poza tym wcale bym się nie dziwił, gdyby i te resztki zaprawili trucizną. Tak jak to zrobili z piwem.

– A tak, racja. Piwo. Bebechy do tej pory nie działają mi jak należy.

– Słuchaj uważnie. – Roger ściszył głos, jakby w obawie, że ktoś go podsłucha. – Jaśnie pani ukryła całe zbiory za murami swojej siedziby. Trzyma je pod kluczem, a sam wiesz najlepiej, że brakuje nam ludzi do tego, by szturmować lub oblegać zamek. Zwłaszcza po tym, co nas spotkało ostatnio.

– Jego kompan mruknął twierdząco.

– Myślisz, że już za pierwszym razem dostaniemy od niej wszystko to, czego zażądał jego lordowska mość?

Roger splunął na podłogę.

– Czy komukolwiek udało się ta sztuka? – spytał, i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Skąd. Jasnie pani najpierw będzie musiała otrzymać kilka kawałków Flambarda. Dopiero wtedy nabierze rozsądku.

– A czy uwierzyła w to, co powiedział? Że zabił jej ojca pod Lincoln?

– Oby nie. Jeśli tak się stało, to tej zimy będziemy jedli jeden drugiego, żeby sobie poradzić. Szlachetny dureń! – Zirytowany Roger wymierzył leżącemu potężnego kopniaka w udo.

Armand z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Jego ciało pozostało bezwładne, jakby nic nie czuł.

Roger postanowił mówić dalej, kiedy po części dał upust złości, która się w nim nagromadziła.

– Przyjdzie nam posłać umyślonych, aby sprawdzili, czy jest gotowa zapłacić okup. Kto wie, co ta mała wiedźma wymyśli.

Może przecież znowu zastawić jakąś wredną pułapkę. Przeklęty Flambard, że też musiał nauczyć tych wieśniaków walki!

Armand mimowolnie zacisnął mięśnie, oczekując następnego kopniaka. Tym razem jednak Roger się pohamował. Zapewne uznał, że nie warto uszkadzać cennego argumentu przetargowego.

– Pięciu w niewoli, trzy trupy i tuzin rannych. – Głos Rogera zdradzał jego desperację. – Nie poradzimy sobie z takimi stratami! Zima za pasem, a król jest sprowokowany do działania. Eudo powinien był odpuścić sobie Cambridge.

– Oby cię nie usłyszał – zauważył trwożliwie kompan Rogera. – Jeśli twoje słowa do niego dotrą, a Flambard umrze, nim jego lordowska mość zdąży się do niego zabrać, wówczas pewnie twoje palce i uszy trafią do jaśnie pani. Niby kto się rozezna, czyje są?

Armand usłyszał odgłosy gwałtownej szamotaniny i zduszone rżenie.

– Lepiej, żeby Eudo nie dowiedział się o niczym, co powiedziałem – syknął Roger. – Dotarło do ciebie, Osbert? Może się zdarzyć, że ktoś przypadkiem utnie ci ten zdradziecki jęzor. Lepiej o tym pamiętaj.

– Nie o to mi chodziło! – wykrztusił Osbert. Jego słowa brzmiały tak, jakby wypowiadał je ostatnim tchem. – Tylko ostrzegałem cię, żebyś się miał na baczności!

– Zawsze mam się na baczności, niepotrzebne mi twoje rady.

Roger musiał puścić Osberta, bo obok Armanda zabrzmiał głuchy łoskot ciała padającego na podłogę. Zmaltretowany opryszek się rozkaszał i usiłował złapać oddech.

– To, co mówisz, ma jednak pewien sens – przyznał Roger po chwili zastanowienia. – Jeśli Flambard powędruje na łono Abrahama, Eudo będzie mógł przystrzyc to i owo jakiemuś innemu durniowi zbliżonego wzrostu. A jeżeli jaśnie pani okaże się dość twarda, by nadal nam odmawiać, wówczas zajmiemy się chłopakiem.

Tym razem żadna siła woli nie mogła powstrzymać krzyku, narastającego w gardle Armanda. Zacisnął usta i zdołał jedynie zmienić krzyk w bolesny jęk.

– Śmiało, zdychaj, Flambard – zachęcił Roger i ponownie go kopnął. – Coś mi się widzi, że jednak żywy nie jesteś nam potrzebny.

Zaśmiał się chrapliwie, a Osbert zarechotał do wtóru. Najwyraźniej ulżyło mu, że Roger znalazł sobie inną ofiarę.

Obaj złoczyńcy odeszli, rozmawiając o tym, których ludzi powinni wysłać z misją. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Armand pośpiesznie się odwrócił i kilka razy głęboko odetchnął świeżym powietrzem.

Zrozumiał, że nie może już dłużej pozostawać bierny, zdany na łaskę i niełaskę St. Maura. Musiał uciec, aby ostrzec Dominie, że bandyci zamierzają porwać Gavina.

Uciec? W uszach ponownie zabrzmiał mu drwiący głos Rogera. Nawet gdyby udało mu się oswobodzić z łańcuchów i znaleźć drogę przez zdradziecki labirynt, co miałyby uczynić, gdyby któryś z łotrów spróbował go zatrzymać? Przecież nie miał broni, a nawet gdyby nią dysponował, przysięga uniemożliwiłaby mu skorzystanie z niej.

Złożone śluby nagle zaciążyły mu niczym żelazo.

Gdy wędrowała za jednym z więźniów, który prowadził ją krętą ścieżką pośród bagien, prawą dłoń kurczowo zaciskała na rękojęści sztyletu. Dzięki temu czuła się nieco pewniej. Ale tylko trochę.

Nigdy w życiu nie podjęła się równie niebezpiecznego, wręcz brawurowego zadania. Jako kobieta na wskroś praktyczna, czuła silny, wewnętrzny sprzeciw. Zaufała bandycie i uczyniła z niego przewodnika, który poprowadził ją i żałośnie małą grupkę mężczyzn prosto na bagna Fenlands, aby mogli zaatakować Wilka w jego legowisku. Wszystko wskazywało na to, że ta wyprawa zakończy się potworną i niepotrzebną śmiercią jej uczestników.

Przecucie podpowiadało jej, że to niewykluczone, lecz ich odważny czyn miał szansę zachęcić innych do działania. Poza tym Armand mógł się dzięki temu przekonać, że kocha go całym sercem. Nie dlatego, że go potrzebowała lub

pragnęła, lecz całkowicie bezinteresownie.

Pokochała go mimo dzielących ich różnic, nie zważając na zdarzenia z przeszłości, nawet pomimo tego, że przez niego straciła wszystko, co uważała za bliskie sercu. Nie mogła go zostawić na łasce okrutnego St. Maura, nawet jeżeli wiązało się to z pośpiesznym, całkowicie nieprzemyślanym ryzykiem. Gra toczyła się o naprawdę wysoką stawkę: o jej życie. A może nawet o jeszcze wyższą...

Sztylet, który z sobą zabrała, nie miał jej posłużyć do obrony przed bandytami. Zamierzała zadać nim sobie śmiertelny cios, gdyby wpadła w łapy łotrów.

Młody człowiek, który ich prowadził, odwrócił się do Dominie.

– Zbliżamy się – szepnął. – Niech wszyscy zachowają czujność.

– Jesteś pewien, że nie napotkamy strażników?

Młodzian pokręcił głową.

– Kiedyś patrolowali okolicę, ale nikt nigdy nie przyszedł tu z własnej woli. Ludzi znużyło bezsensowne wypatrywanie wroga.

– Oby to się nie zmieniło – wyszeptała Dominie.

Miała nadzieję, że król otrzymał jej wiadomość i się z nią zapoznał. Modliła się, by Gavin wykonał jej polecenie i nie opuszczał zamku nawet na krótką chwilę, bez względu na pretekst. Chciała też wierzyć, że jej matka znajdzie w sobie dość siły, aby kierować sprawami posiadłości tak długo, jak to będzie konieczne.

Bóg wysłuchał jednej z jej modlitw i zawrócił ich przewodnika z drogi występku. Dominie uznała, że na decyzję młodzieńca wpłynęła świadomość okrucieństwa St. Maura. Gdy chłopak usłyszał, że jego herszt nie zamierza wykupić podkomendnych z niewoli i zgadza się na ich śmierć, postanowił zaprowadzić Dominie do jego obozu.

W pewnej chwili zszedł z wąskiej ścieżki i ruchem ręki dał innym znak, aby podążyli za nim. Stopy Dominie zanurzyły się po kostki w ciepłym trzęsawisku. Za każdym razem, gdy wyciągała nogi z bagna, rozlegało się donośne kłąśnięcie.

– Lepiej będzie iść tędy – wyszeptał przewodnik, być może wyczuwając strach Dominie, która obawiała się zasadzki.

– Dotrzemy do miejsca w pobliżu budynków.

Dominie przekazała informację pozostałym uczestnikom wyprawy, aby podtrzymać ich na duchu.

Gdy obchodzili „wyspę”, odniosła wrażenie, że stary klasztor jest opuszczony. Czy to możliwe? Czy mieli aż tyle szczęścia? Rzecz jasna, jeśli wszystkie siły St. Maura wyruszyły po haracz, bandyci mogli zabrać z sobą Armanda.

Skruszony bandyta w końcu przystanął.

– Nie da się podejść bliżej, jaśnie pani – powiedział cicho.

– Czy na pewno chcesz to zrobić?

Dominie skinęła twierdząco głową, a pozostali mężczyźni otoczyli ją, by wysłuchać rozkazów.

– Póki co, dobrze wywiązujesz się z powierzonego zadania – pochwaliła przewodnika. – Zaczekaj tutaj, abyś mógł nas poprowadzić z powrotem. A teraz mów, gdzie znajdziemy lorda Flambarda.

– Więźniowie zawsze trafiają do zakrystii, jaśnie pani. – Młodzieniec wskazał dłonią wieżyczkę kaplicy. – Koło ołtarza jest tylne wejście. Tamtędy najwygodniej ci będzie się wśliznąć niepostrzeżenie. Pani, czy zabrałaś dłuto i młotek do zerwania łańcuchów, jak mówiłem?

Dominie poklepała się po skórzanej sakwie przy pasku i popatrzyła na swoich ludzi. Jej serce wypełniła wdzięczność za ich lojalność i oddanie.

– Razem skierujemy się ku zakrystii – oznajmiła. – Po drodze, przy każdej dogodnej kryjówce, zostawię jednego z was.

Gdy odbijemy lorda Flambarda, wycofamy się tą samą trasą.

Dzięki temu po drodze nasze siły będą się powiększały. Jeśli dopisze nam szczęście, przedostaniemy się do środka i uciekniemy tak, że nikt nas nie zauważy.

Głos zabrał Lambert Miller.

– Moim zdaniem, jeden z nas powinien ci towarzyszyć do samego końca, jaśnie pani – orzekł. – Mogą przecież pojawić się nieprzewidziane kłopoty, dajmy na to jego lordowska mość może być unieruchomiony.

– Wszystkich was naraziłam na niebezpieczeństwo. – Dominie powróciła myślami do trudności, które musiała rozwiązać wspólnie z Armandem, kiedy wracali z Breckland. – Zaufajcie mi: jeśli ktoś ma wyciągnąć stamtąd lorda Flambarda, to tylko ja.

– Oby twe słowa się sprawdziły, jaśnie pani.

– Nie było czasu na to, żeby tłumaczyła się z wątpliwości, które ją nachodziły.

– Wiem, że się sprawdzą – zapewniła towarzysza. – Już raz pokonaliśmy watahę Euda St. Maura i możemy powtórzyć nasz sukces.

Jej deklaracja najwyraźniej dodała otuchy uczestnikom wyprawy. Z ufnością pokiwali głowami i uśmiechnęli się lekko. Być może wspomnieli bitwę pod Harrowby, w której uczciwi wasale stawili czoło niegodziwym rycerzom i wyszli z potyczki zwycięsko.

– A teraz w drogę – zdecydowała, nie czekając, aż się załamię nerwowo lub da posłuch swej praktycznej naturze, która podszeptowała jej, że przedsięwzięcie jest

skazane na niepowodzenie.

Nie było skazane na niepowodzenie. Miała szansę zrealizować swój zamiar. Prawie dotarli na miejsce i wkrótce mogli bezpiecznie powrócić do domu.

– Niech nas Bóg prowadzi – dodała. Tak bardzo potrzebowali teraz Jego wsparcia.

Starając się iść zarazem szybko i cicho, Dominie oraz jej nieliczni podkomendni podążali wzdłuż zewnętrznych budynków klasztoru. Co mniej więcej sto metrów zatrzymywali się w możliwie wygodnej kryjówce, nasłuchiwali niebezpiecznych odgłosów i wypatrywali następnego przystanku.

Gdy dotarli na przyklasztorny cmentarz, położony na tyłach kaplicy, pozostała ich tylko trójka: Dominie, Lambert i pewien młody mężczyzna, strażnik zamkowy z Harwood. Pozostawili go za starym, przyciętym cisem i przebiegli pomiędzy kopcami grobów do tylnych drzwi świątyni.

– Jaśnie pani, czy na pewno nie chcesz tutaj zaczekać? – spytał Lambert ponownie, gdy stanęli przed drzwiami i przekonali się, że nie są zaryglowane.

– Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny – odparła. – Niech drzwi pozostaną lekko przymknięte. Gwizdnij, jeśli usłyszysz lub zobaczysz, że ktoś nadchodzi.

Uchyliła drzwi, aby się przez nie prześliznąć. W środku przycupnęła na moment w cieniu i czekała, aż jej wzrok przystosuje się do półmroku. W pomieszczeniu unosił się smród piwa i wina. Trudno było uwierzyć, że niegdyś było to święte miejsce.

Dominie wsłuchiwała się w ciszę, aby sprawdzić, czy grozi jej jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo, lecz nie docierał do niej żaden dźwięk. Było zbyt spokojnie.

Nawet cichy krok rozbrzmiewał echem w jej uszach, gdy podchodziła do ołtarza i zmierzała do zakrystii. Drzwi do pomieszczenia znikły, wyrwane z zawiasów. Pomyślała, że przynajmniej nie musi się martwić ich skrzypieniem. Zza progu wpadało do środka blade światło.

Nie weszła od razu na wypadek, gdyby Armanda pilnował strażnik. Nadstawiła ucha, zajrzała za próg i... nie zobaczyła nikogo. Małe pomieszczenie okazało się zupełnie puste. Poczowała w żołądku przykry ucisk. Na podłodze leżała garść słomy, wygniecionej tak, jakby ktoś niedawno na niej spał. Skórka od chleba i kubek mogły również świadczyć o obecności więźnia.

Dominie na palcach weszła do pokoju, licząc na to, że znajdzie jakiś ślad bytności Armanda, może wskazówkę dotyczącą tego, dokąd go zabrano.

Na dnie kubka dostrzegła resztkę cienkiego piwa. Pośpiesznie uklękła i przeszukała słomę, ale na nic nie natrafiła. Nagle zauważyła na ścianie rysę. W

jednym miejscu drewno było wyszczerbione, jakby ktoś z niego coś wyrwał.

Może łańcuch? Ten sam, który zamierzała rozciąć dłutem i młotkiem?

W jej sercu kłębiły się setki pytań i wątpliwości. Przede wszystkim chciała wiedzieć, co ma dalej robić.

Zbyt późno usłyszała stukot kroków.

Podniosła wzrok i ujrzała stojącego na progu Euda St. Maura. Patrzył na nią ze zdumieniem i z wściekłością.

Dobył miecza i zadał jej pytanie, na które sama chciałaby znać odpowiedź.

– Co się stało z Flambardem?



## Rozdział 20

Ze swojej kryjówki w małej krypcie za ołtarzem kaplicy, Armand usłyszał nad głową odgłos kroków.

Był przygotowany na to, że jego ucieczka wyjdzie na jaw, a prześladowcy rozpoczną poszukiwania. Chciał wierzyć, że złoczyńcy niezwłocznie opuszczą klasztor i zaczną przetrząsać mokradła. Gdy starania bandytów zakończą się nieuchronną klęską, on wykradnie się z krypty i spróbuje znaleźć drogę do Harwood.

Tajemnicze kroki wzbudziły jego ciekawość. Brzmiały miękko, co chwila cichły i rozlegały się ponownie po długiej przerwie. Ludzie St. Maura nie mieli powodu, by chodzić tak czujnie i niepewnie.

Czy to możliwe, że ktoś przybył mu z pomocą?

Nadzieja walczyła w nim ze zwątpieniem. Po krótkiej, lecz zajadłej potyczce, nadzieja zyskała przewagę.

Armand sięgnął nad głowę i odrobinę uniósł właz – tylko na tyle, żeby sprawdzić, co się dzieje, i nie zdradzić miejsca swojego ukrycia. Właśnie zamierzał odchylić pokrywę, gdy zabrzmiał jeszcze jeden odgłos kroków. Tym razem szedł ktoś cięższy, choć równie cicho.

Co się działo na górze?

Wiedząc, że w zakrystii przebywa co najmniej dwoje ludzi, Armand postanowił nie ryzykować ujawnienia swojej kryjówki. Wyteżył za to słuch, aby w miarę możliwości zorientować się w sytuacji.

Usłyszał tubalny, męski głos, a zaraz po nim kobiecy krzyk.

Może to była jedna z nich – służka bandytów. St. Maur mógł mieć utrzymankę. Nie wykluczał jednak, że kobieta nie przebywała wśród łotrów z własnej woli.

Opryszki torturowały mężczyzn porwanych dla okupu. Na myśl o tym, co łotry mogły robić z pojmanymi kobietami, Armanda ogarnął słuszny gniew.

Gwałtownie pchnął klapę, lecz nie zdołał całkowicie jej odwalić. Uniósł ją na wysokość zaledwie kilku centymetrów, kiedy spadło na nią coś ciężkiego. Siła uderzenia rzuciła ogluszonego Armanda na podłogę krypty.

Na górze, w zakrystii, zabrzmiał łoskot, zwykle towarzyszący walce.

Czyżby przybył ktoś inny, aby pomóc kobiecie? Czy dwóch bandytów stanęło o nią do boju? A może obaj ją zaatakowali? Od powrotu do Harwood razem z Dominie Armand nauczył się doceniać wartość praktycznego myślenia. Rozsądek

podpowiadał mu, że kobieta ma szansę obejść się bez jego pomocy. Przeciwnik był zapewne liczniejszy, a Armand nawet nie dysponował bronią. Zresztą, i tak nie chciałby jej używać. W takiej sytuacji łatwo mógł zostać schwytyany, a potem torturowany za próbę ucieczki.

Żaden z tych względów nie mógł go jednak powstrzymać.

Gwałtownie odsunął właz, wygramolił się z krypty i pobiegł do zakrystii, ciągnąc za sobą łańcuch.

Na progu zawahał się przez moment, ledwie wierząc własnym oczom.

Eudo St. Maur stał z wzniesionym mieczem. Na jego ostrzu widniały plamy krwi. Drugi miecz leżał u stóp bandyty, upuszczony tam przez młodego mężczyznę, który teraz stał w kącie i prawą dłońią trzymał się za lewe ramię. Spomiędzy jego palców sączyła się krew. Lambert Miller!

W pewnej chwili drugi młodzieniec zanurkował po miecz Lamberta. Gdzie się podziała kobieta?

Wtedy Armand rozpoznał drugiego chłopca, a jego serce przeszył ból.

Dominie.

Znowu przybyła mu na pomoc. Wcześniej przecież dotarła już do innego świętego domu, aby go wyzwolić z niewoli, którą sam sobie narzucił.

Eudo St. Maur zamachnął się mieczem.

Armand nie miał czasu do namysłu, lecz w tej jednej, krótkiej chwili zorientował się, co powinien zrobić.

Postanowił złamać przysięgę, aby stanąć do walki o to, co najcenniejsze.

Z mocą, o którą się nawet nie podejrzewał, i z precyzją, niewątpliwie daną mu przez Boga, wyrzucił w powietrze nogę skutą łańcuchem. Żelastwo pofrunęło niczym ciężki bat, trzasnęło St. Maura w miecz i wytrąciło mu go z ręki.

Pęd łańcucha pozbawił Armanda równowagi. Natomiast St. Maur upadł, a zanim wstał, Dominie trzymała już miecze w obu dłoniach. Wilk z Fenlands stał przyparty do ściany.

– Daruj mu życie! – zawołał Armand.

– Czemu? – Dominie nie odrywała wzroku od Euda St. Maura. – Szubrawiec zasługuje na śmierć. Niech się smaży w ogniu piekielnym!

Najwyraźniej była gotowa posłać St. Maura na tamten świat.

– Ze względów praktycznych. – Armand dźwignął się na nogi i wykręcił łotrowi ręce za plecy. – Zapewne przyda się nam jako zakładnik. Bez niego trudno nam będzie uciec z tego miejsca.

Poza tym idę o zakład, że król sowicie nas wynagrodzi za jego pojmanie i

dostarczenie żywcem. Daj mi swój pas.

Dominie rzuciła jeden miecz za siebie, lecz drugi cały czas trzymała w gotowości. Jedną ręką poluzowała pas i cisnęła go w stronę Armanda.

– Przy mnie uczysz się praktycznego myślenia, Flambard – pochwaliła ukochanego.

Armand spętał St. Maurowi ręce pasem.

– Spędzimy razem jeszcze wiele lat, więc będziesz miała sporo czasu na szkolenie.

St. Maur splunął.

– Oboje zapłacicie krwią za to, czego się dopuściliście! – wykrzyknął. – Moi ludzie spustoszą wasze ziemie! Nie pozostawią kamienia na kamieniu! Domy spalą, a zbiory zagrabią!

– Niech spróbują – odparła Dominie zimno, podniosła z ziemi miecz i wręczyła go Armandowi.

Wahał się tylko przez moment. Przyjął broń ze świadomością, że jest gotów jej użyć. Nie bez powodu. Nie z przyjemnością. Na pewno z konieczności, aby bronić słabszych. Na pewno po to, by strzec ideałów, które nadal uważał za cenne... choć nie traktował ich już dogmatycznie.

Więzień znalazł się pod strażą Armanda, więc Dominie mogła skupić uwagę na Lambercie Millerze. Oddała pas materiału z własnej bielizny i obwiązała nim ranę, aby powstrzymać krwotok z jego ramienia, – Stefan i tak mnie wypuści – syknął St. Maur. – Słyszysz, co mówię, Flambard? Taki sam z niego rycerski osioł, jak z ciebie. Wierz mi, nie spocznę, póki nie posmakujesz mojej zemsty.

– Dziękuję za przestrożę. – Armand podniósł miecz i przycisnął ostrze do szyi bandyty, tuż pod uchem. – Będziemy na ciebie czekać. – Odwrócił się do Dominie: – Kochanie, masz na zbyciu jeszcze jedną szmatkę? Dość słuchania, jak ta gadzina pluje jadem. Wolałbym nie narażać się na znoszenie jego gadaniny przez całą drogę powrotną do Harwood.

– Poszło łatwiej, niż się spodziewałam. – Dominie obejrzała się przez ramię na pozostałych członków ekspedycji, którzy gęsiego maszerowali krętą, wąską ścieżką wśród bagien. – Powinniśmy napotkać więcej trudności. Martwię się.

Udało im się wykraść z klasztoru związanego i zakneblowanego St. Maura, a w dodatku zachowywali się tak dyskretnie, że nikt ich nie zauważył. Po tylu dramatycznych przejściach Dominie nie wierzyła w ten nieoczekiwany łut szczęścia.

Armand, który trzymał się tuż za nią, położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie przejmuj się tym – poradził. – Podśluchałem Rogera z Fordham, kiedy rozmawiał z innym nicponiem. Z jego słów wynikało, że w klasztorze nie zostanie prawie nikt, bo wszyscy sprawni członkowie bandy wyruszą po okup.

Gdy Dominie usłyszała tę informację, zrobiło jej się źle na sercu.

Przez pewien czas maszerowali w milczeniu. W końcu Armand przemówił ponownie.

– Dlaczego po mnie wróciłaś? – spytał. – Nie słyszałaś, co powiedziałem, kiedy St. Maur zażądał daniny?

– Słyszałam doskonale. – Dominie nie odrywała wzroku od ścieżki przed sobą. – Z początku nie chciałam w to uwierzyć, lecz przeor Gerard potwierdził twoje słowa. Wyjaśnił, że wyznałeś mi to już wcześniej.

W gruncie rzeczy, Dominie czuła się nieswojo nie tylko z powodu potencjalnego ataku bandytów. Gdy zdecydowała, że jej powinnością jest wyruszenie ukochanemu z pomocą, była pewna, iż źle się to skończy. Spodziewała się znaleźć Armanda martwego; nie wykluczała, że oboje zginą podczas próby ucieczki. Nie wzięła pod uwagę możliwości bezpiecznego powrotu do Harwood i do spokojnej codzienności.

– Ale skoro słyszałaś i dałaś temu wiarę, to czemu po mnie przysłałaś? Dlaczego mnie nie nienawidzisz?

– Szczerze mówiąc... nie wiem. Nie potrafię ci odpowiedzieć na te pytania, Armandzie. Musiałam zaryzykować, i już. Po prostu musiałam. Co do nienawiści do ciebie... Nie zamierzam kłamać. Mój ojciec zginął z twoich rąk, ta świadomość sprawia mi ból.

– Z pewnością nie większy niż ten, który mnie nękał przez pięć lat.

– Wiem o tym i biorę to pod uwagę.

– Powinienem był wyjawić ci prawdę. – Armand westchnął ciężko. – Wszystko wyglądałoby inaczej, gdybyś wiedziała o tym w dniu, w którym znalazłaś mnie w Breckland. Wynajdywałem dziesiątki pretekstów, aby milczeć, lecz tak naprawdę chodziło tylko o jedno: nie mogłem znieść świadomości, że mnie znienawidzisz.

Dominie nie zamierzała pozwalać, by całą winę brał na własne barki.

– Z pewnością nie było ci łatwo wyznać prawdę, skoro bezustannie upominałam cię, byś we wszystkich sprawach trzymał język za zębami.

– Wmówiłem sobie, że oszczędzam ci wiedzy, która sprawiłaby ci ból. W głębi serca czułem jednak, że jestem wyjątkowo zakłamanym człowiekiem. Takim, który grzmi o ideałach, a jednocześnie skrzętnie skrywa brudne sekrety.

– W końcu jednak wszystko mi wyznałeś. Na dodatek z mojego powodu

złamałeś przysięgę i użyłeś przemocy. – Dominie zerknęła na Armanda. – Dlaczego tak postąpiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu musiałem – odparł. – Czy mógłbym beczynnym patrzeć, jak dzieje ci się krzywda? Nie było czasu na wątpliwości.

Dominie skinęła głową, przyjmując jego wyjaśnienia do wiadomości, i ponownie umilkła. Armand ani słowem nie wspomniał o miłości. A przecież właśnie to chciała usłyszeć, choć uważała, że to głupie z jej strony.

Do czasu opuszczenia Fenlands powstrzymywała się od zadawania pytań, które ją nękały.

Konie, pozostawione przez uczestników wyprawy, nadal spokojnie skubały trawę. Na wypadek pomyślnego odbicia Armanda zabrali jednego zapasowego wierzchowca. Nie brali jednak pod uwagę koni dla ewentualnych jeńców.

– Niech St. Maur siądzie na moim koniu – rozkazała Dominie. – Ja pojedę z lordem Flambardem. Ruszajcie z kopyta, na wypadek pościgu. Wkrótce was dogonimy.

Podkomendni posłusznie dosiedli rumaków i wraz z więźniem pogalopowali do Harwood.

Gdy Armand przygotowywał się do wdrapania na siodło, Dominie położyła mu dłoń na ramieniu, aby go powstrzymać. Cały czas nękało ją jedno pytanie i pomyślała, że jeśli nie zada go teraz, być może już nigdy nie zbierze się na odwagę. Najpierw musiała jednak ujrzeć twarz ukochanego.

– Armandzie, musisz mi coś powiedzieć – oznajmiła. Chcę znać prawdę, nawet jeśli, twoim zdaniem, jest ona bolesna.

Jego twarz już wcześniej przybrała barwę kredy, choć częściowo pozostawała ukryta pod warstwą brudu i zarostu. Teraz zbladła jeszcze bardziej. Armand skinął głową bez przekonania. Czyżby się domyślał, jak zabrzmiałoby pytanie? Czy nie chciał na nie odpowiedzieć?

– Powiem prawdę – zgodził się.

Dominie zaschło w gardle. Poczowała strach, taki sam jak wtedy, gdy Eudo St. Maur zaskoczył ją w zakrystii. Może nawet gorszy, gdyż nie wpadła w uzasadnioną furję.

– Czy oświadczyłeś mi się... – nie mogła spojrzeć mu w oczy – ... i czy zrobiłeś to wszystko, co zrobiłeś, dlatego, aby zrekompensować mi śmierć ojca? Czy usiłowałaś tylko ukoić sumienie?

Milczenie, które zapadło, zdawało się nie mieć końca. Dominie drgnęła, słysząc

śmiech Armanda. Popatrzyła mu w twarz, aby się upewnić, czy to na pewno on się śmieje.

Tak, bez wątpienia. Jego śmiech był jednak dziwny, najdziwniejszy, jaki słyszała.

– Chodzi ci o te wszystkie lata, które spędziłem w klasztorze? – Nagle przestał się śmiać. W jego oczach zabłyśły łzy.

– Nie, Dominie. Nic podobnego. Nie pamiętasz, jak bardzo starałem się pohamować pożądanie, które niezmiennie mnie ogarnia na twój widok?

Pamiętała. Przypomniała sobie także, jak bardzo była zdezorientowana, wyczuwając w nim wewnętrzne rozdarcie.

Armand odgarnął kosmyk, który opadł mu na brew.

– Oświadczyłem ci się, kiedy Roger z Fordham nie pozostawił mi wyboru. Tak przynajmniej to sobie wyobrażałem. W gruncie rzeczy, ponad wszystko pragnąłem, byś została moją żoną, choć wiedziałem, że nie zasługuję na szczęście, które z pewnością byś mi zapewniła. Dopiero po zwycięskiej bitwie z najeźdźcami St. Maura zacząłem myśleć inaczej. Gdy poszliśmy razem do łóżka, stało się dla mnie jasne, że tylko się oszukiwałem.

– Zatem jednak mnie kochałeś?

– Wciąż cię kocham – sprostował. – I będę kochał, póki nie szejnie moja dusza.

– Ja ciebie również – wyznała Dominie, nim zdążyła pomyśleć. Gdy jednak wypowiedziała te słowa, zrozumiała, jak bardzo są prawdziwe.

Oparła głowę o tors Armanda.

Objął ją czule, choć lekko, jakby wątpił, że ma do tego prawo.

– Zatem kochamy się tak, jak przystało na idealnych kochanków – rzekł. – Moje marzenia się ziściły. Tyle że nie żyjemy w oderwaniu od rzeczywistości, w miejscu, w którym nie musimy się przejmować nikim i niczym. Otacza nas świat pełen zagrożeń, a nasze decyzje wpływają na życie wielu innych ludzi. Obawiam się, że nasz ślub to niepraktyczny pomysł.

Odsunęła się od Armanda na tyle, by spojrzeć mu w oczy i jednocześnie pozostać w jego objęciach.

– Niepraktyczny? – zdumiała się. – Co przez to rozumiesz?

– Czy twoja mama i brat zaakceptują mnie jako twojego męża, skoro mam ręce splamione krwią twojego ojca? Czy społeczność Wakeland przyjmie mnie na swego sąsiada?

– To nie musi być proste, ale wierzę, że tak się stanie. Przecież nie zabiłeś

mojego ojca ze złej woli – odparła łamiącym się głosem. – Gdybyś zawczasu ujrzał jego twarz, z pewnością wolałbyś przyjąć na siebie śmiertelny cios, niż świadomie krzywdzić mego tatę.

Twarcz Armanda wykrzywił grymas bólu, po jego policzku spłynęła łza. Ledwie zauważalnie skinął głową.

Dominie podniosła rękę, aby wytrzeć mu łzę z twarzy, i nagle w jej głowie pojawiła się nieoczekiwana myśl.

– Przecież nie można wykluczyć, że mój ojciec rozpoznał cię tamtego dnia w Lincoln i uczynił to samo, prawda? – spytała olśniona. – Nie lekceważ potęgi wybaczenia, Armandzie.

Może nie wzrasta ona szybko, lecz okaż cierpliwość i troskę, a nagrodzi cię obfitym plonem.

Czy to możliwe? Armand szukał w sobie odwagi, by uwierzyć w słowa Dominie. Pojął, że jego багаż winy zaczyna się kurczyć.

Nie potrafił odpowiedzieć Dominie słowami, gdyż był zbyt przejęty, aby je odpowiednio dobrać. Pocałował ją z miłością. Dawną i nową. Idealistyczną i realną. Taką, która stanowiła zapowiedź tego, co w najbliższych latach miało ich połączyć.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie, Dominie obdarzyła go szerokim uśmiechem, pełnym dawnej przekory.

– Lepiej wskoczmy na konia i ruszajmy w drogę, zanim inni zaczną się niepokoić i przybędą na poszukiwania.

– Racja – przyznał Armand, wdrapał się na siodło i posadził Dominie za sobą. – Później nie zabraknie nam czasu na pocałunki.

– Czas na pocałunki. – Westchnęła rozmarzona i otoczyła narzeczonego ramionami, tuląc się do jego pleców. – I na mnóstwo innych przyjemności.

Armand był gotów brać ślub natychmiast po powrocie do Harwood, lecz Dominie uparła się, by poczekać do następnego dnia.

Wyspowiadał się przeorowi Gerardowi, któremu przyznał się do okłamania Dominie. Wyjawiał także, iż złamał przysięgę niestosowania przemocy. Poczciwy ksiądz udzielił mu rozgrzeszenia i wyznaczył symboliczną pokutę.

Lady Blanchefleur oraz Gavin zgodnie pobłogosławili związek. Armand wyczuł, że ich dotychczasowe uczucia do niego się zmieniły, zwłaszcza w wypadku chłopca, który najwyraźniej przestał go uważać za kryształową, nieskazitelną postać.

Nie jest najgorzej, zdecydował Armand. Wierzył, że Dominie ma rację: wybaczenie ma uzdrowicielską moc i z czasem gwarantuje powstanie nowych, silniejszych więzi.

Wraz z Dominie złożył przysięgę małżeńską u drzwi kaplicy, a następnie odbyła się uroczysta msza. Serce Armanda pęczyło z dumy i miłości za każdym razem, gdy spoznał na piękną, energiczną pannę młodą i jej niesforne, kasztanowe włosy, ozdobione kwiatami.

Po ceremonii zaślubin wyprawili huczne wesele, o którym jeszcze długo mówiono w Harwood.

W trakcie uczty, kiedy przy dźwiękach wesołej muzyki wszyscy goście zgodnie spełniali jeden z niezliczonych toastów, przy głównym stole zjawił się wyraźnie zaniepokojony strażnik.

– Jaśnie panie, jaśnie pani, u bram stoi król Stefan wraz z gromadą zbrojnych – oznajmił niepewnie. – Domaga się prawa wjazdu i rozmowy z wami.

Armand dźwignął się z miejsca i dyskretnie westchnął. Wyglądało na to, że jego szczęśliwe chwile były równie ulotne jak uroda pięknych kwiatów z weselnego wieńca na głowie Dominie, zaś kłopoty mnożyły się niczym uporczywe chwasty.

Dominie również wstała i wzięła męża za rękę.

– Oboje pójdziemy przyjąć od jego Wysokości dobre życzenia na nową drogę życia – oświadczyła stanowczo.

Armand wątpił, by król Stefan właśnie z tego powodu nagle pojawił się w zamku, niemniej uściskał dłoń żony, dziękując jej za wsparcie.

Podbudowany, ruszył wraz z Dominie do bramy i wyszedł z zamku mostem zwodzonym. Popatrzył na królewskie wojsko.

Czyżby Stefan dowiedział się o ich zaręczynach i przybył odebrać Harwood „wrogowi”?

Po chwili król podjechał bliżej, a wraz z nim grupka kilkunastu rycerzy. Władca powoli zsiadł z konia. Poruszał się sztywno, z wyraźnym wysiłkiem. Choć nadal był przystojnym mężczyzną o onieśmielającej prezencji, sprawiał wrażenie znacznie starszego i szczuplejszego niż podczas poprzedniego spotkania z Armandem.

Król spoznał na ślubną suknię Dominie i uśmiechnął się przychylnie.

– Czyżbym zakłócił wesele? – spytał pogodnie. – Zatem muszę prosić o wybaczenie.

Zanim Armand zdążył cokolwiek powiedzieć, Dominie nisko dygnęła przed



monarchą.

– Ceremonia ślubna właśnie dobiegła końca, lecz przed chwilą rozpoczęło się wesele, więc serdecznie cię zapraszamy, Wasza Wysokość, byś zechciał uświetnić je swoją obecnością – oświadczyła.

Król uważniej popatrzył na Dominie i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Armand nie mógł go winić – sam przez cały dzień szczerzył zęby jak pomyleniec.

– Myślę, że przyjmę twe zaproszenie, pani. Jest przecież co świętować. – Gdy Armand ze zdziwieniem popatrzył na monarchę, ten wyjaśnił: – Wczoraj otrzymałem od twojej żony wiadomość, gdzie przebywa spora grupa ludzi Euda St.

Maura. Z zadowoleniem oświadczam, że zasadzka okazała się skuteczna, choć kiedy dotarliśmy do kryjówki bandytów, ich herszt zdążył już zbiec. Mimo to jego potęga legła w gruzach i w tym zakątku mego królestwa ponownie zapanuje spokój.

Dominie mocno szturchnęła Armanda. Odchrząknął niepewnie.

– Wasza Wysokość, z radością donoszę, że Eudo St. Maur jest naszym więźniem i z ochotą ci go przekazemy – oznajmił spokojnie.

Król Stefan nie krył radości.

– Z zadowoleniem przyjmuję twój dar – odparł. – Niepotrzebnie go już raz wypuściłem z rąk, ale wówczas uznałem, że jestem mu winien łaskę za jego dawne uczynki. Teraz wiem, że lojalni obywatele angielscy zasługują na ochronę przed jego występkami.

Armand i Dominie popatrzyli na siebie z ulgą, a król kontynuował:

– Jestem twoim dłużnikiem. Flambard, tak się zwiesz, prawda? Syn Flambarda, niegdyś właściciela tego zamku i posiadłości?

– W rzeczy samej, Wasza Wysokość. Nazywam się Armand Flambard.

Monarcha zmarszczył czoło.

– Opowiedziałeś się po stronie mojej kuzynki cesarzowej, prawda? – spytał bez ogródek.

– Zgadza się, Wasza Wysokość. Walczyłem o Lincoln, byłem wówczas młodszy. Uznałem, że honor nakazuje mi dotrzymać przysięgi lojalności, złożonej królowi Henrykowi i jego córce. Od tamtej pory nauczyłem się, że honor niekiedy warto temperować względami natury praktycznej. Błagam, nie karz mojej żony za to, co uczyniłem.

– Czy chciałbyś złożyć mi przysięgę lojalności?

Zanim Armand zdołał odpowiedzieć, Dominie zabrała głos.

– Nie, Wasza Wysokość, chcielibyśmy tego uniknąć – wyznała. – Przez ostatnie

lata sporo się napatrzyliśmy na to, co się dzieje, kiedy ludzie dopuszczają do obniżenia wartości swojego honoru i cnoty.

Król z powagą skinął głową. Być może pamiętał przyrzeczenie, które przed laty sam musiał złożyć.

– Są tacy, którzy powiadają, że szkodzę własnej sprawie, przykładając zbyt dużą wagę do honoru. Jak podkreśliłem, jestem wam zobowiązany za schwytanie Euda St. Maura i ułatwienie mi rozprawienia się z jego bandą. Jeśli nagrodzę cię ziemią, czy będziesz mógł przynajmniej obiecać mi, że w przyszłości nie staniesz zbrojnie przeciwko mnie?

Armand ukląkł na jedno kolano.

– Uczynię to z ochotą, Wasza Wysokość.

– To dobrze. – Król ruchem ręki nakazał mu wstać. – Zatem sprawa załatwiona. A teraz chodźmy na wesele i cieszymy się z dobrych zbiorów.

– Tak jest, Wasza Wysokość. – Gdy król się odwrócił, Armand nachylił się nad żoną, aby ją pocałować. – Za dobre zbiory i nowy początek! – oświadczył z radością.